

WIELKIE SERIE SF

TIMOTHY ZAHN

tom III cyklu KOBRA

SYNOWIE KOBRY



Timothy Zahn

Synowie Kobry

Tom trzeci cyklu „Kobra”

Rozdział pierwszy

Było późne lato. Przez uchylone okno wpadały podmuchy ciepłego wiatru. Po chwili dał się słyszeć skowyt dysz silników odrzutowych maszyn Troftów, który sprawił, że Jonny Moreau się obudził. Na krótką, rozdzierającą serce chwilę, wydało mu się, że jest na Adirondack w samym środku wojny, ale kiedy ustawił oparcie fotela znów w pozycji pionowej, impulsy bólu, jakie przeszły mu łokcie i kolana, przywołały go do rzeczywistości. Przez jakąś minutę siedział nieruchomo, spoglądając przez okno na panoramę Capitalii i starając się odzyskać jasność myśli. Później sięgnął do biurka i wcisnął guzik stojącego na nim interkomu.

– Tak, panie burmistrzu? – odezwał się Theron Yutu. Jonny opadł z powrotem na fotel, ale przedtem sięgnął po stojącą na biurku fiolkę z tabletkami przeciwbólowymi.

– Czy Corwin wrócił już z zebrania rady? – zapytał. Obraz na ekranie ukazał mu inne biurko i siedzącego za nim dwudziestosiedmioletniego syna.

– Jeszcze tam nie poszedłem, tato – powiedział Corwin. – Zebranie zaczyna się dopiero za godzinę.

– O? – zdziwił się Jonny i popatrzył na zegarek. Mógłby przysiąc, że zebranie miało się zacząć o drugiej... i w istocie, było dopiero kilka minut po pierwszej. – Wydawało mi się, że drzemałem trochę dłużej – mruknął. – No cóż. Czy wszystko gotowe?

– Właściwie tak, chyba że jest coś nowego, co chciałbyś, żebym poruszył na zebraniu. Zaczekaj chwilę, zaraz tam przyjdę, to pogadamy.

Ekran ściemniał. Prostując ostrożnie plecy, Jonny spojrzał na trzymaną w dłoni fiolkę. Później – zdecydował stanowczo. Wiedział, że kiedy znów zacznie chodzić, jego wywołane artretyzmem bóle złagodnieją same, a po zażyciu tabletek nie potrafi myśleć tak jasno, jak pragnął.

Drzwi nagle się otworzyły i do gabinetu wszedł Corwin Jamie Moreau z nieodłącznym pulpitem komputerowym pod pachą. Chłopiec – a raczej mężczyzna, przypomniał sobie w myślach Jonny – rzucił się w wir polityki z zapałem, którego starszy Moreau nigdy jakoś nie potrafił u siebie wykrzesać. Widok Corwina

coraz bardziej przywodził Jonny'emu na myśl jego brata, Jame'a, wspinającego się teraz po szczeblach władzy Dominium Ludzi. Przed czternastoma laty był doradcą przewodniczącego Najwyższego Komitetu. Jonny często się zastanawiał, kim był teraz: wciąż doradcą, mianowanym następcą, a może nawet samym przewodniczącym?

Tego już nigdy się nie dowie. Przerwanie łączności z resztą Dominium w wyniku zamknięcia korytarza Troftów było jednym ze skutków, z którymi Jonny'emu nadal trudno było się pogodzić.

Ustawiwszy komputerowy pulpit na skraju biurka ojca, Corwin przysunął sobie krzesło i usiadł.

- No dobrze, popatrzmy sobie na to - powiedział. - Najważniejsze argumenty przemawiające za klauzulą wyłączności nowego traktatu handlowego z Hobe'ryi'sarai - wymówienie tej nazwy domeny Troftów nie sprawiło mu najmniejszego trudu - które mam przedstawić na zebraniu rady, to: potrzeba oddelegowania dodatkowych Kobr do walki z kolczastymi lampartami w odległych prowincjach oraz kwestia, czy w ogóle powinniśmy zawracać sobie głowę Caelianą.

Jonny kiwnął głową, mając poczucie winy, że po raz kolejny zaniedbuje obowiązki emerytowanego gubernatora, jakie powinien wypełniać, albo chociaż starać się wypełniać wobec rady.

- Połóż na te dwa powody szczególny nacisk - powiedział. - Nie wiem, w jaki sposób kolczaste lamparty dowiadują się o tym, że ich liczba maleje, ale tempo ich rozmnażania wskazuje, że jakoś się dowiadują. Upewnij się, żeby nawet najmniej rozgarnięty syndyk zrozumiał, iż nie możemy walczyć ze wzrastającą liczbą kolczastych lampartów i równocześnie posuwać się naprzód z kolonizacją Caeliany bez obniżenia poziomu szkolenia Kobr w naszej akademii.

Przez twarz Corwina przemknął jakiś skurcz.

- Jeżeli chodzi o tę akademię... - zaczął i przerwał, wyraźnie czymś speszo-
ny.

Jonny na krótką chwilę zaniknął oczy.

- Justin. Czy mam rację? - zapytał.

- No... tak. Mama chciała, bym cię przekonał, żebyś zmienił zdanie i podczas zebrania rady zgłosił swój sprzeciw wobec jego kandydatury.

– I co by to dało? – Jonny westchnął. – Justin jest przecież bystrym, wyjątkowo zrównoważonym i energicznym chłopcem. Właśnie w taki sposób chce służyć światu, na którym mieszka. Mam nadzieję, że wybaczysz mi ojcowską dumę.

– Wiem o tym, tato, ale...

– Ale do rzeczy – przerwał mu Jonny. – Ma dwadzieścia dwa lata, a chce zostać Kobrą, odkąd skończył szesnaście. Zdajesz sobie sprawę, że w ciągu tych wszystkich lat z pewnością miał czas na to, żeby się zastanowić, w jaki sposób wpływa na organizm ludzki kilkadziesiąt lat życia z wyposażeniem Kobry. – Uniósł lekko ręce, jak gdyby zgadzał się na zbadanie własnego ciała. – Jeżeli to nie wpłynęło na jego decyzję, a wyniki badań wskazują, że tak się nie stało, nie zamierzam sprzeciwiać się jego woli. Właśnie takich ludzi potrzeba nam do tej służby. Corwin machnął ręką na znak, że się poddaje.

– Niemal chciałbym móc się z tobą nie zgodzić, chociażby przez wzgląd na mamę – powiedział. – Obawiam się jednak, że masz rację.

Jonny wyjrzał przez okno.

– Twoja matka wiele razy cierpiała z podobnych powodów. Sam chciałbym wiedzieć, jak mam jej to wytłumaczyć.

Przez dłuższą chwilę w pokoju panowało milczenie. Później Corwin sięgnął po swój pulpit.

– A więc kolczaste lamparty i kolonizacja Caeliany – powiedział, wstając od biurka. – Po zakończeniu zebrania zastanę cię tutaj czy w sali ćwiczeń?

Jonny popatrzył na syna i skrzywił się z niesmakiem.

– Musiałeś mi o tym przypomnieć, prawda? No dobrze, niech ci będzie. Uszczęśliwię tych dręczycieli. Kiedy zjawisz się po zebraniu, to, co ze mnie zostanie, będzie tutaj.

Corwin kiwnął głową.

– Świetnie. Ale nie wściekaj się za bardzo na nich. Wykonują przecież tylko swoją pracę.

Jonny zaczął, aż Corwin zamknie drzwi za sobą, a potem cicho westchnął.

– Swoją pracę, dobre sobie – mruknął pod nosem. – Zgraja naukowców wyzywających się na ludziach zamiast na doświadczalnych myszkach.

Wszystko po to, by odkryć terapię, która kiedyś będzie mogła pomóc przyszłym Kobrom.

Jednym z nich miał wkrótce zostać jego syn.

Westchnąwszy, Jonny uchwycił się oparcia fotela i powoli wstał. Zamierzał dojść do samochodu o własnych siłach i to bez pomocy tabletek przeciwbólowych, nawet gdyby miało go to zabić. Zgodnie z jednym ze swoich ulubionych powiedzeń, nie był jeszcze aż tak bezradny.

Mimo tłoku panującego w tych dniach na ulicach stolicy świata Kobr, dostanie się do gmachu Dominium na zebranie rady było wyprawą zajmującą nie więcej niż dziesięć minut. Corwin zebrał jednak swoje magnetyczne karty i inne potrzebne mu rzeczy jak najszybciej, chcąc znaleźć się tam na tyle wcześniej, żeby móc nieoficjalnie porozmawiać z innymi członkami zgromadzenia. Ojciec udał się na ćwiczenia, a on sam zamierzał właśnie wyjść, kiedy do pokoju weszła matka.

– Cześć, Theron – odezwała się, uśmiechając się do Yutu. – Corwin, czy zastałam ojca?

– Właśnie wyszedł – odparł Corwin, czując, że w oczekiwaniu nieuchronnej konfrontacji napinają mu się wszystkie mięśnie. – Wróci, jak skończy ćwiczenia.

– Co powiedział?

Corwin dużym wysiłkiem zmusił się, żeby nie zacisnąć zębów.

– Przykro mi, mamó. Powiedział, że nie będzie się sprzeciwiał.

Zmarszczki na jej twarzy wyraźnie się pogłębiły.

– Ty też będziesz brał udział w głosowaniu – powiedziała, nie pozostawiając mu cienia wątpliwości, o czym myśli.

– Pozwól więc, że ujmę to inaczej – odparł Corwin. – My nie będziemy się sprzeciwiali.

– A więc i ty także – powiedziała chłodno. – Ty też zamierzasz skazać swojego brata na...

– Mamó – przerwał jej Corwin, wstając i wskazując jej swoje krzesło. – Bardzo cię proszę, usiądź.

Zawahała się, ale po chwili usiadła. Corwin przysunął sobie inne, przeznaczone dla gości krzesło i spoczął naprzeciwko niej, kątem oka dostrzegając, że Theron Yutu właśnie przypomniał sobie o czymś, co musiał zrobić w biurze Jonny'ego. Zajmując miejsce, przez chwilę przyglądał się – naprawdę się przyglądał – swojej matce.

Chrys Moreau była piękną kobietą, kiedy była młodsza. Wiedział o tym, pamiętał stare zdjęcia i taśmy. Nawet teraz, mimo związanych z jej wiekiem zmian fizycznych, wyglądała niezwykle atrakcyjnie. Oprócz nich dokonały się w niej jednak inne, nie wszystkie usprawiedliwione zwykłym krystalizowaniem się opinii czy nawet wynikające z reakcji na długotrwałą chorobę męża. Ostatnio uśmiechała się coraz rzadziej i chodziła z ostrożnością osoby śmiertelnie przerażonej perspektywą, że mogłaby coś przewrócić. Corwin wiedział, że jej sprzeciw wobec planów Justina był tylko częścią tego nastawienia do życia... istniało jednak coś więcej, a na razie nie potrafił znaleźć właściwych słów na dotarcie do tej części myśli swojej matki.

Wiedział także, że i tym razem będzie rozumowała w ten sam sposób.

– Jeżeli zamierzasz jeszcze raz przedstawić mi te same argumenty, dlaczego sądzisz, że Justin powinien zostać Kobrą, to możesz się nie trudzić – zaczęła Chrys. – Znam je wszystkie na pamięć i nadal nie znajduję żadnych logicznych kontrargumentów. Przyznaję też, że gdyby nie był moim synem, uznałabym je za słuszne. Justin jednak jest moim synem i chociaż to brzmi nierozsądnie, nie uważam za uczciwe, żebym musiała i jego poświęcać dla takiej służby.

Corwin pozwolił jej skończyć, chociaż te słowa nie wносиły niczego nowego do dyskusji.

– Czy prosiłaś Joshuę, żeby z nim porozmawiał? – zapytał.

Chrys lekko pokręciła głową.

– Nie zrobi tego – odrzekła. – Powinieneś wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Mimo powagi chwili Corwin poczuł, jak na wspomnienie momentów, które podsunęła mu pamięć, na wargach pojawia mu się nikły uśmiech. Chociaż był o pięć lat starszy od bliźniaków, nie zdołałby zliczyć, ile razy brał ich stronę. Ich wzajemna niewzruszona lojalność nawet wtedy, gdy rodzice wymierzali im kary, wielokrotnie sprawiała, że potrafili sobie zapewnić niepodważalne alibi.

– Wobec tego nie widzę, co można zrobić – odezwał się łagodnie do matki. – Jeśli spojrzeć na to od strony prawa, nie mówiąc już o etyce, Justin ma prawo wybierać, co chciałby robić w życiu. Pomyśl też, jakiego politycznego zamieszania mógłby narobić taki nepotyczny sprzeciw.

– Polityka – parsknęła Chrys i odwróciła głowę, by wyjrzeć przez okno. – Miałam nadzieję, że twój ojciec z nią skończy, kiedy przestanie być gubernato-

rem. Powinnam się była domyślać, że tak łatwo nie pozwolą mi zostawić wszystkiego i odejść.

– Potrzebujemy jego wiedzy i doświadczenia, mamie – odrzekł Corwin, spoglądając na zegarek. – A jeżeli już o tym mowa, obawiam się, że muszę iść i dostarczyć radzie comiesięczną porcję tej wiedzy.

Przez twarz Chrys przemknął jakiś cień, ale tylko kiwnęła głową i wstała.

– Rozumiem – powiedziała. – Czy będziesz u nas dziś wieczorem na obiedzie? Bliźniaki powiedziały, że postarają się zdążyć.

Może była to ostatnia szansa na to, żeby mogli być wszyscy razem, do czasu, gdy Kobra Justin ukończy szkolenie.

– Jasne – odparł Corwin, a potem wstał i odprowadził matkę do drzwi. – Po zebraniu zamierzam porozmawiać trochę z tatą, a więc kiedy skończymy, przyjedziemy razem.

– To dobrze. Około szóstej?

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia. Odprowadził ją do samochodu i przyglądał się, jak odjeżdżała. Później, westchnąwszy ciężko, wsiadł do swojego wozu i pojechał do gmachu Dominium. Po drodze zastanawiał się, dlaczego problemy trapiące jego rodzinę wydawały się zawsze trudniejsze do rozwiązania od problemów stojących przed całymi światami. Może dlatego – pomyślał nonszalancko – że nie ma niczego, czym rada mogłaby mnie zaskoczyć.

Niedługo miał przypomnieć sobie tę myśl oraz niefortunną chwilę, w której mu przyszła do głowy... i skrzywić się z niesmakiem.

Rozdział drugi

Rada Syndyków – jak brzmiała jej oficjalna nazwa – we wczesnych latach kolonii była cokolwiek nieformalnym zgromadzeniem syndyków i gubernatora generalnego planety, zbierającym się, kiedy zachodziła potrzeba przedyskutowania ważnych problemów czy wytyczenia ogólnych kierunków, w jakich miał odbywać się rozwój kolonii. W miarę jednak, jak wzrastała liczba ludzi, a na dwóch innych światach założono nowe osady, liczebność i polityczne znaczenie rady rosły zgodnie z ogólnymi tendencjami panującymi w odległym Dominium Ludzi. Tylko że, inaczej niż na innych światach, na tej wysuniętej placówce oprócz połowy miliona zwyczajnych obywateli mieszkało prawie trzy tysiące Kobr. Wynikające z tego faktu nieuniknione rozprzestrzenianie się politycznej władzy wywarło przemożny wpływ na skład osobowy rady. Między szczeblami syndyka i gubernatora generalnego pojawił się szczebel gubernatora, dzięki czemu odpowiedzialność i władza mogły być rozłożone bardziej równomiernie. Kobry, dysponujące w trakcie głosowań dwoma głosami, miały swoją reprezentację na wszystkich szczeblach.

Corwin właściwie nie kwestionował filozofii politycznej, dzięki której struktura władzy w Dominium uległa zmianie, ale z czysto praktycznego względu stwierdzał często, że sama liczebność siedemdziesięciopięcioosobowej rady jest czymś, co utrudnia jej funkcjonowanie.

Tego dnia jednak, przynajmniej w ciągu pierwszej godziny, załatwianie wszystkich spraw przebiegało bardzo sprawnie. Większość omawianych zagadnień – włącznie z tymi, które przedstawił Corwin – dotyczyło od dawna znanych problemów, które już wcześniej dokładnie przedyskutowano. Kilka doczekało się oficjalnych uchwał, a resztę przekazano członkom rady do dalszych analiz i rozważań czy zwyczajnie odłożono na inny termin, toteż kiedy porządek dnia dobiegał końca, zaczęło wyglądać na to, że zebranie uda się zamknąć wcześniej niż zazwyczaj.

I wówczas gubernator generalny Brom Stiggur przedstawił problem, wobec którego nikt z obecnych nie mógł pozostać obojętny.

Zaczął się od starej, od dawna znanej sprawy.

– Pamiętacie wszyscy ten raport, który omawialiśmy przed dwoma laty – zaczął, rozglądając się po sali. – Ten, w którym nasz dalekosiężny zwiad doszedł do wniosku, że w promieniu przynajmniej dwudziestu lat świetlnych od Aventyny poza naszymi trzema skolonizowanymi światami nie ma innych planet, które moglibyśmy zagospodarować w przyszłości. Zdecydowaliśmy wówczas, że na tamtym etapie rozwoju naszych kolonii i przy tak małej liczbie ludności nie istnieje potrzeba pilnego podejmowania uchwały w sprawie problemu, który wtedy nie wydawał się taki naglący.

Corwin wyprostował się na krześle i wyczuł, jak inni wokół niego robią to samo. Stiggur wprawdzie wypowiedział te słowa bez emocji, ale można było się zorientować, że pod staranną modulacją głosu kryje jakąś sensację.

– Jednakże – ciągnął tymczasem Stiggur – w ciągu ostatnich kilku dni wydarzyło się coś nowego, co moim zdaniem powinno zostać natychmiast podane do wiadomości członków rady, zanim zostaną podjęte bardziej wnikliwe studia nad tym zagadnieniem.

Spojrząwszy na stojącego przy drzwiach strażnika-Kobrę, kiwnął głową. Tamten w odpowiedzi także kiwnął, otworzył drzwi... i wpuścił do sali Trofta.

Wśród zebranych osób przeszedł szmer zdumienia, a kiedy obca istota ruszyła w kierunku Stiggura, Corwin poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. Troftowie handlowali co prawda z koloniami od prawie czternastu lat, ale Corwin wciąż jeszcze nie pozbył się trwogi, jaką od najmłodszych lat zawsze odczuwał na ich widok. Wielu członków rady pamiętało coś więcej: okupacja Adirondack i Silvern, dwóch światów Dominium Ludzi zajętych przez wojska Troftów, miała miejsce zaledwie przed czterdziestoma trzema laty, a to właśnie ona zapoczątkowała całe przedsięwzięcie z Kobrami. Nie było przypadkiem, że osoby bezpośrednio kontaktujące się z handlarzami Troftów miały co najwyżej po dwadzieścia kilka lat. Tylko tak młodzi mieszkańcy Aventyny potrafili bez uprzedzeń spotykać się z obcymi istotami.

Troft zatrzymał się obok stołu i zaczekał, aż członkowie rady wydostaną swoje słuchawki i dołączą je do gniazdek translatora. Jeden czy dwóch młodszych wiekiem syndyków tego nie uczyniło, a Corwin poczuł zazdrość, kiedy ustawiał siłę głosu wzmacniacza na minimum. Jego kurs rozumienia piskliwej mowy obcych istot trwał wprawdzie tyle samo godzin co tamtych ludzi, ale było jasne, że nauka języków obcych nie była jego mocną stroną.

– Mężczyźni i kobiety Rady Światów zamieszkiwanych przez Kobry – odezwał się w słuchawkach cichy głos. – Jestem Pierwszym Mówcą domeny Tlos'khin'fahi Zgromadzenia Troftów.

Piskliwy jazgot mowy obcych istot trwał jeszcze przez sekundę po tym, jak głos z translatora ucichł, ale obie rasy już na samym początku wzajemnych kontaktów ustaliły, że ludziom wystarczą jedynie trzy pierwsze parasyllaby nazw domen Troftów i że dokładne tłumaczenie nazw własnych byłoby tylko stratą czasu.

– Władca domeny Tlos'khin'fahi skierował do pozostałych części Zgromadzenia prośbę o informacje, w wyniku czego mogę wam przedstawić propozycję zawarcia przez was trójstronnego układu z domenami Pua'lanek'zia i Baliu'ckha'spmi.

Corwin skrzywił się z niesmakiem. Nigdy jakoś nie przepadał za umowami, w których brały udział dwie lub więcej domen. Przyczyną była zarówno delikatna polityczna równowaga, o jaką świąty ludzi musiały często walczyć, jak i fakt, że ludzie właściwie nigdy nie wiedzieli o umowach zawieranych w takich przypadkach między samymi Troftami. Umowy takie musiały jednak istnieć, gdyż pojedyncze domeny bardzo rzadko – o ile w ogóle – przekazywały sobie coś za darmo.

O tym samym musiały widocznie myśleć i inne osoby uczestniczące w zebraniu rady.

– Mówisz o układzie trójstronnym, a nie czterostronnym – odezwał się gubernator Dylan Fairleigh. – Jaką więc rolę w tym wszystkim chciałyby odgrywać domena Tlos'khin'fahi?

– Władca mojej domeny zastrzega sobie funkcję pośrednika – padła natychmiastowa odpowiedź. – Za tę funkcję nie otrzymamy żadnego wynagrodzenia.

Troft przebiegł palcami po szarfie na brzuchu i ekran przed Corwinem rozjarzył się obrazem mapy pokazującej bliższą połowę Zgromadzenia Troftów. Na jednym ze skrajów ich terytorium zaczęły pulsować trzy małe, czerwone gwiazdki.

– Świąty zamieszkiwane przez Kobry – wyjaśnił ich znaczenie Troft, chociaż wcale nie było to konieczne.

W innym miejscu, w prawym górnym rogu ekranu, mniej więcej w jednej czwartej odległości od wyrzuczenia będącego częścią Terytorium Troftów, zaświeciła się pojedyncza zielona gwiazda.

– Świat nazywany przez swoich mieszkańców Qasamą – ciągnął Troft. – Władca domeny Baliu'ckha'spmi określa ich mianem rasy obcych istot stanowiących ogromne potencjalne zagrożenie dla całego Zgromadzenia. Tutaj zaś...

W miejscu położonym w pobliżu pulsującej zielonej gwiazdy, ale bliżej Światów Ludzi, pojawiła się mglista plama o nieregularnych kształtach.

– Gdzieś w tych okolicach znajduje się gromada pięciu położonych blisko siebie światów, na których panują warunki umożliwiające życie ludzi. Władca domeny Pua'lanek'zia określi ich dokładne położenie i zobowiąże się uzyskać zgodę całego Zgromadzenia na skolonizowanie ich przez ludzi, jeżeli wasze Kobyry usuną zagrożenie, jakie stanowi dla nas Qasama. Oczekuję na odpowiedź.

Troft odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia... i wówczas dopiero Corwin zdał sobie sprawę z tego, że wstrzymywał oddech. Pięć nowych, nie zasiedlonych jeszcze światów... za cenę zostania najemnikami Troftów.

Zastanowił się, czy Troft mógł wiedzieć, jaką burzę wywoła swoją propozycją.

Nawet jeżeli tego nie wiedział, z pewnością rada uświadamiała to sobie bardzo dobrze. Przez prawie całą minutę w sali panowała głucha cisza, w trakcie której każdy z członków widocznie próbował przewidzieć możliwe skutki przyjęcia lub odrzucenia tej oferty. W końcu Stiggur odchrząknął i powiedział:

– Rzecz jasna, nikt z nas nie zamierza odpowiadać na tę propozycję jeszcze dzisiaj ani nawet nie chce dyskutować jej wad i zalet, niemniej będę wdzięczny za wszelkie wstępne uwagi, jakie mogły nasunąć się po jej wysłuchaniu.

– Jeżeli o mnie chodzi, przede wszystkim chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej, zanim w ogóle zaczniemy poważnie dyskutować – odezwała się gubernator Lizabet Telek. Jej wiecznie pełen zakłopotania głos nie pozwalał się zorientować, co może sądzić na ten temat. – Na początek mogłoby to być coś więcej o tych obcych istotach: ich dane biologiczne, stan zaawansowania techniki, szczególnie na temat rzekomego zagrożenia, jakie stanowią dla Troftów, i tak dalej. Stiggur pokręcił głową.

– Pierwszy Mówca albo nie dysponuje żadnymi innymi informacjami na ten temat, albo nie chce ujawnić ich nam za darmo... już go o to wypytywałem. Osobiście podejrzewam, że raczej chodzi o ten pierwszy powód, jako że nie widzę potrzeby, dla której domena Tlos miałaby kupować coś, co i tak byłoby dla niej tylko abstrakcyjną informacją. A zanim ktoś zechce mnie o to zapytać, chcę powiedzieć, że to samo dotyczy także informacji na temat tych pięciu światów oferowanych nam przez domenę Pua.

– Innymi słowy, mamy zawrzeć umowę, na temat której właściwie nic nie wiemy? – odezwał się jeden z młodszych syndyków.

– Niezupełnie – rzekł gubernator Jor Hemner i pokręcił głową, choć był to ryzykowny ruch u kogoś wyglądającego tak staro. – Istnieje wiele innych pośrednich możliwości, takich choćby jak zakup informacji o tych światach od domeny Baliu albo wysłanie własnej wyprawy rozpoznawczej. Zgodnie ze swoją standardową procedurą handlową Troftowie oczekują, że to my pierwsi zaproponujemy im coś takiego. Zastanawiam się tylko, czy ustanawianie takiego precedensu to rozsądny pomysł.

– A dlaczego nie? – odezwał się ktoś inny, siedzący po tej samej stronie sali co Corwin. – To strach przed Kobrami powoduje, że Troftowie zachowują się wobec nas przyjaźnie, prawda? W jaki lepszy sposób moglibyśmy im wykazać, że tego rodzaju przezorność jest przez nas mile widziana?

– A jeżeli przegramy? – zapytał cicho Hemner.

– Kobry jeszcze nigdy nie przegrały.

Corwin popatrzył na gubernatora Howie’ego Yartansona z Caeliany, zastanawiając się, czy nie chciałby zabrać głosu. Ten jednak tylko lekko zacisnął usta i milczał. Corwin już kiedyś się przekonał, że politycy z Caeliany mieli zwyczaj nie rzucać się w oczy, ilekroć przybywali na Aventinę, ale czuł, że ktoś jednak powinien powiedzieć coś więcej na ten temat. Najlepiej delikatnie, o ile to możliwe...

– Chciałbym zwrócić uwagę – przemówił w końcu – że posiadanie jednej lub kilku nowych planet pozwoliłoby nam rozwiązać problemy Caeliany bez pozbawiania dziewiętnastu tysięcy jej mieszkańców prawa do własnego świata.

– Tylko wówczas, gdyby zechcieli ją opuścić – powiedział Stiggur, ale zgodnie z przewidywaniami Corwina wzmianka o Caelianie widocznie zwróciła myśli członków rady na istniejący od dawna pat w walce między Kobrami a wrogim ludzom ekosystemem tego dziwaczного świata.

Oficjalne raporty określały ten stan wdzięcznym mianem „nieustannej adaptacji genetycznej”. Sami Caelianie natomiast nazwali to bardziej dosadnie „piekielnym galimatiasem”. Wszystkie rośliny czy zwierzęta na planecie, od najmarniejszego porostu do największego drapieznika, mimo wysiłków ludzi, by je z niej usunąć, były bezmyślnie nastawione na trzymanie się własnej ekologicznej i terytorialnej niszy. Jeśli oczyści się z roślinności jakiś skrawek ziemi i otoczy go ochronną biologiczną barierą, po kilku dniach pojawi się na nim tuzin nowych odmian tych samych roślin starających się go odzyskać. Wzniesie się dom w miejscu, w którym rosły krzaki – a niedługo na jego ścianach wyrosną miejscowe grzyby. Zbuduje się osadę czy nawet małe miasto – a po jakimś czasie po ulicach będą chodziły zwierzęta... i to wcale nie te najmniejsze. Corwin kiedyś usłyszał,

jak Jonny nazwał ten świat wiecznie obłożonym przez przyrodę. Tylko sami Ca-
elianie wiedzieli, w jaki sposób – i dlaczego – znosili to wszystko tak cierpliwie.

Przez kolejną dłuższą chwilę w sali znów panowała cisza. Stiggur rozejrzał
się po zebranych i kiwnął głową, jak gdyby zgadzał się z tym, co zobaczył.

– No cóż – powiedział w końcu. – Moim zdaniem gubernator Telek ma rację,
kiedy mówi, że musimy zebrać o wiele więcej informacji, zanim w ogóle zacznie-
my dyskutować. Na razie chciałbym prosić, żebyście, zanim sami nie omówimy
wad i zalet tej propozycji, nie wspominali o niej mieszkańcom waszych osad. A
teraz ostatni punkt obrad, po którym będziemy mogli się rozejść. Mam tutaj listę
osób chcących zostać Kobrami, która wymaga ostatecznego zatwierdzenia przez
radę.

Na ekranie Corwina pojawiło się dwanaście nazwisk – niezwykle dużo – a
obok nich nazwy osad i okręgów. Wszystkie nazwiska były mu dobrze znane. Ko-
misja kwalifikacyjna Akademii Kobr przesłała radzie wyniki testów wstępnych
niemal przed miesiącem. Justin Moreau był wymieniony na tej liście jako siódmy.

– Czy ktoś z zebranych chciałby zgłosić indywidualny albo zbiorowy sprze-
ciw wobec tego, by któryś z tych obywateli został Kobrą? – zapytał zgodnie z
przyjętą procedurą Stiggur.

Kilka osób siedzących najbliżej Corwina zwróciło głowy w jego stronę, ale
on, zacisnąwszy zęby, wpatrywał się w milczeniu w twarz gubernatora general-
nego i nie podniósł ręki.

– Nie widzę. A zatem rada popiera opinię komisji kwalifikacyjnej Akademii
Kobr i wyraża zgodę na rozpoczęcie nieodwracalnych etapów procesu szkolenia
kandydatów na Kobry. – Stiggur nacisnął jakiś klawisz i wszystkie ekrany w sali
ściemniały. – Ogłaszam niniejsze zebranie rady za zakończone.

Nieodwracalne etapy. Corwin słyszał już przedtem te słowa ze dwadzieścia
razy, ale nigdy jeszcze nie brzmiały w jego uszach tak stanowczo. Może dlatego,
że nigdy przedtem nie słyszał, by odnosiły się do jego młodszego brata.

Justin Moreau zatrzymał samochód przed samym domem. Czuł, jak napięcie
z jego ramion przenosi się przez ręce na zaciśnięte na kierownicy zbielełe palce.
Zaledwie przed godziną powiadomiono go przez telefon, że rada wyraziła zgodę
na to, by został Kobrą. Już jutro miał się poddać pierwszej operacji mającej na
celu skierować go ostatecznie i nieodwołalnie na szlak, przetarty przez ojca... ale
jeszcze dzisiaj musi stawić czoło bólowi, jaki sprawił tą decyzją matce.

– Jesteś gotów? – zapytał siedzący obok niego Joshua.

– Bardziej już nigdy nie będę – odparł Justin. Otworzywszy drzwi, wysiadł i ruszył w stronę domu. Po chwili brat znalazł się obok niego.

Kiedy zapukali, drzwi otworzył im Corwin i mimo dręczącego go niepokoju Justin ucieszył się z nieuniknionej chwili wahania, jaką zajęło ich starszemu bratu zorientowanie się, który jest który. Nawet pośród identycznie wyglądających bliźniaków Joshua i Justin charakteryzowali się tym, że niemal nie można było ich odróżnić. Ten fakt zresztą był powodem niezliczonych pomyłek, jakie popełniali inni, nie widujący ich często ludzie. Nie mylili się tylko członkowie rodziny i bliscy przyjaciele, ale i ich można było całymi godzinami zwodzić, jeżeli tylko bracia zamieniali się potajemnie tunikami. Próbowali tych sztuczek wiele razy, a przestali, kiedy w końcu ich ojciec zagroził, że naznaczy im czoła niezmywalną farbą.

– Joshua, Justin – odezwał się na ich widok Corwin i kiwnął głową, spojrzawszy na nich po kolei, jak gdyby chciał im dowieść, że rozpoznał ich prawidłowo. – Porzućcie wszelką nadzieję na beztroską rozmowę, wy, którzy tu wchodzicie. Dziś wieczorem Rada Wojenna Rodziny Moreau zaczyna obrady.

Zaraz się zacznie – jęknął w myślach Justin. Corwin jednak już zdążył się usunąć na bok, a Joshua właśnie wchodził, a więc było za późno, żeby się wycofać. Zgarbiwszy się, ruszył w ślad za bratem.

Zastał rodziców siedzących obok siebie na wersalce w salonie. Z przyzwyczajenia przyjrzał się uważnie ojcu i ocenił, że od czasu, kiedy widział go po raz ostatni, sprawia wrażenie trochę bardziej chorego. Stwierdził jednak, że choroba nie postępuje bardzo szybko. Znacznie bardziej zaniepokoił go przelotny skurcz bólu, jaki przemknął po twarzy ojca, kiedy uniósł lekko dłoń, żeby pozdrowić obu synów. Przeciwbólowe tabletki, które zażywał w związku z artretyzmem, z pewnością aż tak bardzo nie wpływały na jasność myślenia. Jeżeli zdecydował się ich nie zażyć, musiał istnieć naprawdę jakiś ważny powód. Spojrzenie na ponurą twarz matki tylko go o tym upewniło. Przez dłuższą chwilę rozmyślał, że zapewne nie docenił siły, z jaką rodzina sprzeciwi się jego ambicjom zostania Kobrą.

Ale nie trwało to długo.

– Obiad będzie gotowy za pół godziny – odezwał się Jonny do bliźniaków, kiedy wybrali sobie krzesła i usiedli. – W tym czasie chciałbym się dowiedzieć, co za propozycję przedstawił Stiggur na dzisiejszym zebraniu rady. Corwin?

Corwin usiadł na krześle stojącym w miejscu, z którego mógł widzieć twarze pozostałych osób.

– To wszystko ma być, rzecz jasna, utrzymywane w tajemnicy – zaczął... i uraczył ich najdziwniejszą historią, jaką Justinowi udało się kiedykolwiek usłyszeć.

Jonny zaczął, aż minie kilka sekund po tym, jak jego najstarszy syn skończył mówić, a potem, przymrużywszy oko, zwrócił się do bliźniąt.

– No, co o tym sądzicie? – zapytał.

– Nie ufam im – odezwał się pospiesznie Joshua. – Szczególnie domenie Tlos. Z jakiego powodu mieliby oferować nam swoje usługi za darmo?

– To akurat wydaje mi się oczywiste – powiedział mu Jonny. – W kontaktach handlowych nazywa się coś takiego darmową próbką... i jest to zresztą korzystne dla obu partnerów. Jeżeli podejmiemy się tego zadania, a domenie Baliu spodoba się nasza praca, Tlossowie bez wątpienia zaoferują swe pośrednictwo jako nasi agenci w rozmowach z innymi domenami, które mogą się nami zainteresować.

– A jeśli nam spodoba się ich praca, zaoferują swoje usługi w wyszukiwaniu dla nas nowych zadań – dokończył Corwin. – Próbowali nas w taki sam sposób zachęcić wówczas, kiedy po raz pierwszy nawiązywaliśmy kontakty handlowe z Troftami. To zresztą jest powodem, dla którego tak duża część wymienianych przez nas towarów z nimi przechodzi teraz przez ich ręce.

– No dobrze – odezwał się Joshua, wzruszając ramionami. – Przypuśćmy, że za ich propozycją nie kryje się nic więcej. Czy pięć stanowiących dla nas wątpliwą atrakcję planet jest warte tego, żeby toczyć wojnę? I to taką, do której nikt nas nie sprowokował?

– Spójrz na ten problem z innej strony – odpowiedział mu Corwin. – Przypuśćmy, że te nie znane obce istoty naprawdę stanowią zagrożenie. Czy wolno nam ten fakt ignorować i mieć nadzieję, że nas nie odnajdą? Może jednak byłoby lepiej rozprawić się z nimi teraz, kiedy będziemy mogli zrobić to względnie łatwo?

– A co ma znaczyć to twoje „względnie łatwo”? – zapytał go Joshua.

Corwin popatrzył na matkę siedzącą z zaciśniętymi ustami. Dyskusja zaczęła przebiegać zgodnie ze znanym mu od dawna schematem: w takich rozmowach okrągłego stołu Corwin zazwyczaj podejmował się roli zwolennika, co znaczyło, że Jonny był zmuszony wynajdywać kontrargumenty, jak gdyby chciał być przeciwnikiem. Byłoby bardzo ciekawe wiedzieć, co naprawdę myśli, ale nie miał zwyczaju ujawniać swojego zdania, zanim obaj bliźniacy nie wygłosili swojego. Chrys jednak mogła nie być aż taka powściągliwa.

– Mamo, ty jeszcze nic nie mówiłaś – powiedział. – Co sądzisz na ten temat?

Spojrzała na niego, a w kącikach jej ust pojawił się nieśmiały, zmęczony uśmiech.

– Na temat tego, że zamierzasz zostać Kobrą? To jasne, że nie chciałabym, byś ryzykował życie dla światów, których nie będziemy potrzebowali w ciągu najbliższego tysiąclecia. Pomijając jednak moje emocje, czysta logika zmusza mnie do zastanowienia się nad tym, dlaczego Troftowie wybrali właśnie nas do tej pracy. Dysponują machiną wojenną co najmniej dorównującą tej, jaką ma Dominium... jeżeli sami nie potrafią uporać się z zagrożeniem ze strony obcych istot, dlaczego się spodziewają, że my to potrafimy?

Justin popatrzył na Joshuę i zobaczył malujący się na jego twarzy cień niepokoju – zapewne reakcję na zaskoczenie, jakie sam odczuwał. Było to zrozumiałe: Justin wiedział o wiele więcej od brata na temat zarówno możliwości jak ograniczeń Kobry. Odwrócił głowę w stronę ojca i ujrzał wpatrzony w siebie jego oczy.

– Tak, to dziwne – powiedział.

– Masz rację – zgodził się z nim Jonny. – Jedyna przewaga nad wyszkolonymi do walki żołnierzami, jaką mają Kobry, wynika z faktu, że ich uzbrojenie jest niewidoczne. Trudno mi sobie wyobrazić, by w jakiegokolwiek innej wojnie niż partyzancka taki fakt mógł decydować o zwycięstwie.

– Rzecz jasna, najbliżsi wyszkoleni do walki żołnierze, o których mi wiadomo, znajdują się na światach Dominium... – zaczął Corwin.

– A więc jeśli mogą proponować to nam, równie dobrze mogą zaproponować to im – dokończył za niego Justin. – Czy mam rację?

Corwin kiwnął głową.

– To pozostawia mi tylko jedną odpowiedź na zadane przez mamę pytanie.

Na krótką chwilę w salonie zapadła cisza.

– Próba – przerwał ją w końcu Justin. – Chcą poddać nas kolejnej próbie, żeby stwierdzić, do jakiego stopnia Kobry są niezwyciężone. Jonny kiwnął głową.

– Nie widzę żadnego innego powodu. Zwłaszcza, że domeny zlokalizowane po naszej stronie Zgromadzenia Troftów najprawdopodobniej nie miały podczas wojny żadnego kontaktu z ludźmi. Dysponują więc jedynie raportami domen znajdujących się po tamtej stronie. Może doszli tam do wniosku, że te relacje są znacznie przesadzone.

– No dobrze... co zatem powinniśmy zrobić? – zapytał Joshua. – Postąpić asekurancko i odpowiedzieć, że nie interesuje nas zawód najemnika?

– Zalecałbym tak właśnie zrobić – westchnąwszy, odezwał się ich ojciec. – Niestety jednak... Corwin, może lepiej ty im powiedz.

– Zaraz po zakończeniu zebrania rady postarałem się dowiedzieć, co sądzą na ten temat przynajmniej niektórzy jej członkowie. Ośmiu syndyków i dwóch gubernatorów, z którymi rozmawiałem i którzy doszli do podobnych wniosków, podzieliło się na dwa równe liczebnie obozy w sprawie kwestii, czy nieskorzystanie z oferty nie byłoby niebezpiecznym sygnałem świadczącym o naszej słabości.

– A jeżeli z niej skorzystamy i przegramy, jakim będzie to wówczas sygnałem? – parsknął Joshua.

Justin popatrzył na Corwina.

– A co sądzą na ten temat inne zasiadające w radzie Kobry? – zapytał. – Rozmawiałeś z nimi?

– Tylko z jednym. Był bardziej zainteresowany różnymi modyfikacjami, jakie trzeba będzie wprowadzić w wyposażeniu i uzbrojeniu Kobr, żeby przygotować ich do udziału w prawdziwej wojnie.

– Właściwie będzie to wymagało wymiany systemu naprowadzania na cel – stwierdził Jonny. – Ten, który pozostawiono Kobrom, nie umożliwi nam zajmowania się wieloma celami równocześnie, a z taką sytuacją możemy się spotkać podczas walki. Oprócz tego trzeba zmodyfikować treść niektórych wykładów i ćwiczeń praktycznych, ale poza tym nie widzę potrzeby wprowadzenia innych zmian. Rzecz jasna, nanokomputery wciąż mają zaprogramowane wszystkie odruchy bitewne.

Justin przesunął językiem po wargach. Odruchy bitewne. Broszury informujące na temat Kobr nigdy nie mówiły o nich wyraźnie, ale przecież to na tym mimo wszystko polegała Zdolność do Natychmiastowej Obrony. Odruchy bitewne. Nanokomputer. Coś, co działało całkiem rozsądnie w przypadku walki sam na sam z kolczastym lampartem, nie wydawało się już tak samo niezawodne, jeżeli chodziło o prawdziwą wojnę.

A jednak... jeden z tych samych małych komputerów pomógł jego ojcu przeżyć trzy lata partyzanckiej wojny z Troftami. Jego ojcu, a także Cally'emu Halloranowi i setkom innych Kobr. Nanokomputer i laminowane, niełamliwe kości, i sieć serwowatorów wspomagających działanie mięśni, i lasery, i broń soniczna... Zorientował się, że wodzi wzrokiem po sylwetce ojca, starając się przypomnieć sobie te wszystkie urządzenia, jakie mu kiedyś implantowano... urządzenia, które chirurdzy akademii Kobr zaczną już jutro implantować jemu...

Usłyszał nagle wymówione swoje imię. Ocknąwszy się z zadumy, popatrzył na starszego brata.

– Przepraszam – powiedział. – Trochę się zamyśliłem. Co mówiłeś?

– Pytałem, co sądzisz o zostaniu najemnikiem, gdyby do tego miało się sprwadzić całe to przedsięwzięcie – rzekł Corwin. – Chodzi mi o stronę etyczną.

Justin niechętnie wzruszył ramionami i odwrócił głowę, starając się uniknąć wzroku brata.

– Może będziemy w ten sposób bronili przed zagrożeniem ze strony obcych istot również nasze światy – odparł. – Z pewnością uzmysłowimy całemu Zgromadzeniu Troftów, jakimi możliwościami dysponujemy. Tak czy inaczej, przysłużymy się w ten sposób naszym mieszkańcom... a w tym celu szkolone są przecież Kobry.

– Innymi słowy, nie miałbyś nic przeciwko braniu udziału w walce? – zapytała go cicho Chrys.

Justin skrzywił się na te słowa, ale głos mu nie zadrżał, kiedy odpowiedział:

– Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli to będzie konieczne. Nie sądzę jednak, byśmy mieli decyzję w tak ważnej sprawie pozostawiać Troftom. Rada powinna zebrać wszystkie możliwe dane o obcych istotach i wówczas podjąć decyzję w sprawie tych pięciu planet, którymi starają się nas skusić Troftowie.

W kuchni odezwał się cichy, melodyjny kurant.

– Czas na obiad – oświadczył Jonny, wstając ostrożnie z wersalki. – A wraz z porą posiłku ogłaszam koniec rozmów o polityce. Dziękuję wam za poparcie. To miło wiedzieć, że cała rodzina osiągnęła w tej sprawie zgodę. A teraz chodźmy do kuchni i pomóżmy matce. Trzeba nakryć stół, opłukać warzywa i pokroić pieczeń... myślę, Corwin, że tym razem twoja kolej.

Corwin tylko kiwnął głową i ruszył do kuchni, a tuż za nim udał się tam Joshua. Chrys zatrzymała się przez chwilę przy Jonnym, a Justin ociągał się tak długo, że zdołał dostrzec, iż ojciec wyjmuje z kieszeni fiolkę z tabletkami przeciwbólowymi. Rozmowa o polityce naprawdę się skończyła – powiedział sam do siebie.

Zostawiwszy rodziców samych, pospieszył do kuchni pomóc braciom.

Rozdział trzeci

W ciągu ostatniego roku czy dwóch w tej części Trappers Forrest szalały aventińskie gwałtowne burze z piorunami, na skutek których najwyższa góra tego rejonu bardzo ucierpiała. Co najmniej jedno drzewo zostało rozłupane przez piorun na szczapy, a sześć czy siedem innych powalonych czy to przez pioruny, czy przez wichurę. W rezultacie na samym wierzchołku góry powstała naturalna polana, która mimo nierówności gruntu umożliwiała dobry widok w promieniu trzydziestu metrów od szczytu. Był to nieoczekiwany luksus, jeżeli chodzi o punkt dowodzenia przeciętnego Kobry... ale przecież zakres obowiązków przeciętnego Kobry nie przewidywał, że będzie musiał uważać na cywilnych obserwatorów.

Ustawwszy czułość wzmacniaczy słuchu na maksimum, Almo Pyre powiódł wzrokiem po skraju polany, doskonale świadom obecności stojącej tuż za nim kobiety w średnim wieku. Nie tylko była osobą cywilną, ale jednym z trzech aventińskich gubernatorów, a troszczenie się o bezpieczeństwo kogoś tak ważnego to zbyt cenne – żeby nie powiedzieć bezmyślne – ryzyko, którego nie zgodziłby się podjąć żaden trzeźwo myślący Kobra. Nie powinienem jej zabierać – pomyślał z irytacją Pyre. – Oficjalna nagana byłaby niczym w porównaniu z piekłem, jakie rozpęta się, jeżeli ona przypadkiem zginie.

W umieszczonej w jego prawym uchu słuchawce odezwało się ciche mruczenie – trzy krótkie dźwięki. To Winward zauważył jednego z kolczastych lampartów, na które polowali. Pyre pojedynczym mruknięciem do mikrofonu umieszczonego na policzku dał znać, że go zrozumiał, ostrzegając przy tej okazji innych. Ten ograniczony i często mało praktyczny w użyciu system porozumiewania się za pomocą mruknięć miał jednak pewną przewagę nad słowami. Dźwięki były na tyle ciche, że nie uruchamiały ograniczników głośności sygnałów odbieranych przez wzmacniacze słuchu.

– Hm? – mruknęła pytająco gubernator Telek. Uczyniła to nieco głośniej, niż odezwałby się Kobra, ale orientowała się na tyle, żeby nie zapytać na głos.

Pyre ograniczył czułość wzmacniacza słuchu i uważniej zaczął obserwować skraj polany.

– Michael odnalazł jednego – wyjaśnił jej niemal szeptem. – Pozostali będą teraz kierowali się w jego stronę, starając się odnaleźć inne dorosłe osobniki albo legowisko z młodymi.

– Młodymi – powtórzyła Telek i chociaż w jej głosie nie dało się usłyszeć emocji, można było się domyślić, że tego nie pochwała.

Pyre lekko wzruszył ramionami. Czyżby w prześwicie między dwoma drzewami zobaczył jakiś poruszający się cień?

– Tegoroczne młode w przyszłym roku zaczną się rozmnażać – przypomniał. – Jeżeli pani i inni biologowie wymyślicie jakiś sposób na to, żeby...

Z prawej strony dobiegł go nagły świst gałęzi drzewa. Odwrócił się natychmiast i zobaczył szybującego ku nim wielkiego kota.

Pyre od razu się zorientował, że skok okaże się za krótki. Wiedział jednak, że drapieżnik spadnie wszystkimi łapami na ziemię i natychmiast na nich skoczy. Dłonie Pyre'a były już gotowe do strzału: małe palce wyciągnięte w stronę lamparta, a kciuki zetknięte z paznokciami serdecznych palców. Kiedy tylne łapy szybującego zwierza zaczęły się prostować, wystrzelił.

Lasery małych palców zakwitły nitkami światła, które trafiły lamparta w łeb, zwęglając futro i kości i niszcząc część komórek mózgu. Oczy zwierza jednak, w które celował, nie zostały zniszczone, a bardziej od ludzkiego zdecentralizowany system nerwowy drapieżnika nie zareagował na uszkodzenia mózgu, jak gdyby w ogóle ich nie zauważył. Kolczasty lampart wylądował, poślizgnąwszy się lekko na suchych, leżących na ziemi gałązkach...

Pyre wykonał półobrót i unosił właśnie do strzału lewą nogę, kiedy Telek głośno nabrała powietrza w płuca.

– Uwważaj! Z tyłu! – niemal krzyknęła.

Pyre mógł sobie w tej sytuacji pozwolić tylko na rzut oka przez ramię, ale to wystarczyło. Cień, ruszający się przed chwilą w lesie, przemienił się w drugiego kolczastego lamparta, pędzącego teraz ku nim niczym futrzany pocisk.

Obracając się nadal w tę samą stronę, w którą zaczął, Pyre nie był w stanie wyrządzić drugiemu drapieżnikowi żadnej krzywdy.

– Na ziemię! – warknął do Telek, rozpaczliwie starając się zwrócić uwagę szarżującego lamparta na siebie.

Był pewien, że dzięki zaprogramowanym odruchom zdoła w porę uskoczyć, ale wiedział też, że żadne postronne osoby nie będą miały takiej szansy. W uła-

mek sekundy później jego noga znalazła się w pozycji dogodnej do strzału, a z pięty buta wystrzelił strumień jaskrawego światła z przeciwpancernego lasera.

Nie było czasu na ocenę skutków tego strzału. Musiał założyć, że pierwszy lampart został przynajmniej na jakiś czas obozwładniony. Nie przestając się obracać, Pyre postawił lewą nogę na ziemi obok prawej, a prawą zaczął unosić...

W samą porę, by trafić piętą w łeb szarżującego drugiego kolczastego lamparta.

Nie mogło być mowy o tym, żeby stojąc na lewej nodze, zdołał zamortyzować całą siłę uderzenia zwierzęcia – toteż w chwili, w której kły lamparta chwyciły podeszwę jego buta, przewrócił się. Upadając, podkurczył lewą nogę i szarpnięciem uwolnił but prawej z paszczy... a kiedy drapieznik szybował nad jego głową, raptownie wyprostował lewą i całą siłą wspomaganą przez serwomotory mięśni kopnął go w miękkie podbrzusze.

Kolczasty lampart wydał przeraźliwy skowyt, a Pyre zauważył, jak kolce jego przednich łap wysunęły się w obronnym odruchu do przodu i na boki. Zwierzę wiedziało, że jest ranne... chociaż z pewnością nie mogło przypuszczać, że jego los jest przesądzony. Poza uszkodzeniem organów wewnętrznych, ten sam kopniak, który wymierzył mu Pyre, podrzucił go w powietrze trochę wyżej, a dodatkowe pół sekundy, jakie dzięki temu lampart szybował, zanim wylądował na ziemi, wystarczyło, żeby Pyre przygotował lewą nogę do strzału. Przeciwpancerny laser rozbłysnął światłem dwa razy i drapieznik opadł na ziemię w postaci dymiących szczątków.

Pyre podniósł się, po czym odruchowo spojrział najpierw na nieruchome zwłoki pierwszego kolczastego lamparta, a potem odwrócił się i popatrzył, co dzieje się z gubernator Telek.

Kobieta przykucnęła na ziemi w niewielkim zagłębieniu między pniami dwóch powalonych drzew, a w prawej dłoni trzymała mały pistolet pneumatyczny, z którym się nigdy nie rozstawała.

– Czy niebezpieczeństwo już minęło? – zapytała, a w jej głosie dało się słyszeć tylko nieznaczne drżenie.

Pyre uważnie omiótł wzrokiem całą okolicę.

– Tak sędzę – odparł, a potem podszedł do niej i podał jej rękę, chcąc pomóc jej się podnieść. – Dziękuję za ostrzeżenie.

– Nie ma za co.

Nie przyjęła pomocy, a kiedy wstała, otrzepała ubranie z kurzu i zeschniętych liści.

– Słyszałam doniesienia z innych okolic o tym, że kolczaste lamparty ostatnio coraz częściej polują parami, ale nie miałam pojęcia, że coś takiego może się dziać i tutaj. Sądziłam, że w tych gęstych lasach nie powinny czuć się tak bardzo zagrożone...

– A jednak się czują – odparł ponuro Pyre. – Jak powiedziałem, jeżeli wy, biologowie, nie zrobicie czegoś, żeby temu przeciwdziałać, takie polowania w grupach zaczną przytrafiać się nam coraz częściej.

– Prawdę mówiąc, ostatnio nie interesuję się najnowszymi wynikami badań biologicznych tak bardzo jak kiedyś...

Przerwała, kiedy Pyre uciszył ją uniesieniem ręki.

– Meldujcie – odezwał się cicho do mikrofonu. – ...Tak. Potrzebujecie pomocy?... W porządku. Wróćcie tutaj, kiedy tylko skończycie.

Telek przez cały ten czas nie spuszczała go z oka.

– Znaleźli legowisko – oznajmił. – Było w nim dziesięcioro młodych.

Jej usta mocno się zacisnęły.

– Dziesięcioro. Przed dwudziestu laty miot samicy kolczastego lamparta nigdy nie liczył więcej niż dwa do trzech kociąt. Nigdy.

Pyre niechętnie wzruszył ramionami i palcami przeczesał przerzedzające się włosy. Mam czterdzieści siedem lat – pomyślał – a wciąż uganiam się po lesie jak dzieciak, który dopiero awansował na oficera. Mógłby wysławić swą gorycz, gdyby jego zadanie nie było aż tak ważne.

– Przepędziliśmy je ze zbyt dużej części zajmowanego przez nie obszaru – powiedział, kręcąc głową. – Nie wiem, w jaki sposób zdają sobie z tego sprawę, ale jakoś wiedzą, że na Aventynie jest miejsce dla znacznie większej liczby kolczastych lampartów. Przynajmniej teoretycznie.

Telek cicho parsknęła.

– Teoretycznie, dobre sobie. Już widzę te kolczaste lamparty spacerujące po ulicach Capitalii. – Teraz ona pokręciła głową. – Żebyś wiedział, Pyre, jak często biologowie tęsknili za planetą z ekosystemem, który sam potrafiłby leczyć zadawane mu przez ludzi rany. A teraz mamy takie aż dwie... i kłopotów z nimi co nie-miara.

– Jeżeli chodzi o Caelianę, kłopoty nie są najwłaściwszym słowem, pani gubernator – mruknął Pyre.

– To prawda.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że odwrócił głowę i popatrzył na nią. Zobaczył, jak z mocno zaciśniętymi ustami wpatruje się w skraj lasu.

– No cóż... – powiedziała. – Może jednak będziemy mogli coś w jej sprawie zrobić.

– Uważam, że jedyną rzeczą, jaką możemy zrobić w sprawie Caeliany, to ją opuścić – odparł.

– Właśnie to miałam na myśli – rzekła, kiwnąwszy głową. – Powiedz mi, czy będę mogła się z tobą skontaktować i prosić cię o radę jeszcze przed wyznaczonym na pojutrze zebraniem? Potrzebna mi będzie opinia przywódcy grupy Kobr, który ma duże doświadczenie w pracy.

– Myślę, że tak – odparł z wahaniem. – Ale dopiero wówczas, kiedy skończymy pracę w tych stronach.

– To świetnie – ucieszyła się. – Sądzę, że moja propozycja powinna cię bardzo zainteresować.

Wątpię – pomyślał posępnie, zwracając ponownie uwagę na linię lasu. – Jeszcze jeden polityczny umysł i jeszcze jedna próba politycznego załatwienia sprawy. Raz – chociaż jedyny raz – chciałbym usłyszeć coś innego. Cokolwiek, byle tylko byłoby inne.

Niespodziewanie przed oczami stanęła mu twarz Torsa Challinora. Tego samego Challinora, który wiele lat wcześniej usiłował dokonać wojskowego zamachu stanu. No cóż – powiedział do swoich wspomnień, wzruszając ramionami. – Wobec tego chciałbym usłyszeć coś przynajmniej chociaż trochę innego.

Rozdział czwarty

– Niniejszym ogłaszam dzisiejsze zebranie za otwarte – odezwał się gubernator generalny Stiggur, po tym, jak dramatycznym gestem opuścił dłoń i naciśnął klawisz uruchamiający zaplombowany rejestrator.

Corwin doszedł do wniosku, że w pewnym sensie cały efekt tych słów się marnuje, kiedy padają w pomieszczeniu wielkości sali konferencyjnej, gdzie przebywa zaledwie sześć osób.

– Zaprosiłem was tutaj – ciągnął tymczasem Stiggur – w celu przedyskutowania problemu postawionego na zebraniu rady przed dwoma tygodniami, a mianowicie, czy podjąć się zadania zaproponowanego nam przez domenę Tlos.

Corwin popatrzył ukradkiem na siedzące wokół stołu pięć osób pełniących funkcję gubernatorów, czując jak nigdy przedtem podczas zebrań rady ciężar otaczającej go politycznej władzy. Przygniatający, przytłaczający, niemal duszący ciężar...

Dopóki nie odezwała się gubernator Telek i swoją wypowiedzią nie zdjęła mu go z ramion.

– Rozumiem, Brom, że twoje słowa mają zrobić wrażenie na przyszłych pokoleniach – odezwała się do Stiggura – ale czy nie mógłbyś darować sobie tych napuszonych, anachronicznych sformułowań?

Stiggur popatrzył na nią, najwyraźniej chcąc spiorunować ją wzrokiem, ale było widać, że robi to raczej z obowiązku.

Żadne nie przybyło na Aventinę przed wieloma laty z nadzieją na zrobienie kariery politycznej, i chociaż wywiązywali się z pełnionych funkcji na ogół poprawnie, w głębi duszy nie byli zawodowymi politykami.

– No dobrze – westchnął w końcu Stiggur. – Przypuśćmy, że masz rację. Czy ktoś z was nie chciałby zabrać głosu jako pierwszy?

– Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, gdzie w tej chwili podziewa się honorowy gubernator Jonny Moreau – odezwał się Howie Yartanson, gubernator Caeliany. – Wydaje mi się, że dzisiejsze zebranie powinno być dla niego ważniejsze niż ćwiczenia czy cymkolwiek innym teraz się zajmuje.

– Mój ojciec przebywa w tej chwili w szpitalu – odparł spokojnie Corwin, opierając się pokusie, żeby powiedzieć coś przykrego na temat tego bezmyślnego grubiaństwa. Mimo wszystko tamten wiedział przecież, że Jonny jest Kobrą pierwszej generacji. – Lekarze są zdania, że ma kłopoty z systemem immunologicznym – oznajmił tylko.

– Czy to coś poważnego? – marszcząc brwi, zapytał go Stiggur.

– Chyba nie bardzo. Niemniej wydarzyło się dosyć nagle, dzisiejszej nocy.

– Powinieneś powiedzieć komuś z nas o tym wcześniej – zabrał głos Jor Hemner, drżącą dłonią niespokojnie gładząc rzadką brodę. – Moglibyśmy wówczas przełożyć to zebranie na inny termin.

– Nie moglibyśmy, jeżeli chcemy przedstawić naszą opinię na zebraniu całej rady jeszcze dziś po południu – sprzeciwił się Corwin, spoglądając najpierw na Hemnera, a potem zwrócił się do Stiggura. – Wiem, jakie jest zdanie mojego ojca w tej sprawie, proszę pana, i zostałem przez niego upoważniony do występowania dzisiaj w jego imieniu. Mam nadzieję, że zechce pan wyrazić zgodę, bym podczas tego zebrania pełnił funkcję jego pełnomocnika?

– No cóż, z czysto formalnego punktu widzenia...

– Och, na miłość boską, Brom, pozwól mu być tym pełnomocnikiem i nie zwracaj nam głowy formalnościami – przerwała mu gubernator Telek. – Dzisiaj rano mamy tak wiele spraw do załatwienia, że chciałabym wreszcie przejść do rzeczy.

– Świetnie – rzekł Stiggur i unosząc brwi, powiódł wzrokiem po zebranych. – Ktoś ma odmienne zdanie? Nie widzę. Czy komuś nie udało się wyciągnąć od Troftów czegoś więcej na temat tej Qasamy?

Olor Roi odchrząknął i powiedział:

– Próbowałem wobec Pierwszego Mówcy tej znanej od dawna sztuczki z oświadczeniem, że uważamy się za planety niezależne, ale myślę, że jakoś się na niej poznał. Wydaje mi się, że Troftowie zaczynają wreszcie rozumieć, iż stanowimy polityczną jedność, chociaż wszyscy możemy zawierać indywidualne umowy handlowe. Niemniej moim zdaniem ich przedstawiciel mówił prawdę, kiedy oświadczył, że powiedział nam wszystko, co wie na ten temat.

– Może jednak nie powiedział wszystkiego w nadziei, że ktoś z nas złoży mu korzystniejszą propozycję zakupu tej informacji – odezwał się Dylan Fairleigh, trzeci gubernator Aventiny.

Corwin pomyślał, że jego uwaga była bardzo naiwna i świadczyła o zupełnym braku doświadczenia w kontaktach handlowych z Troftami, które niemal automatycznie wynikały z przepisów prawa innych regionów Dalekiego Zachodu.

Yartanson, jak można się było spodziewać, nie zechciał bawić się w uprzejmości.

– Nie bądź śmieszny – prychnął. – Troftowie nie zatają jakiegokolwiek informacji, jeśli nie sugerują wyraźnie, że mają ją na sprzedaż. Co robiłeś przez ostatnie czternaście lat, że tego nie wiesz?

Twarz Fairleigha się nachmurzyła, ale zanim miał czas coś powiedzieć, wtrąciła się Telek.

– No, dobrze – powiedziała. – Ustaliliśmy zatem, że Troftowie nie dysponują żadnymi innymi informacjami. Następnym oczywistym krokiem powinno być zatem dotarcie do kogoś, kto wie o tym coś więcej. Widzę tu dwie możliwości: domenę Baliu albo samą Qasamę.

– Chwileczkę – odezwał się Corwin. – Czy następnym krokiem nie powinno być ustalenie, czy w ogóle potrzebujemy tej informacji?

Telek spojrzała na niego wyraźnie zdziwiona.

– Oczywiście, że potrzebujemy. W jaki inny sposób będziemy mogli podjąć jakąkolwiek rozsądną decyzję?

– Najbardziej racjonalną decyzją byłoby w chwili obecnej powiadomienie Tlossów o tym, że nie przyjmujemy ich propozycji – odparł Corwin. – Jeżeli to zrobimy...

– Od kiedy chowanie głowy w piasek ma być racjonalną decyzją? – przerwała mu zgryźliwie Telek.

– Odmówienie im w tej chwili uważam za sprawę zasadniczej wagi – rzekł Corwin, czując, jak na czoło zaczynają mu występować krople potu.

Jonny wprawdzie ostrzegł go, że ten pogląd nie zostanie dobrze przyjęty przez pozostałych, ale Corwin nie był przygotowany na to, że sprzeciw może okazać się aż tak ostry.

– Takie stanowisko będzie znaczyło, że nie interesuje nas zostawanie niczyimi najemnikami.

– A co właściwie nas interesuje? – odezwał się Yartanson. – Jeżeli Qasama stanowi zagrożenie dla Troftów, możliwe, że będzie stanowiła również dla nas.

– Tak, ale... – zaczął Corwin i przerwał, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że zaczyna brakować mu i słów, i argumentów.

Odpręż się – nakazał sobie. – Nikogo przecież nie musisz się tu obawiać.

Kiedy walczył z ogarniającym go onieśmieleniem, niespodziewanie na pomoc przyszedł mu sam Stiggur.

– Sądzę, że Corwin stara się nam powiedzieć, iż nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy sami wysłali wyprawę badawczą na Qasamę czy gdziekolwiek okaże się to konieczne, nawet wówczas, jeżeli odrzucimy ofertę domeny Baliu – powiedział. – Na tym etapie rozmów nie jesteśmy związani tym, czego chcą od nas Troftowie, ale mamy wolną rękę, by robić to, co sami uznamy za najwłaściwsze.

– To brzmi bardzo szlachetnie – rzekła Telek, kiwnąwszy głową. – Niestety, bardzo szybko się okaże, że na przeszkodzie stanie jeden bardzo istotny szczegół. Taki mianowicie, kto za to wszystko zapłaci, jeżeli nie Troftowie.

Farleigh poruszył się niespokojnie na krześle.

– Wydawało mi się zawsze, że Troftowie zaproponowali nam tylko te pięć planet, a nie mówili nic o zwrocie kosztów ekspedycji.

– Nie zawarliśmy jeszcze z nimi żadnej oficjalnej umowy, możemy więc żądać zwrotu kosztów jako części całego przedsięwzięcia – oświadczył z namysłem Roi. – Obawiam się jednak, że i tak w ciągu najbliższych kilku lat pozbawi nas to ochrony wielu Kobr. Jak szybko nasza akademia będzie mogła te braki uzupełnić?

– Zabiegi chirurgiczne i ćwiczenia zajmują łącznie trzy miesiące – odezwał się Corwin, który zaczął powoli przychodzić do siebie. – Badania kandydatów trwają zwykle następne dwa.

– Cały ten proces można skrócić do siedmiu tygodni – odezwała się Telek, sięgając po magnetyczną kartę i trzymając ją przez chwilę przed sobą, zanim umieściła w czytniku. – W ciągu ostatnich dwóch dni rozmawiałam z dwoma autorytetami w sprawach Kobr: Callym Halloranem, który walczył u boku Jonny'ego podczas wojny z Troftami, i Ałmem Pyrem, obecnym przywódcą grupy Kobr w okręgu Syzra. Dostarczyli mi informacji, dzięki której mogłam dokonać analizy kosztów zarówno wstępnej wyprawy badawczej, jak trzech najbardziej prawdopodobnych wariantów operacji wojskowych.

Corwin wpatrzył się w dane, jakie pojawiły się na jego ekranie, a dwa nazwiska, które Telek wymieniła jak gdyby od niechcenia, obijały się w jego odrętwiałym mózgu niczym dwa nie zabezpieczone granaty. Cally Halloran – jeden z naj-

starszych i najbardziej zaufanych przyjaciół jego ojca – i Almo Pyre – przyjaciel rodziny Moreau od kiedy Corwin pamiętał. Oderwawszy na chwilę wzrok od ekranu, zerknął na bok i zobaczył, że Telek spokojnie mu się przygląda – i nagle zrozumiał, co w ten sposób zamierza osiągnąć.

Wybierając przyjaciół Jonny'ego jako ekspertów, miała nadzieję nie dopuścić do sprzeciwu, jaki wobec jej danych mógłby zgłosić jedyny obecny wśród zebranych Kobra... a kiedy przyjrzał się uważniej wyświetlonym liczbom, zorientował się, do jakiego nieuniknionego wniosku miały doprowadzić.

Koszty nawet najskromniejszej z tych operacji wojskowych były po prostu astronomiczne. Halloran i Pyre ocenili, że do jej przeprowadzenia byłoby konieczne dziewięćset Kobr – jedna trzecia wszystkich Kobr żyjących na trzech światach – którzy musieliby pozostawać na Qasamie lub w jej pobliżu przez okres od sześciu do dwunastu miesięcy. Ich wyposażenie, wyżywienie i transport, a także uzupełnianie strat, gdyby niektórzy zostali zabici albo ranni – to kosztowałoby zbyt dużo jak na możliwości ekonomiczne trzech młodych, rozwijających się światów. Nagła utrata aż tylu Kobr naraz wstrzymałaby natychmiast wszelkie prace nad ujarzmianiem nowych obszarów na Aventinie i Palatinie, na Caelianie zaś z pewnością przyspieszyłaby ostateczną zagładę kolonii, co oznaczałoby wycofanie się z tego i tak nieprzyjaznego ludzom świata.

Po długiej ciszy, jaka zapadła wśród zebranych, pierwszy odezwał się Fairleigh.

– Lepiej byłoby założyć, że Qasama nie stanowi dla nas aż tak bezpośredniej groźby – mruknął. – Od dziewięćset do trzech tysięcy Kobr. Ile czasu upłynie, zanim będziemy mogli ich zastąpić? Ach tak, już widzę...

Corwin odszukał tę informację na własnym ekranie.

– Oczywiście, przy założeniu, że będziemy dysponowali nieograniczonym dopływem nowych kandydatów – powiedział.

– Jeżeli tych kandydatów nie będzie albo nie postaramy się o nich dość szybko, będziemy mieli prawdziwy kłopot – burknął Roi. – Nasza obrona przed Troftami polega głównie na założeniu, że bardzo się obawiają Kobr i ich umiejętności podczas walki. Gdyby się dowiedzieli o tym, że w czasie ewentualnej wojny mieliby do czynienia jedynie z marnymi niespełna trzema tysiącami...

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To jeszcze jeden powód, żeby im udowodnić, jak łatwo jesteśmy w stanie rozwinąć nasz program szkolenia przyszłych Kobr – stwierdziła Telek. – Możemy przecież to zrobić... zwłaszcza kiedy to oni za taki dowód płacą.

Pełna emocji dyskusja ciągnęła się jeszcze przez pół godziny, ale Corwin wiedział, że przegrał. Z sześciu pozostałych zebranych w sali osób tylko Hemner i Roi byli skłonni rozważyć jego propozycję. Gdyby żaden nie zmienił zdania, dwa głosy, jakimi dysponował Corwin, spowodowałyby pat, w którym cztery głosy byłyby za i cztery przeciwko. Oznaczałoby to, że radzie nie można przedstawić żadnej oficjalnej opinii. A zresztą, gdyby nawet taką opinię przedstawić, wynik głosowania rady był niepewny, bez opinii zaś – całkowicie niemożliwy do przewidzenia.

Kiedy prawdopodobieństwo wygranej zaczęło się zbliżać do zera, Corwin po raz pierwszy od chwili uzyskania zgody na zastępowanie ojca zaczął sobie użmyślawiać, że będzie musiał zawrzeć z pozostałymi jakiś układ. Układ, którego wcześniej nie tylko nie mógł uzgodnić z ojcem, lecz także nie mógł być pewien, czy Jonny go zaakceptuje...

Zaczekał do ostatniej chwili, mając mimo wszystko nadzieję, że uda mu się tego uniknąć, ale w chwili, w której Stiggur miał zarządzić głosowanie, podniósł rękę.

– Chciałem poprosić o krótką przerwę, zanim rozpocznie się głosowanie – oświadczył. – Wydaje mi się, że przyda się nam kilka nieoficjalnych rozmów czy wymiana poglądów, zanim wypowiemy się w formalnym głosowaniu.

Brwi Stiggura nieco się uniosły, ale bez wahania się zgodził, kiwnąwszy tylko głową.

– Niech będzie – powiedział. – Spotkamy się ponownie za dwadzieścia minut.

Wszyscy wyszli z sali, niemal w całkowitym milczeniu – widocznie i pozostali potrzebowali tej przerwy tak samo jak on – a po minucie czy dwóch Corwin siedział już w gmachu Dominium w biurze ojca. Przez długą chwilę wpatrywał się w stojący na biurku telefon, zastanawiając się, czy nie powinien przedyskutować z kimś tego, co chce zrobić. Wiedział jednak, że ojciec w szpitalu wciąż jeszcze będzie poddawany kuracji biochemicznej, a nie chciał nawet zgadywać, co mogłaby powiedzieć na to matka. Może więc Theron Yutu, pracujący teraz w drugim biurze na drugim końcu miasta? Nie. Bliźnięta... Z nimi powinien o tym porozmawiać. Justin jednak był nieosiągalny, gdyż przebywał w skrzydle chirurgicznym akademii Kobr, a byłoby nieuczciwe rozmawiać o tym tylko z Joshuą... i

w tej chwili się zorientował, że stara się znaleźć wymówkę. Nabrawszy głęboko powietrza, wstał z fotela swojego ojca i skierował się korytarzem ku drzwiom biura gubernator Telek.

Jeżeli nawet była jego widokiem zaskoczona, nie dała tego po sobie poznać.

– Witaj, Corwin – powiedziała, zamykając za nim drzwi i zapraszając go, żeby usiadł. – Mamy niezły orzech do zgryzienia, prawda? Co mogę dla ciebie zrobić?

Corwin zaczekał, aż usiądzie za biurkiem, a potem zapytał bez żadnego wstępu:

– Jak widzi pani wynik tego głosowania?

Po raz drugi nie okazała najmniejszego zdziwienia.

– Ja, Brom, Dylan i Howie będziemy głosowali za. Pan, Jor i Olor przeciwko. Powstanie pat. Przyszedł pan tutaj namawiać mnie, żebym zmieniła zdanie?

Pokręcił głową.

– Wiedziała pani, że mój ojciec będzie się temu sprzeciwiał, prawda? To właśnie dlatego wciągnęła pani w to Cally'ego i Alma?

– Pana ojciec był jednym z najbardziej zagorzałych przeciwników Akademii Kobr, kiedy organizowano ją tutaj przed jakimiś dwudziestoma pięcioma laty – przypomniała. – Nie trudno zgadnąć, że będzie przeciwny jakiegokolwiek propozycji zwiększającej liczbę Kobr.

Mający filozoficzne podłoże sprzeciw Jonny'ego wobec wynajmowania Kobr do pracy zabrzmiał w jej ustach jak kamuflaż starego, w jej mniemaniu automatycznego odruchu. Corwin niemal przemocą zdusił w sobie złośliwą uwagę, jaką już zamierzał wygłosić, gdyż uznał, że to nie była właściwa pora na stawanie w obronie poglądów ojca.

– Czego zatem właściwie pani chce? – zapytał zamiast tego. – Potwierdzonej umową gwarancji, że zajmiemy się tą groźbą, jaką stanowi Qasama?

– Oczywiście, że nie – parsknęła. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby do tego stopnia dawać Troftom wolnej ręki. Chciałabym tylko zawrzeć umowę dotyczącą wstępnej wyprawy rozpoznawczej, za którą, rzecz jasna, oni by zapłacili.

– A czy to nie zobowiąże nas do doprowadzenia całej sprawy do końca? – zapytał.

– Nie powinno, jeżeli umowę sformułujemy odpowiednio ostrożnie – powiedziała, a potem na chwilę zaciśnęła usta. – Myślę, że za chwilę zechce mnie pan zapytać o nasze dobre imię, gdybyśmy obejrżeli Qasamę i później się wycofali. No cóż, nie mam na to lepszej odpowiedzi od tej, jakiej udzieliłam przed kwadrans. Ryzyko niepoznania, jaką groźbę przedstawia Qasama, wydaje mi się większe niż możliwa utrata twarzy wobec Troftów.

– Mogę się zatem domyślać, że chciałaby pani, żeby to była nasza oficjalna opinia przedstawiona pozostałym członkom rady, którzy zbiorą się już za kilka godzin?

– Bardzo bym tego pragnęła – odparła, ale spojrzała na Corwina uważnie. – Ile to będzie mnie kosztowało?

Corwin uniósł rękę i machnął nią w kierunku sali konferencyjnej znajdującej się w drugim końcu korytarza.

– O ile dobrze pamiętam, zaproponowała pani wyprawę składającą się co najwyżej z dwunastu osób, nie licząc załogi statku. Chciałbym, żeby dwóch uczestników tej wyprawy miał prawo wybrać mój ojciec.

– Przy jego sceptycznym podejściu do całego przedsięwzięcia? – zapytała, uśmiechając się z przymusem. – Prawdę mówiąc, to nie jest wcale taki zły pomysł, ale nie sądzę, żeby inni zgodzili się bez protestów na przyznawanie emerytowanemu gubernatorowi prawa do decydowania o szesnastu procentach składu osobowego ekspedycji.

– Może będę mógł osłodzić im tę pigułkę – odparł Corwin. – Co pani sądzi na temat wysłania Kobry, którego absolutnie nie można odróżnić od innych ludzi?

Z satysfakcją zobaczył, że tym razem jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Dotychczas sądziłam, że dokładna biologiczna sonda potrafi wykryć wyposażenie każdego Kobry – powiedziała.

– Potrafi – zgodził się z nią Corwin. – Ale takie badanie, zanim dostanie się jego wynik, zajmuje na ogół co najmniej kwadrans. Jak pani sądzi, jak często gospodarze będą poddawali tak dokładnym badaniom odwiedzających ich dostojników z innych planet?

Przez czas potrzebny na kilka uderzeń serca spoglądała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Przede wszystkim przychodzi mi na myśl fakt, że pana rozumowanie jest ekstremalnie antropomorficzne – odezwała się w końcu. – Co będzie, jeżeli ich sondy biologiczne są znacznie czulsze albo po prostu o wiele szybsze od na-

szych? A nawet, jeżeli przyjąć, że ma pan rację, to co, zapakujemy cały zespół chirurgów na pokład „Dewdrop” i każemy mu pospiesznie przebadanego już człowieka przemienić w Kobrę?

– Nic podobnego. Proponuję tylko wysłanie Kobry i zwyczajnego człowieka, którzy byliby podobni do siebie jak dwie krople wody. Swoich braci bliźniaków: Justina i Joshuę.

Telek nabrała powietrza i wypuściła je z cichym świstem.

– Sprytnie – powiedziała. – Bardzo sprytnie. Kobra przebywa na pokładzie do chwili, aż obce istoty poddadzą dokładnym badaniom wszystkich członków wyprawy, którzy postawią stopę na ich ziemi, a później zamienia się miejscami z bratem. To bardzo ciekawa propozycja. Ale co będzie, jeżeli Qasamanie zastosują jakieś inne badania poza wzrokowymi? Na przykład dźwiękowe albo zapachowe?

Corwin wzruszył ramionami, starając się, żeby ów gest dowodził, że się tym nie przejmuje.

– Wówczas będziemy mogli mówić o prawdziwym pechu – powiedział. – Ale większość lądowych drapieżników, jakie znamy, włącznie z żyjącymi na planetach Dominium Ludzi i Troftów, posługuje się przede wszystkim zmysłem obserwacji. Uważam, że szansę powodzenia są duże, a jeśli nasza sztuczka się nie uda... cóż, właściwie niczego na niej nie tracimy.

– Z wyjątkiem dwóch miejsc na pokładzie statku, które mógłby zająć ktoś inny.

Telek odchyliła się do tyłu na krześle i utkwiała wzrok w przestrzeń gdzieś nad głową Corwina, a on siedział w milczeniu, starając się oddychać miarowo... i nagle popatrzyła mu w oczy i kiwnęła głową.

– Zgoda, zawieramy umowę – powiedziała. – Ale ja też stawiam warunek. Pan, a raczej pana ojciec, musi poprzeć mój wniosek o włączenie mnie w skład uczestników tej wyprawy.

– Pani? – wyrwało się Corwinowi. – Ależ to jest...

– Śmieszne? Bynajmniej. Wyprawa będzie potrzebowała eksperta i od spraw biologicznych, i politycznych, a ja jestem jedyną osobą wśród gubernatorów, która ma dostateczne kwalifikacje w obu dziedzinach. Poza tym jestem na tyle zdrowa, że mogę wziąć w niej udział.

– Stopień naukowy w dziedzinie biologii uzyskała pani przed wieloma laty – przypomniał jej Corwin.

– Ale w swojej dziedzinie orientuję się nie najgorzej, a wyprawa powinna mieć na pokładzie kogoś w randze gubernatora na wypadek, gdyby trzeba było podjąć jakąś ważną decyzję polityczną. Chyba że ma pan jakiegoś syndyka, któremu ufa pan na tyle, żeby powierzać mu tak odpowiedzialną sprawę.

Kłopot w tym, czy mogę pani zaufać – pomyślał Corwin i zagryzł wargi, kiedy uświadomił sobie, że nie wie, jak postąpić.

– Ma pan czas do namysłu – powiedziała spokojnie, kiedy cisza zaczęła się nieprzyjemnie przedłużać. Potem, spojrzawszy na zegarek, wstała. – Mało prawdopodobne, żeby lista uczestników wyprawy była ustalana wcześniej niż za tydzień lub dwa. Proszę przedyskutować to z Jonnym, rozważyć wszystkie za i przeciw... myślę, że w końcu dojdzie pan do wniosku, iż powinienam polecić. Teraz jednak musimy wracać do sali obrad i podjąć decyzję w sprawie tej opinii, jaką mamy przedstawić na dzisiejszym zebraniu całej rady.

Corwin także wstał.

– Zgoda – powiedział. – Ale jeśli będę głosował teraz

tak jak pani, chciałbym, żeby pani poparła mój wniosek w sprawie udziału Justina i Joshui w tej wyprawie... i to bez względu na to, czy w końcu mój ojciec będzie chciał poprzeć pani kandydaturę, czy nie.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Zdał pan sobie sprawę z tego, że obiecuje pan za dużo, prawda? No cóż, na tym właśnie polega zdobywanie doświadczenia. Zgoda, poprę wniosek w sprawie pana braci. Uważam zresztą, że to dobry pomysł... a jeżeli mam być zupełnie szczerą, i tak nie sądzę, żebym potrzebowała poparcia Jonny'ego po to, by wziąć udział w tej ekspedycji.

Kiedy nadeszła kolej, żeby głos oddał Corwin, wynik głosowania nad propozycją gubernator Telek wynosił cztery do dwóch na jej korzyść. Starał się nie patrzeć w oczy Hemnerowi i Roiowi, gdy podwyższył ten wynik na sześć do dwóch, ale czuł na sobie ich zdumione spojrzenia. Stiggur formalnie ogłosił wynik głosowania, by został zapisany przez rejestrator.

Trzy godziny później zebranie całej rady oficjalnie zatwierdziło ten wynik i przyjęło go jako własny.

Pół leżąc, a pół siedząc w szpitalnym łóżku, Jonny wysłuchiwał w milczeniu sprawozdania Corwina z zebrania gubernatorów i relacji z prywatnej umowy, jaką syn zawarł z Telek. Powinienem się rozgniewać – pomyślał Jonny, niejasno uświadamiając sobie obecność kroplówek, którymi zaopatrywano jego organizm

w niezbędne płyny. – Czyżby jakiś uspokajający środek w tej szatańskiej mieszance antybiotyków? A może od samego początku wiedziałem, że mój plan nie ma najmniejszych szans powodzenia?

Corwin przestał mówić i czekał, a na jego twarzy malowało się wyraźne napięcie.

– Czy rozmawiałeś już z Justinem albo z Joshuą na ten temat? – zapytał go Jonny. – A może wspominałeś coś matce?

Corwin aż się skrzywił.

– Odpowiedź brzmi nie, i to na oba pytania – odparł. – Prawdę mówiąc, wpadłem na ten pomysł przed tygodniem, ale miałem nadzieję, że nie będę musiał kogokolwiek na niego namawiać. A przynajmniej, dopóki z tobą nie porozmawiam. Myślę jednak, że Justin i Joshuą się zgodzą.

– Och, oni się zgodzą na pewno – stwierdził Jonny. – Z tym nie powinno być najmniejszego problemu.

Jonny odwrócił głowę i popatrzył w okno. Na tle odbicia szpitalnego pokoju w szybach było widać światła uliczne i panoramę Capitalii.

– Martwię się tym, co może powiedzieć matka – powiedział po chwili. – Wy, jej synowie, byliście dla niej zawsze oczkiem w głowie. To dzięki wam nasza rodzina miała w sobie tyle ciepła, które ja nie zawsze mogłem jej zapewnić. O wiele za często nie mogłem. Na początku jako Kobra... później jako syndyk... jeszcze później jako gubernator... praca dla dobra innych ludzi zajmuje mnóstwo czasu, synu. Zabiera ci czas, który mógłbyś poświęcić rodzinie. Ty postanowiłeś pracować razem ze mną, Justin zdecydował się zostać Kobrą... a teraz i Joshuą ma polecić.

Zdał sobie sprawę z tego, że się zamyślił i przeskoczył na całkiem inny temat, i ponownie popatrzył na Corwina. Jego syn sprawiał wrażenie bardzo niešťęśliwego.

– Przepraszam – powiedział. – Może jednak nie powinienem był tego robić. Ale bliźniaki mają czas, żeby się nie zgodzić.

Jonny potrząsnął głową.

– Nie sędzę, żebyś zrobił coś niewłaściwego. Udział obu bliźniaków w tej ekspedycji powinien nam umożliwić osiągnięcie tak bardzo istotnej taktycznej przewagi, a wszyscy członkowie rady prawdopodobnie i tak nie poparliby mojego stanowiska bardziej, niż Brom i jego towarzystwo. Zwłaszcza dysponując tymi informacjami na temat kosztów, jakie przygotowali dla nich Cally i Almo. – Po-

kręcił głową. – Jaka szkoda, że Cally jest zbyt stary, żeby lecieć... byłoby bardzo dobrze, gdyby na pokładzie znalazł się Kobra dysponujący tak dużym wojskowym doświadczeniem...

Nie dokończył zdania i zamyślił się, jak gdyby nagle wpadł na jakiś pomysł.

– Chyba nie zamierzałeś sam polecieć, tato, prawda? – zapytał go podejrzliwie Corwin, domyśliwszy się, o czym ojciec może teraz myśleć.

– Hm? Och, nie. Wcale nie. Starłem się tylko wynaleźć sposób, w jaki można byłoby powiedzieć o tym wszystkim waszej matce. – Nabrał głęboko powietrza i bardzo długo je wypuszczał. – No cóż – odezwał się w końcu. – Mają mnie wypisać stąd jutro rano... a przynajmniej mówili mi, że chcą to zrobić. Myślę, że to byłaby najlepsza pora, żeby ją o tym powiadomić. Jeszcze dziś wieczorem powinienę pogadać na ten temat z Joshuą i zorientować się, jak zareaguje. Uważam, o ile to możliwe, że kiedy będziemy rozmawiali o tym z Chrys, powinniśmy być wszyscy razem.

– Wszyscy z wyjątkiem Justina – przypomniał mu Corwin. – Pamiętasz, najbliższy tydzień ma spędzić w izolatce po zabiegach chirurgicznych w akademii.

– Pamiętam – odparł Jonny z cieniem urazy, który w końcu zdołał się przebić przez ogarniające go odrętwienie. – Chodziło mi o to, że powinniśmy tam być wszyscy trzej.

– Zgoda – powiedział Corwin, kiwnąwszy głową, a później wstał. – Zostawiam cię teraz, żebyś wypoczął, i przyjdę tu rano. Przed wyjściem zapytam, kiedy cię wypisują, i pojawię się jutro, żeby cię odwiedzić do domu.

– Świetnie. Aha, jeżeli będziesz pytał, poproś doktora, żeby wpadł do mnie, kiedy będzie miał trochę czasu. Jest kilka spraw, o jakich chciałem z nim porozmawiać.

– Dobrze – odparł Corwin.

Patrzył jeszcze przez kilka sekund na ojca, a potem odwrócił się i wyszedł.

Przyjąwszy nieco wygodniejszą pozycję, Jonny zamknął oczy i postarał się chociaż trochę odprężyć. Czy przypadkiem w spojrzeniu Corwina nie kryła się podejrzliwość, kiedy wychodził? Jonny nie mógł być tego pewien. Ale właściwie nie było to takie ważne. W przeciwieństwie do syna, znał kilku innych gubernatorów poza Telek, z którymi mógłby zawrzeć umowę... a kiedy Corwin się o tym dowie, wszystko będzie już przesądzone.

A pozostali najprawdopodobniej i tak to zaakceptują. Najprawdopodobniej.

Rozdział piąty

Pokój, do którego go zabrano, był dla niego zupełnym zaskoczeniem – Justin spodziewał się, że w czasie pierwszych pooperacyjnych ćwiczeń świeżo upieczeni rekruci powinni przebywać razem. Kiedy towarzyszący mu strażnik zostawił go i wyszedł, rozejrzał się ukradkiem i przeżył kolejny wstrząs: żaden instruktor szkolący przyszłe Kobry nie mógłby dysponować biurkiem, które byłoby aż tak okazałe. Samo biurko – czy możliwe, że widział jego rzeźbione w cyprysowcowym drewnie boki na propagandowych taśmach na temat Kobr, które oglądał, kiedy zastanawiał się nad zgłoszeniem? Jeśli tak, musiało to być prywatne biuro samego koordynatora Suną. Bez względu jednak na powód, dla którego go tu przyprowadzono, z pewnością nie była to część rutynowego postępowania.

Nagle znajdujące się za biurkiem drzwi się otworzyły. Justin napiął mięśnie, ale kiedy zobaczył wchodzącego mężczyznę, na jego twarzy pojawił się pełen ulgi uśmiech.

– Almo! Sądziłem, że wciąż jeszcze jesteś w okręgu Syzra zajęty polowaniami na kolczaste lamparty.

– Cześć, Justin... Nie, proszę cię, nie wstawaj – odezwał się Pyre, siadając za biurkiem.

Justin z pewnym zaskoczeniem zdał sobie sprawę z tego, że Pyre na jego widok nawet się nie uśmiechnął.

– O co chodzi, Almo? – zapytał, a cała radość z tego spotkania zaczęła z wolna znikać z jego twarzy. – Czy coś się stało? Mój Boże... czy to może tata?

– Nie, nie, w twojej rodzinie wszystko po staremu – pośpieszył upewnić go Pyre. – Chociaż za kilka miesięcy... – przerwał, nie kończąc zdania. – Zacznijmy jednak od początku. Co wiesz na temat tej całej historii z Qasamą?

Justin zawahał się. Przyznanie się wobec Pyre'a do tego, że ich ojciec przekazał całej rodzinie poufną informację, nie było może samo w sobie czymś istotnym... ale w takich okolicznościach...

– Tylko najważniejsze rzeczy dotyczące samej propozycji Troftów – odparł. – Mój ojciec chciał przedyskutować z nami etyczną stronę tego przedsięwzięcia.

– Świetnie – rzekł Pyre, kiwnąwszy głową. – A zatem nie będę musiał jeszcze raz o tym ci mówić. Zacznę od tego, że w ciągu ostatnich trzech tygodni sprawy zaczęły przybierać trochę niespodziewany obrót... za sprawą rady i, wierz mi albo nie, twojego brata.

Justin słuchał w milczeniu, kiedy Pyre wyjaśniał mu propozycję Corwina i szczegóły planowanej przez radę ekspedycji, a ścierające się w jego umyśle emocje graniczące to z szokiem, to z podnieceniem, zostawiały mu bardzo mało miejsca na rozsądne myśli.

– Rada wyraziła w głosowaniu zgodę na to, żebyś poleciał i ty, i Joshua, jeżeli oczywiście obaj się zgodzicie – zakończył Pyre. – Co o tym sądzisz?

Justin przez chwilę nie potrafił znaleźć właściwych słów, żeby wyrazić to, co myśli.

– To wygląda... ciekawie. Nawet bardzo ciekawie. Co Joshua powiedział na ten temat i jaka jest twoja rola w tym przedsięwzięciu?

– Joshuę będziesz mógł już wkrótce sam zapytać... Przyślę go tu, kiedy skończę. Jeżeli zaś chodzi o mnie... – Wargi Pyre'a drgnęły w czymś pośrednim między uśmiechem a grymasem. – Mam być dowódcą pokładowego oddziału Kobr... wszystkiego czterech osób. A jeżeli wyrazisz zgodę, żeby być jedną z nich, w ciągu najbliższych kilku tygodni będę także odpowiedzialny za twoje szkolenie.

Justin nagle zdał sobie sprawę z obecności komputera zawieszono go na szyi – programowanego komputera szkoleniowego, który po zdaniu egzaminu zostanie zastąpiony przez implantowany nanokomputer, jaki mają wszystkie Kobry.

– Specjalne szkolenie, mam nadzieję? Coś, czego nie potrzebujesz do walki z kolczastymi lampartami?

– I zestaw specjalnie opracowanych odruchów, w jakie wyposażony jest standardowy nanokomputer. Tego rodzaju odruchy nigdy się nie przydają podczas pracy w lesie – stwierdził Pyre. – Skoki do sufitu, obracanie się podczas lotu i kilka innych ewolucji.

– Czy twoim pozostałym Kobrom też będzie to potrzebne?

– Dołączą do nas, kiedy mniej więcej za trzy do czterech tygodni ukończysz podstawowe szkolenie.

Pyre oparł się łokciami o blat biurka i splótł przed sobą palce dłoni.

– Posłuchaj, Justin, muszę być z tobą szczerzy. Widzę, że traktujesz to jak fantastyczną przygodę, ale musisz zdawać sobie sprawę z tego, że wiele wskazuje na to, iż wszyscy zginieemy na Qasamie.

– No nie, daj spokój, Almo – rzekł Justin i wyszczerzył się w uśmiechu. – Przecież ty też tam będziesz, a zawsze masz tyle szczęścia, że nie wierzę, iż mógłbyś zginąć.

– To ty daj spokój! – osadził go Pyre. – Szczęście jest pojęciem statystycznym mającym niewiele wspólnego z wyszkoleniem i doświadczeniem. I niczym więcej. Ja mam trochę i jednego, i drugiego... Ty praktycznie nie masz ich wcale. Jeżeli więc ktoś zginie, to najprawdopodobniej ty.

Justin zapadł się w siebie, zaskoczony siłą wybuchu Pyre'a.

To Pyre, kiedy Justin dorastał, był dla niego zawsze niedościgłym wzorem; był tym, który na równi z ojcem przyspieszył jego decyzję zostania Kobrą. Zostać zmieszany z błotem przez kogoś tak uwielbianego jak Pyre było dla Justina większym wstrząsem, niż mógł się spodziewać.

Wyraz jego twarzy musiał odzwierciedlać to, co czuje, ale mimo to Pyre piorunował go wzrokiem jeszcze przez kilka sekund, zanim w końcu jego oczy złagodniały.

– Wiem, że to boli – odezwał się łagodnie – ale o wiele bardziej będą bolały rany po strzałach z lasera. Więc najlepiej już teraz wbij sobie do głowy, że to ma być wyprawa na terytorium wroga. Twój ojciec z pewnością ci powie, że w porównaniu z czymś takim polowania na kolczaste lamparty są dziecinną igraszką.

Justin przesunął językiem po suchych wargach.

– Nie chcesz, żebym poleciał z tobą? – zapytał.

Po raz pierwszy Pyre odwrócił głowę i spojrzał w inną stronę.

– To, czego chcę, nie ma żadnego znaczenia – powiedział. – Rada postanowiła, weterani wojny przyznali, że ma to sens taktyczny, a gubernator Telek przekonała wszystkich, że ja powinienem być dowódcą oddziału Kobr, jaki wyślemy. Mam więc przed sobą jasno określone zadanie i teraz tylko ode mnie zależy, jak dobrze je wykonam. Kropka.

– I obawiasz się, że sobie nie poradzę? – zapytał go Justin, czując, jak przez jego odrętwienie zaczynają przedzierać się pierwsze iskry gniewu.

– Obawiam się, że żaden z nas sobie nie poradzi – odparł cierpko Pyre. – A jeśli już dojdzie do najgorszego, nie podoba mi się to, że wówczas będę musiał dzielić uwagę między bezpieczeństwo wyprawy a twoje.

– A dlaczego miałbyś to robić? – odciął się Justin. – Dlatego, że znasz mnie od czasów mojego dzieciństwa? A może dlatego, że jeszcze dłużej przyjaźnisz się z moim tatą? Mam dwadzieścia dwa lata, Almo, i jestem na tyle dorosły, że potrafię się troszczyć o siebie. A jeżeli chcesz usłyszeć coś istotnego, to co powiesz na fakt, że nie będę musiał odczytać się tych wszystkich sztuczek potrzebnych do walki z kolczastymi lampartami, których będą musieli się odczytać inni? Narzekasz, że jestem taki młody i niedoświadczony, ale może zaczekasz z tym, aż ukończę szkolenie? Może później podyskutujemy sobie naprawdę szczerze o szczegółach?

Pyre ponownie popatrzył w twarz Justina, który na wpół świadomie przygotował się na kolejny wybuch. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

– Zgoda – odezwał się łagodnie. – Pragnąłem się tylko upewnić, że wiesz, w co się pakujesz. Wierz mi albo nie, ale naprawdę rozumiem, co czujesz... chociaż już wkrótce się przekonasz, że inni mogą tego nie rozumieć. – Wstał od biurka, popatrzył na Justina, i przez chwilę był ponownie znanym mu od dawna Almem Pyre'em. – Idę teraz po Joshuę i każę mu porozmawiać z tobą. Będę w biurze po drugiej stronie korytarza. Wpadnij do mnie, kiedy skończycie. Nie musicie się bardzo spieszyć, ale chciałbym, żebyście nie przeciągali tej rozmowy w nieskończoność, z czego jesteście powszechnie znani.

Uśmiechnął się niewyraźnie i opuścił pokój.

Justin wydał z siebie potężne westchnienie ulgi. Kiedy w minutę później w pokoju pojawił się drugi bliźniak, bicie serca wracało mu powoli do normy.

– Almo powiedział mi, żebyśmy nie rozmawiali dłużej niż przez sześć miesięcy – odezwał się, siadając za biurkiem na tym samym krześle, które zwolnił Pyre. – Czy naprawdę tak dużo gadamy?

– Tylko wtedy, kiedy rozmawiamy ze sobą – przyznał Justin.

– A zatem może to prawda – stwierdził Joshua, krytycznym wzrokiem przyglądając się swojemu bratu. – No dobrze. Jak się czujesz?

– Jeżeli masz na myśli operacje, to świetnie. Ale po rozmowie z Almem jak ktoś, w kogo rzucono gigantyczną gantują. I trafiono.

Joshua kiwnął głową, wyrażając w ten sposób współczucie dla brata.

– Mogę sobie wyobrazić, jak się czujesz – powiedział. – Ale... co właściwie o tym wszystkim sądzisz?

– Wygląda mi na to, że przez cały czas marzyłem, żeby robić właśnie coś takiego... to znaczy marzyłem do chwili, w której Almo postarał się mnie zniechęcić. Domyślam się, że i ty masz jakieś zastrzeżenia?

Joshua zmarszczył brwi.

– Właściwie nie, poza naturalną niechęcią do tego, żeby dać się zabić. Kto ci o tym powiedział?

– Almo dawał do zrozumienia, że ktoś stwarza problemy z realizacją tego planu.

– Prawdopodobnie chodziło mu o naszą mamę.

– Mamę – powtórzył Justin.

Zacisnął lewą dłoń w pięść i z całej siły uderzył nią w prawą dłoń, bo z przerażeniem zdał sobie sprawę z tego, że zupełnie o matce zapomniał. W następnej chwili się skrzywił, kiedy poczuł kłujący ból w kościach palców i dłoni, i kiedy uświadomił sobie, że nawet mimo ograniczeń nakładanych przez jego tymczasowy komputer nie wolno mu lekceważyć swojej siły, wspomaganej teraz przez sieć implantowanych serwomotorów. Na szczęście laminat, jakim pokryto większość jego kości, sprawiał, że stały się całkowicie niełamiwe, a to oznaczało, że jedynymi obrażeniami będą otarcia i siniaki. I to zarówno na ciele, jak na duchu.

– Niech to licha, nawet przez chwilę nie pomyślałem o tym, jak na to zareaguje – przyznał się bratu. – Ktoś już jej powiedział?

– O, tak... i możesz mi wierzyć, że ty bawiłeś się podczas swoich operacji o wiele lepiej – rzekł Joshua i pokręcił głową. – No, nie wiem. Może powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój?

– Jak zareagowała?

– Mniej więcej tak, jak mógłbyś się spodziewać – westchnął jego brat. – Stanowczy sprzeciw, jeżeli chodzi o stronę emocjonalną, nieco mniejszy pod względem intelektualnym i poczucie zawodu, jaki sprawił jej Corwin, coś takiego proponując. Staraliśmy się ją przekonać, że będzie ci tam lepiej, niż gdybyś miał otrzymać przydział na Caelianę albo chociażby do oddziału zajmującego się lampartami, ale nie sądzę, żeby w to uwierzyła.

– Almo też w to nie wierzy – odezwał się z wyrzutem Justin. – Dlaczego ona miałaby uwierzyć?

Joshua rozłożył bezradnie ręce.

– To nie ja wymyśliłem sztukę formułowania pobożnych życzeń – powiedział. – Ja tylko od czasu do czasu z niej korzystam.

– Ta-a – odrzekł Justin i znalazł sobie kątek pokoju, w który przez chwilę w zamysleniu się wpatrywał. Później popatrzył znów na brata. – A więc naprawdę myślisz, że powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój?

– Jeżeli mam być brutalnie szczery, wcale tak nie uważam – stwierdził Joshua i zaczął wyliczać powody, zaginając kolejne palce. – Po pierwsze, pomysł Corwina uznaję za doskonały, a my jesteśmy na naszych trzech planetach jedyne bliźniakami, którym może się coś takiego udać. Po drugie, zapewne tylko my dwaj na pokładzie będziemy podzielali zdanie taty, że najmowanie Kobr do takiej pracy to bardzo niebezpieczny precedens. Po trzecie... Przerwał i chytrze się uśmiechnął. – Do diaska, Justin, czuliśmy to, będąc jeszcze w szkole. Nazywamy się przecież Moreau, jesteśmy synami Kobry, weterana wojny z Troftami, emerytowanego gubernatora, jednego z pierwszych pionierów Aventyny, Jonny'ego Moreau. Ludzie spodziewają się po nas dokonania nie byle jakich rzeczy.

– To najmniej ważny z powodów, dla którego mielibyśmy to robić.

– Sam w sobie oczywiście. Ale w połączeniu z powodem numer dwa oznacza, że nasz raport i zalecenia, jakie przedstawimy po powrocie z Qasamy, będą miały o wiele większe znaczenie... a biorąc pod uwagę obecne nastawienie rady, tata będzie potrzebował z naszej strony poparcia, żeby powstrzymać ją przed zrobieniem czegoś nierozsądnego.

A na drugiej szalce wagi leży to – pomyślał Justin – jaką krzywdę wyrządzi to naszej matce. Typowa sytuacja, z której nie ma dobrego wyjścia. Joshua ma jednak rację... a jeżeli czegoś nauczyliśmy się w życiu od rodziców, to tego, że osobiste względy i komfort psychiczny nie powinny stać na przeszkodzie niczemu, co służy dobru wszystkich ludzi.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Jeżeli ty się zgadzasz, to ja także. „Gan-tuje, strzeżcie się! Nadchodzimy!” i tak dalej.

– Dobrze – odezwał się Joshua, wstając. – Lepiej zatem od razu miejmy to za sobą. Nie wątpię, że Almo już się poci, nie mogąc doczekać się wieści od nas, a poza tym kilku chirurgów w drugim końcu korytarza już szykuje dla mnie stół w sali operacyjnej.

– Chirurgów? – zapytał ze zdumieniem Justin, także wstając ze swojego miejsca, tylko o wiele wolniej. – Po co?

Joshua mrugnął do niego i szelmowsko się uśmiechnął.

– Dowiesz się we właściwym czasie. Na razie powiem ci tylko tyle, że chodzi o to, żebym był jak najbardziej podobny do ciebie, kiedy znajdziemy się na Qasamie.

– Najbardziej podobny? Daj spokój, Joshua...

– Do zobaczenia za kilka miesięcy – powiedział tamten, jeszcze raz uśmiechnął się szeroko i zniknął za drzwiami.

Ty i te twoje głupie dowcipy – pomyślał Justin i przez chwilę całkiem poważnie rozważał, czy nie pobiec za nim i nie spróbować wytrząsnąć z niego całej prawdy. Przypomniawszy sobie jednak, że po drugiej stronie korytarza wciąż czeka na niego Almo. A poza tym nie mamy już po szesnaście lat – przypomniał sobie. Zgarbiwszy więc nieco plecy, pospieszył stawić czoło nowemu przełożonemu.

Ekranów wideotelefonów w swojej długiej historii nigdy nie zapewniały rozdzielczości obrazu wymaganej przez nawet najbardziej prymitywne monitory komputerów. Jonny kiedyś usłyszał, że w tę cechę wyposażono je całkiem świadomie, i to nie z przyczyn finansowych, a psychologiczno-społecznych. Chodziło mianowicie o to, żeby nie było na nich widać zmarszczek ani bruzd świadczących o zmęczeniu, czy wreszcie oznak zdenerwowania lub depresji – te wszystkie szczegóły były zacierane tak, aby widok twarzy roześmianej, smutnej czy zagniewanej pozwalał bezpiecznie się domyślać, że rozmówca znajduje się w takim właśnie nastroju.

Pamiętając więc o tym wszystkim, Jonny przeżył prawdziwy wstrząs, kiedy na ekranie zobaczył twarz Corwina z malującym się na niej wyrazem skrajnego wyczerpania.

– Jeszcze przed dziesięcioma minutami rozmowy tkwiły w martwym punkcie, tato – odezwał się jego najstarszy syn. – Rzecz jasna, Tlossowie prowadzą negocjacje w imieniu domeny Baliu, i w związku z tym kompetencje Pierwszego Mówcy są ściśle ograniczone. Zwłaszcza gdy rozmawiamy o kosztach projektowanej ekspedycji. Za każdym razem, kiedy staramy się coś dorzucić, on musi coś innego usunąć. A przynajmniej tak twierdzi.

Jonny popatrzył ponad ekranem na Chrys siedzącą przy stole w salonie. Wydawała się pochłonięta bez reszty przeglądaniem rozłożonych przed nią elektro-

nicznych części, ale Jonny nie wątpił, że z uwagą przysłuchuje się każdemu słowu.

– Może byłoby lepiej, gdybym przyjechał tam do ciebie – powiedział do Corwina. – Może mógłbym ci w czymś pomóc.

– Nie warto – odparł jego syn. – Uważam, że gubernator Telek potrafi negocjować wcale nie mniej stanowczo od ciebie, a na razie wszyscy starają się nie wchodzić sobie w drogę. Poza tym od zachodu słońca ochłodziło się co najmniej o dziesięć stopni.

Jonny skrzywił się, wiedząc, że ten fakt był jeszcze jedną cechą klimatyczną, z którą musiał się jakoś pogodzić. Capitalię ogarnęła właśnie pierwsza fala chłódów nadciągającej jesieni, a nie znosiły wychodzenia z dobrze ogrzanych pomieszczeń jego zaatakowane przez artretyzm stawy. Jedynym wyjściem były zatem ogrzewane ubiory albo dodatkowa porcja tabletek przeciwbólowych, ale ani jedno, ani drugie jakoś specjalnie go nie nęciło.

– No dobrze – odezwał się do syna. – Ale jeśli w ciągu najbliższych kilku godzin nie będzie się zanosilo na przerwę, zadzwoń, a ja przyjadę i cię zastąpię. Wyglądasz na naprawdę zmęczonego.

– Nic mi nie jest. Dzwonię, bo chciałem sprawdzić kilka szczegółów dotyczących tej równoczesnej wyprawy rozpoznawczej, o którą się ubiegasz. Muszę wiedzieć, ile twoim zdaniem mogłyby zapłacić za nią nasze światy?

– Ani grosza – odrzekł bez wahania Jonny. – W gruncie rzeczy to, czym zajmujesz się teraz, jest zwyczajną transakcją handlową, a nikt przy zdrowych zmysłach nie płaci za towar, którego nie tylko dokładnie nie zbadał, ale nawet nie widział. Ponieważ to domena Pua wystawia na sprzedaż te pięć planet, może będziesz mógł nalegać, żeby Mówca ją obciążył kosztami tej wyprawy. Uważam, że w ostateczności powinieneś uzyskać jego zgodę na to, żeby przekazał nasze żądanie domenom Pua i Baliu. Niech załatwią to między sobą tak, byśmy nie musieli zawracać sobie tym głowy.

– Dobrze – rzekł Corwin, ale pokręcił z powątpiewaniem głową. – Aż trudno uwierzyć, że ta zgraja myślących tylko o własnych sprawach rzezimieszków znalazła wspólny język na tyle długo, żeby prowadzić z nami wojnę.

– Tak było. Uwierz mi, że tak było. I nic nie wskazuje na to, żeby w przyszłości nie mieli zrobić tego raz jeszcze.

– Masz rację. No cóż... czy przynajmniej zgodziłbyś się, żeby na tę wyprawę polecieć „Menssaną”, gdyby Troftowie, bez względu na to którzy, pokryli wszystkie inne koszty?

Jonny przygryzł wargę.

– Wolałbym, żeby dostarczyli nam także statek. Ale niech będzie, jeżeli zostaniesz zmuszony do wyrażenia zgody, niech tak będzie. Tylko oni płacą za paliwo.

– W porządku. Prawdę mówiąc, uważam, że będę mógł wyrazić na to zgodę tylko za cenę czegoś, co może być potrzebne tamtej wyprawie na Qasamę. Zadzwoń do ciebie trochę później.

Rozłączyli się i przez chwilę Jonny wpatrywał się w ciemny ekran, starając się przewidzieć różne tory, po jakich mogą potoczyć się negocjacje. Za bardzo jednak przypominało mu to rozgrywkę w trójwymiarowe szachy, w której trzeba było przewidzieć zbyt wiele możliwych ruchów naraz. Wstał zatem ze swojego miejsca – co nie było bardzo trudne w tak dobrze ogrzonym pomieszczeniu – i podszedł do stołu, przy którym siedziała Chrys.

– Jak sobie radzisz? – zapytał, spoglądając na płataninę przewodów, mikroobwodów i podobnych do stonóg elementów znajdujących się na płycie, którą właśnie montowała.

– Nie najlepiej – powiedziała, ustawiając przełączniki i pokręta na płycie czołowej urządzenia diagnostycznego. – Zaczynam teraz rozumieć, dlaczego wszyscy wolą nabyć gotowe, zmontowane już podzespoły Troftów, zamiast kupować elementy i składać urządzenia samodzielnie. Weźmy na przykład te „stonogi”. Niektóre mają dziwne, nie zawsze możliwe do przewidzenia parametry i charakterystyki, zwłaszcza jeżeli pracują w warunkach chociaż trochę odmiennych od podawanych w katalogach.

– Jestem pewien, że jakoś się z tym uporzysz – zapewnił ją Jonny. – Byłaś przecież kiedyś najlepszym technikiem elektronikiem w całym...

– Arielu? – dokończyła i parsknęła. – Serdeczne dzięki. Było nas tam tylko dwoje, a więc musiałam być albo najlepszym, albo najgorszym.

– Dobrze pamiętam, że byłaś najlepsza – odparł z przekonaniem Jonny, z radością stwierdzając u Chrys powrót tak dobrze mu znanego poczucia humoru, które ostatnio zauważał u niej bardzo rzadko... może więc uporała się w końcu z zamieszaniem, jakie w jej życiu spowodowało ostatnie kilka tygodni.

Albo może tylko powracała do tego, co robiła kiedyś. Od wielu już lat nie montowała żadnego skomplikowanego urządzenia elektronicznego i nie wykorzystywała tego, czego się nauczyła.

– Rzecz jasna, zdajesz sobie sprawę – odezwała się, przerywając tok jego myśli – że jeżeli wyrazisz zgodę na wyprawę „Menssaną”, nie pozostanie nam żaden rezerwowy statek na wypadek, gdyby „Dewdrop” miała jakieś kłopoty na Qasamie.

Jonny potrząsnął głową.

– I tak nie zamierzaliśmy wysłać w tym celu „Menssany”. Na wypadek, gdyby się okazała konieczna jakaś demonstracja siły, przez cały czas trwania tamtej wyprawy będzie czuwał w pobliżu Qasamy co najmniej jeden okręt wojenny Troftów.

– Zawsze sądziłam, że Troftowie nie zamierzają walczyć z Qasamanami.

– Jeżeli wyprawa napotka na trudności, nie będą mieli innego wyjścia – odparł ponuro Jonny. – Ale nie powinni mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Błyskawiczny atak małej grupki komandosów jest czymś całkiem innym niż prowadzenie wojny na wielką skalę.

– A poza tym zależy im chyba na ochronie swojej inwestycji? – zapytała Chrys.

– No, teraz zaczynasz myśleć jak prawdziwy Troft – pochwalił ją Jonny, a potem stanął u jej boku i objął ją ramieniem.

– Pamiętaj tylko o jednym, Chrys – dodał nieco bardziej poważnie. – Chcąc zdobyć informacje, jakimi niewątpliwie dysponują, Baliusanie musieli tam wysłać co najmniej jedną dyplomatyczną misję, która bezpiecznie wróciła do domu. Dowodzi tego chociażby ich program translacyjny trzeciego stopnia, który chcą nam przekazać. Tak więc Joshua i Justin będą tam całkiem bezpieczni. Naprawdę.

– Chciałabym w to wierzyć – westchnęła Chrys. – Wiem tylko, że każda matka ma prawo martwić się o swoje dzieci.

– Niejasno przypominam sobie, że przed jakimiś trzydziestoma laty to samo miało być prawem żony.

– Świat się zmienia – odparła, bawiąc się w zamyśleniu sześcioboczną „stonogą”. – Przez cały czas się zmienia.

– Tak – zgodził się z nią Jonny. – I to nie zawsze na lepsze. Pamiętam takie czasy, kiedy organizowaliśmy wycieczki, na które lataliśmy tylko we dwoje, bez żadnych dzieci. Co powiedziałaabyś, gdybym zaproponował ci powrót tamtych dobrych czasów?

Chrys cicho parsknęła.

– Sądzisz, że rada umiałaby funkcjonować bez ciebie aż tak długo?

Skrzywił się, gdyż wyczuł w jej głosie krytykę.

– Jestem pewien, że tak – odparł, decydując się potraktować jej pytanie poważnie. – Corwin umie już całkiem nieźle pociągać za właściwe sznurki, a poza tym i tak nie sądzę, żeby w czasie trwania wyprawy na Qasamę miało wydarzyć się coś ważnego. To najlepsza pora, żeby wyjechać na wakacje.

– Chwileczkę – powiedziała, obdarzając go zdumionym spojrzeniem. – Jak możesz mówić o wakacjach, kiedy nasi synowie będą narażeni na nie wiadomo jakie niebezpieczeństwa?

– A dlaczego nie? – zapytał. – Mówiąc całkiem poważnie, nie widzę, co moglibyśmy dla nich zrobić, będąc tutaj, nawet gdybyśmy wiedzieli, że dzieje się coś złego. A pamiętaj, że tego nie będziemy wiedzieli, bo pomysł utrzymywania łączności promowej między nami a Qasamą odrzucono już dawno temu, gdyż uznano, że to mogłoby być zbyt prowokujące. Z drugiej strony uważam, że dobrze ci zrobi zajęcie się czymś, co pozwoliłoby ci nie martwić się o nich bez przerwy.

Nieznacznym ruchem ręki wskazała na leżące przed nią podzespoły elektroniczne.

– Jeżeli t o nie pozwoli mi nie martwić się ciągle o nich, to nie wiem, czy będą mogły to zrobić wakacje.

– To dlatego, że nie wiesz, o jakich wakacjach myślę – rzekł Jonny, modląc się w duchu, żeby udało mu się ją przekonać. Gdyby przedstawił właściwie całą sprawę, mogłaby się zgodzić... a świadomość tego, że postępują właściwie, była im obojgu bardzo potrzebna. – Myślałem o czymś w rodzaju wycieczki, w trakcie której zatrzymywalibyśmy się często w różnych miejscach, żeby sobie pospacerować bez pośpiechu po równinach czy lasach, może od czasu do czasu wykąpać się lub popływać, o ile woda będzie ciepła. W towarzystwie, o ile będziemy go szukali, albo sami, jeżeli uznamy to za lepsze wyjście. A przy tym będziemy mieli te same wygody, jakie mamy w domu. No, co na ten temat sądzisz?

Chrys uśmiechnęła się.

– To brzmi jak propozycja odbycia jednej z tych wycieczek liniowcem pasażerskim wzdłuż wybrzeża. Reklamowano je, kiedy byłam dzieckiem. Tylko nie mów mi, że jakaś przedsiębiorcza dusza kupiła taki liniowiec o Troftów.

– No, niezupełnie – odparł. – Do tego jeszcze nie doszło. Czy pomoże ci, jeśli powiem, że harmonogram tej wycieczki przewiduje odwiedzenie pięciu planet?

– Pięciu pl... Jonny! – wykrzyknęła Chrys, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. – Nie myślisz chyba o... wyprawie rozpoznawczej?

– Jasne, że tak. A dlaczego by nie?

– Co to ma znaczyć „dlaczego by nie”? To powinna być przecież wyprawa naukowa, a nie wypoczynek dla dwojga ludzi w średnim wieku.

– Tak, ale nie zapominaj, że wciąż jestem emerytowanym gubernatorem. Jeżeli Liz Telek umie przekonać wszystkich, że w wyprawie na Qasamę powinien wziąć udział ktoś mający władzę, nie widzę powodu, dla którego nie miałbym posłużyć się tym samym argumentem.

W twarzy Chrys drgnął nagle jakiś mięsień.

– Przyznaj się, już to wszystko zorganizowałeś? – zapytała podejrzliwie.

– Tak, ale polecę tylko wtedy, jeżeli i ty polecisz ze mną. Nie okłamałem cię, Chrys. Będę pełnił tam tylko funkcję obserwatora, mogę doradzać lub decydować, o ile okaże się to konieczne, ale poza tym nie zamierzam nikomu wchodzić w drogę. Tak że naprawdę dla nas dwojga będą to od dawna zasłużone wakacje.

Chrys spuściła głowę i przez chwilę wpatrywała się w blat stołu.

– To będzie trochę niebezpieczne, prawda? – zapytała. Jonny wzruszył ramionami.

– Nie bardziej od życia w Arielu, kiedy się pobieraliśmy. Wtedy nie przejmowałaś się tym specjalnie.

– Byłam o wiele młodsza.

– I co z tego? Dlaczego tylko Joshua i Justin mają cieszyć się życiem?

Spodziewał się wywołać u niej jakąś reakcję, ale wybuch jej głośniego śmiechu zupełnie go zaskoczył. Wybuch szczerego śmiechu, spowodowanego autentycznym rozbawieniem.

– Jesteś niesamowity – powiedziała, obracając się na krześle i spoglądając na niego z udawanym gniewem. – Czy nie powiedziałam ci przed chwilą, że mam za-

miar się o nich martwić? Co to ma być w końcu, bożonarodzeniowa wymiana zmartwień zamiast prezentów?

– A może upoważnimy Corwina, żeby martwił się za nas wszystkich? – zaproponował Jonny pozornie poważnie. – Za obu braci rano, za rodziców po południu, a wieczorami będzie mnie zastępował w martwieniu się o całą radę. Daj spokój, Chrys, to może być nasza jedyna szansa ujrzenia miejsc, w których mogą żyć kiedyś nasze praprawnuki.

A przynajmniej jedyna szansa na to, byśmy byli razem – dodał w myślach – w ciągu tych trzech lub czterech ostatnich lat, jakie mi zostały.

Na jej twarzy nie ujrzał żadnego śladu dowodzącego, że mogła wiedzieć, o czym myślał, ale po jakiejś minucie westchnęła i kiwnęła głową.

– No, dobrze – powiedziała. – Zgadzam się. Polecę z tobą.

– Dzięki, kochanie – rzekł cicho Jonny.

Wiedział, że ta wyprawa nie zastąpi jej straty synów, którzy poświęcili się służbie dla wszechświata... ale może towarzystwo męża, który tak często musiał przebywać poza domem, chociaż w części będzie mogło wynagrodzić jej tę stratę.

Taką miał przynajmniej nadzieję. Mimo zapewnień, że wszystko będzie dobrze, wiedział jednak, iż ich dwaj synowie mogli zostać pochłonięci przez ten sam wszechświat i już nigdy do nich nie powrócić.

Rozdział szósty

Całej radzie – wraz ze wciąż powiększającym się gronem osób zaufanych i doradców – udawało się utrzymać w tajemnicy wiadomość o ofercie Troftów przez następne cztery tygodnie, ale po tym okresie Stiggur postanowił podać ją do publicznej wiadomości. Z punktu widzenia Corwina nie mógł tego zrobić w mniej odpowiedniej chwili. Wciąż zaabsorbowany szczegółami negocjacji finansowych z Troftami, został niespodziewanie zmuszony do odpowiadania na pytania, jak mu się wydawało, wszystkich trzystu osiemdziesięciu tysięcy mieszkańców Aventyny. Theron Yutu i pozostali pracownicy zajmowali się co prawda tym samym, ale wiele tych pytań dotyczyło spraw politycznych, na które mógł odpowiedzieć tylko on lub Jonny. Pragnąc zaś odciążyć ojca od nadmiaru pracy na tyle, na ile to było możliwe, Corwin stwierdził, że spędza zdumiewająco dużo czasu na udzielaniu odpowiedzi przez telefon czy wywiadów dla publicznej sieci informacyjnej.

Na szczęście reakcja niemal wszystkich była pozytywna. Większość zgłaszanych zastrzeżeń obracała się wokół tych samych problemów natury etycznej, o których dyskutowała cała rodzina Moreau tamtego pierwszego wieczoru. A zresztą, nawet i malkontenci w większości także popierali stanowisko rady. Nikt nie zadał pytania, którego Corwin obawiał się najbardziej, a mianowicie, dlaczego rada czekała prawie przez dwa miesiące na to, żeby dowiedzieć się, co sądzi o tym wszystkim ogół. Na to pytanie byłoby znacznie trudniej odpowiedzieć.

Udzielanie odpowiedzi i wyjaśnianie wątpliwości odwracały jego uwagę od szczegółów wyprawy, które właśnie wtedy ustalano – i to, prawdę mówiąc, tak bardzo, że zupełnie przeoczył najważniejszy szczegół dotyczący składu osobowego proponowanej eskapady badawczej na pięć planet do chwili, w której podano go do wiadomości publicznej... a nawet wtedy zwrócił na niego uwagę dopiero, kiedy zadzwonił do niego i oznajmił mu o tym Joshua.

– Zastanawiałem się przez cały czas, dlaczego przyjmujesz tę wiadomość z takim spokojem – powiedział Jonny, kiedy Corwin zwrócił się z tym do niego w chwilę po rozmowie z bratem. – Mam wrażenie, że powinienem był wspomnieć ci o tym trochę wcześniej.

– Wspomnieć? A to dobre – burknął Corwin. – Czy nie sądzisz, że powinieneś przedyskutować to z nami, zanim zgłosiłeś się na ochotnika i dopilnowałeś, że zaakceptują twoją propozycję?

– Dlaczego? – zdziwił się Jonny. – To, co twoja matka i ja chcemy zrobić ze swoim życiem, jest tylko naszą sprawą. Jesteśmy na tyle dorośli, że możemy takie decyzje podejmować sami. Postanowiliśmy, że zmiana może nam dobrze zrobić, i wybraliśmy najlepszy naszym zdaniem sposób, żeby jej dokonać. – Mrugnął porozumiewawczo. – A może chcesz powiedzieć, że żadne z nas nie ma pojęcia, jak należy się zachowywać w zupełnie nieznanym miejscu?

Corwin zacisnął mocno zęby.

– Masz teraz znacznie więcej lat, niż wówczas, kiedy przybyłeś na Aventinę – powiedział. – A tam, dokąd się wybierasz, możesz zginąć.

– Twoi bracia także mogą zginąć na Qasamie – przypomniał mu łagodnie Jonny. – Czy wszyscy mamy czuć się bezpiecznie, podczas gdy oni będą tam ryzykowali życiem? W ten sposób chociaż w pewnym sensie będziemy mogli dzielić z nimi grożące im niebezpieczeństwa.

Corwin poczuł, jak po plecach przebiegły mu zimne dreszcze.

– To bardzo naciągany argument, tato – powiedział. – Twoje niebezpieczeństwa w żadnym stopniu nie zmniejszą tych, jakie mogą im grozić.

– Wiem o tym – odrzekł Jonny z przymusem, pogodnie się uśmiechał, ale po jego uśmiechu można było poznać, że pragnie w ten sposób oszukać samego siebie. – To jedna z najbardziej fascynujących cech ludzkiej psychiki... głęboko zakorzenione przeświadczenie, które może być bardzo silne, choć nie ma po temu najmniejszych podstaw. – Po chwili jednak spowaźniał i dodał: – Nie zamierzam cię prosić, żebyś się cieszył z mojej decyzji, ale chociaż przyznaj, że wiem na tyle dużo o sobie i swojej żonie, żeby wiedzieć, co robię.

Corwin westchnął i rozłożył ręce, jak gdyby przyznawał się do porażki.

– Niech będzie – powiedział. – Zależy mi tylko na tym, byście wrócili. Wiesz, że nie potrafię borykać się sam z całą radą.

Jonny zachichotał.

– Zrobimy, co będzie w naszej mocy – odparł. Sięgnąwszy po telefon, wystukał na klawiaturze jakiś numer, a później popatrzył na ekran. – Zobaczmy, co tu mamy... o, bardzo dobrze. Dziś wieczorem rada ma dyskutować na temat liczebności Kobr. Myślę, że nic się nie stanie, jeżeli sobie to darujemy. Czy nie chciałbyś

się przyjrzeć, jak wyglądają w praktyce przynajmniej niektóre poczynania polityczne twojego taty?

– Jasne – odparł Corwin, zastanawiając się, co może mieć na myśli jego ojciec.

– To dobrze – odparł Jonny i wystukał jeszcze jeden numer. – Mówi Jonny Moreau. Czy ta specjalna taksówka powietrzna, którą zamawiałem, jest już gotowa?... To świetnie. Proszę powiadomić pilota, że chciałbym odlecieć mniej więcej za dwadzieścia minut. Oprócz mnie poleci jeszcze dwóch pasażerów.

Skończywszy rozmowę, wstał i podszedł do stojaka, na którym wisiał jego termiczny skafander.

– Weź płaszcz – poradził Corwinowi. – Mamy zamiar dostarczyć klientowi coś, co może być uznane za aventiński odpowiednik darmowej próbki naszego towaru, która, przy odrobinie szczęścia, może okazać się wcale nie taka darmowa.

Trzecim uczestnikiem wycieczki okazał się Pierwszy Mówca.

Kiedy przelatywali nad rozciągającą się pod nimi Aventiną, Corwin obserwował Trofta z czymś w rodzaju skrywanej fascynacji. Wprawdzie spotykał się w życiu z wieloma przedstawicielami tej rasy, ale nigdy żadnego nie miał okazji oglądać przez tyle czasu i z tak bliska. Spoglądał na jego nogi ze stawami umożliwiającymi im zginanie się do tyłu i płaskimi, podobnymi do łap stopami. Patrzył na jego tułów i podbrzusze, przypominające mu owadzi odwłok, na ramiona z giętkimi, rozkładającymi się jak wachlarz membranami, na nieproporcjonalnie dużą głowę z podwójnym pęcherzem w okolicy gardła, a także na dziwną twarz, na widok której miał wrażenie, że patrzy na ogromne kurczę. Wszystkie te szczegóły anatomicznej budowy ciała Trofta były mu tak dobrze znane jak wygląd człowieka czy nawet kolczastego lamparta, a jednak dopiero teraz zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, ilu szczegółów w ogóle nawet nie dostrzegał. Choćby błyszczącej lekko skóry obcej istoty, podobnej do połysku obcistego bezrękawnika, który nosił. Z odległości niespełna metra mógł wyraźnie widzieć krzyżujące się zmarszczki skóry i delikatne włoski, wyrastające z każdego skrzyżowania. Siedząc na specjalnie dla niego skonstruowanym fotelu, Troft poruszył się tylko kilka razy podczas lotu, ale Corwin przy każdym jego ruchu widział rysujące się pod skórą napięte mięśnie, a także – przynajmniej od czasu do czasu – niektóre kości. Ogromne główne oczy miały barwę inną niż troje mniejszych oczu pomocniczych, umieszczonych wokoło każdego z nich. Czytał kiedyś, że oczy główne pozwalają Troftom na widzenie przestrzenne, podczas gdy pomocnicze umożliwiają zarówno widzenie w nocy, jak wykrywanie spolaryzowanego

światła słonecznego w mgliste dni po to, żeby mogli określać swoją pozycję względem słońca. W czasie trwania całego lotu krótki dziób Trofta nie otworzył się ani razu. Corwin bardzo tego żałował, gdyż chciałby zobaczyć, jak naprawdę wyglądają z bliska jego trójdzielne zęby.

Jonny także nie odezwał się przez całe dwadzieścia minut ani słowem, jeżeli nie liczyć poinformowania pilota o celu podróży. Wyglądało na to, że on i Pierwszy Mówca uzgodnili wszystko już wcześniej i teraz żaden nie czuł potrzeby rozmowy. Corwin przez jakiś czas się zastanawiał, czy nie poprosić ojca o dodatkowe wyjaśnienia, ale niechętnie doszedł do wniosku, że powinien naśladować jego milczenie i zrezygnować. Dzieląc uwagę między widoki w dole i Trofta, uzbroił się w całą cierpliwość, na jaką było go stać w tych okolicznościach.

W końcu wylądowali w pobliżu wielkiego, prostopadłościennego budynku, wzniesionego z dala od jakiegokolwiek znanej Corwinowi osady, w samym sercu ośnieżonych o tej porze lasów. Jonny wysiadł z taksówki, i nie odzywając się do dwóch czekających już na nich umundurowanych mężczyzn, poprowadził wszystkich w stronę budynku... i dopiero wówczas zaczęło Corwinowi świtać w głowie, co mógł mieć na myśli jego ojciec.

Wysoko w górnej części munduru każdego mężczyzny ujrzał naszywkę z napisem „Ośrodek szkoleniowy”, a pod nim stylizowany wizerunek przedstawiający obdarzonego kapturem węża akademii Kobr.

– Panie gubernatorze – odezwał się jeden z mężczyzn, kiwnąwszy w stronę Jonny’ego głową. – Pan i pana goście uzyskali zgodę na wizytę w naszej sali obserwacyjnej. Proszę teraz iść za mną...

Wszyscy razem przeszli przez opancerzone drzwi i udali się wyjątkowo ponuro wyglądającym i ciemnym korytarzem, a odgłos ich kroków odbijał się dziwnym echem o metalowe ściany. Przewodnik zaprowadził ich do windy, z której wyłonili się po trzydziestu sekundach w dużej i nierównomiernie oświetlonej sali, w której wyczuwało się atmosferę tłumionego napięcia. W ciemniejszych miejscach wzdłuż jednej ze ścian sali przed zestawami niewielkich monitorów siedziało co najmniej trzydziestu mężczyzn z palcami na klawiaturach i dźwigniach. Mniej więcej pośrodku sali znajdowała się duża półkolista konsola wyposażona w nieco większe ekrany i będąca ośrodkiem zainteresowania kilku innych mężczyzn, ubranych w mundury z czerwonymi i czarnymi ukośnymi pasami Kobr. Jeden odwrócił się i ruszył ku nim, żeby ich powitać, a kiedy znalazł się tuż przy nich, Corwin rozpoznał w nim samego koordynatora Kobr, Suna. Zaiste, królewskie powitanie – pomyślał.

– Witam pana, panie gubernatorze – odezwał się koordynator, schylając lekko głowę w stronę Jonny’ego. – Witam także i pana, Pierwszy Mówco, jak również pana, panie Moreau – dodał, powtarzając ten gest w kierunku Trofta i Corwina. – Poproszę panów, żebyście poszli teraz ze mną. Nasza grupa zdołała właśnie przedrzeć się przez teren zewnętrznej linii obrony nieprzyjaciela.

– Czy teraz zaatakują? – zapytał Pierwszy Mówca, kiedy wraz z Sunem wrócili do półkolistej konsoli.

– Można tak to określić – odparł Sun. – Grupa Kobr, która ma zostać wysłana na Qasamę, ćwiczy sposoby przedostawania się do środka budynków. Zobaczmy, jak sobie z tym dają radę.

Na ekranach było widać różne etapy tej akcji, a Corwin szybko popatrzył na nie po kolei, chcąc zorientować się, o co chodzi. Mimo wielu monitorów z widocznymi na nich obrazami z różnych kamer, już wkrótce stwierdził, że w ataku biorą udział tylko cztery Kobry: Almo Pyre, Justin i dwaj, których znał tylko ze zdjęć i z raportów rady: Michael Winward i Dorjay Link. Ci ostatni skradali się właśnie korytarzem, podczas gdy Pyre i Justin kulili się przed groźnie wyglądającymi drzwiami.

– Ci dwaj – wyjaśnił Sun, wskazując na Pyre’a i Justina – zatrzymali się przed pancernymi drzwiami zaopatrzonymi w elektroniczny zamek. Wiedzą, że mogliby go zniszczyć za pomocą przeciwpancernych laserów, ale na razie nikt nie uruchomił alarmu, więc mają czas się zastanowić, czy nie można tam wejść nieco ciszej. Wygląda mi jednak na to, że już wkrótce jeden z Qasaman może spletać im przykrego figla.

Wystukał na klawiaturze jakiś kod, po którym obraz na monitorze się zmienił, ukazując ich oczom widok z kamery poruszającego się chwiejnym krokiem zdalniaka...

Kamera skręciła za róg i znieruchomiła, przekazując obraz pancernych drzwi i Justina. Justin jest sam? – pomyślał Corwin. – Przecież Almo także był tam przed chwilą...

Nagle ekran rozbłysnął jasnym światłem i ściemniał. Corwin w samą porę popatrzył na inny monitor, przekazujący obraz z nieruchomej kamery, żeby zobaczyć, jak Pyre opada spod sufitu i ląduje u boku obezwładnionego przez siebie zdalniaka, wyciągając obie ręce w pozycje gotowe do strzału z laserów małych palców. Wyjrzawszy za róg, uniósł bez wysiłku zdalniaka i położył go pod pancernymi drzwiami.

– Gotowe – szepnął Justinowi.

– Ja też jestem gotów – szepnął w odpowiedzi Justin.

– Za tymi drzwiami znajduje się bardzo ważny ośrodek śledzenia toru lotu pocisków – wyjaśnił im Sun.

Nachyliwszy się, wcisnął jakiś przełącznik i ciemny dotychczas ekran nie używanego monitora rozjaśnił się, ukazując schemat pomieszczeń, w których odbywały się ćwiczenia. Corwin niemal w tej samej chwili umiejscowił na nim dwie kropki, oznaczające miejsca pobytu jego brata i Pyre’a... i zdrętwiał z przerażenia, kiedy stwierdził, że pokój, do którego zamierzali się dostać, bynajmniej nie był pusty.

– Jak widzicie – ciągnął tymczasem beznamiętnie Sun – w pokoju przebywa ośmiu Qasaman, którzy pełnią tam właśnie służbę. Wszyscy są uzbrojeni, ale atakujące ich Kobry powinny mieć przewagę wynikającą z zaskoczenia. Zaraz zresztą się przekonamy...

Justin wyprostował się i sięgnął ręką do drzwi... ale o ułamek sekundy wcześniej, zanim zdążył je otworzyć, panującą ciszę rozdarło przenikliwe wycie alarmowych syren.

Corwin dowiedział się nieco później, że ten alarm uruchomili przypadkowo Winward i Link, ale w tym pierwszym ułamku sekundy wydawało się przerażająco jasne, że Justin i Pyre wpadli w zastawioną na nich pułapkę. Obaj zresztą zapewne także w to uwierzyli, gdyż zamiast wskoczyć do pomieszczenia przez uchylone drzwi, przywarli do ściany po obu ich stronach. Stojący z tyłu za Corwinem Jonny ze złością coś mruknął... ale zanim obu Kobrom przyszło na myśl, że się pomylili, było już za późno. Znajdujące się w pokoju zdalniaki zostały ostrzeżone i w chwili, w której Pyre zaryzykował i odważył się zajrzeć do środka, o mało co został trafiony strzałem z lasera.

Corwin zacisnął zęby aż do bólu, ale widoczne na monitorach postacie nie traciły czasu na obarczanie się nawzajem winą. Pyre dał Justinowi kilka szybkich znaków ręką, a Justin w odpowiedzi tylko kiwnął głową i przygotował się do akcji.

W następnej sekundzie obaj mężczyźni wystrzelili prawie na oślep z laserów umieszczonych w małych palcach... a potem Pyre, odepchnąwszy się od futryny, jak pocisk wpadł do pokoju.

Odbił się od podłogi i poszybował ku sufitowi. Siedzące jego ruchy kamery przekazały idealnie wyraźny obraz ciała lecącego łagodnym łukiem niby dziwaczny skoczek po odbiciu się od trampoliny. W tym czasie znajdujący się w jego lewej nodze przeciwpancerne laser siał zniszczenie, a wąski stożek światła

omiatał przestrzeń pod nim. Pyre nie zdążył osiągnąć najwyższego punktu toru lotu, kiedy w ślad za nim do pokoju wpadł Justin. Młodszy Kobra wykonał płaski, długi skok z półobrotem w powietrzu, po którym wylądował na plecach i zaczął się obracać jak wirujący bąk... a w tym czasie i jego przeciwpancerne laser omiatał pokój śmiercionośnym światłem.

Był to klasyczny dwupoziomowy manewr, który Corwin tak dobrze znał z wojennych opowieści ojca. W przestrzeni między szybującym wysoko Pyre'em a strzelającym tuż przy podłodze laserem Justina nie było miejsca, w którym można byłoby się ukryć, i w ciągu następnej półtorej sekundy wszystkie osiem ekranów monitorów przekazujących obrazy z kamer zdalników jeden po drugim ciemniały.

Corwin nagle zdał sobie sprawę z tego, że wstrzymuje oddech, i zaryzykował rzut oka na inne monitory, żeby się zorientować, co robią Winward i Link. Od chwili, w której widział ich po raz ostatni, rozdzielili się: Link znajdował się teraz przy otwartych drzwiach prowadzących na zewnątrz budynku, a Winward go asekurował z wyciągniętymi rękami i przygotowanymi do strzału laserami małych palców, stojąc tam, gdzie krzyżowały się dwa korytarze. Na wyświetlanym schemacie miejsca akcji w dzielącej ich przestrzeni można było zobaczyć imponującą liczbę unieruchomionych zdalników.

Nagły błysk i głośny huk sprawił, że Corwin zwrócił uwagę ponownie na poprzedni monitor. Zrobił to w samą porę, żeby ujrzeć, jak znajdujący się w pokoju śledzenia toru lotu pocisków Justin wycelował laser małego palca prawej dłoni w kolejny pulpit sterowniczy i uruchomił swój miotacz energii elektrycznej. Corwin zacisnął dłonie w pięści, kiedy nastąpił drugi błysk i rozległ się drugi huk. Dobrze pamiętał szok, jaki przeżył, będąc dzieckiem, kiedy poraził go prąd elektryczny z uszkodzonego gniazda sieciowego. Wskutek tego ten o wiele groźniejszy, bo wysokoamperowy łuk elektryczny przemieszczający się po ścieżkach powietrza zjonizowanego dzięki strzałowi z lasera kojarzył mu się z tamtym wstrząsem o wiele silniej, niż znacznie bardziej śmiercionośny strzał z przeciwpancerne lasera. Zmusił się jednak do patrzenia, jak Pyre i Justin niszczyli metodycznie kolejne pulpity sterownicze i urządzenia elektroniczne, które widzieli w pomieszczeniu. Pyre zatrzymał się tylko raz, i to na krótko, przed dużym ekranowanym ze wszystkich stron aparatem i nagle cały pokój wypełnił się dziwnym buczeniem.

– Broń soniczna – oznajmił Sun, prawdopodobnie mając na uwadze obecność Trofta.

Po kilku chwilach Corwinowi wydało się, że słyszy cichy trzask, po którym buczenie ustało, a Pyre ruszył dalej.

Po następnych dwóch strzałach z miotacza energii elektrycznej wyjście obu Kobr z pomieszczenia przebiegło tak beztrasko, że niemal można było zapomnieć o tym, jakiego zniszczenia dokonali w tak krótkim czasie. Dopiero teraz stało się jasne, że Link i Winward większość tego czasu spędzili przygotowując im drogę odwrotu, toteż Pyre musiał unieszkodliwić już tylko dwa zdalniaki. Winward przyłączył się do nich, kiedy mijali jego punkt obserwacyjny na skrzyżowaniu korytarzy. Po kilku następnych chwilach dotarli do drzwi, których pilnował Link, i wszyscy czterej skryli się w gęstwinie

lasu. Dopiero wtedy Corwin poczuł, że rytm bicia jego serca zaczyna powoli powracać do normy.

– I to byłoby wszystko – oznajmił Sun. – Operatorzy zdalniaków, proszę wyłączyć urządzenia. Proszę też wezwać Kobry do powrotu.

Corwin rozejrzał się po sali. Zobaczył, że w słabiej oświetlonej części ekrany wszystkich monitorów ciemnieją jeden po drugim, a operatorzy zdalniaków wstają z krzeseł i przeciągają się, by rozluźnić mięśnie. Nagle poczuł, jak stojący za nim ojciec kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Już zdążyłem zapomnieć, co to znaczy widzieć Kobry podczas prawdziwej walki – odezwał się Jonny, a w jego głosie można było wyczuć ślady emocji, jaką i on musiał przeżyć.

– Zdumiewające, ile adrenaliny może wytworzyć ludzki organizm – odezwał się inny znajomy głos.

Zaskoczony Corwin popatrzył na kogoś stojącego o krok za ojcem. Tak bardzo skupił uwagę na ekranach monitorów, że nawet nie zauważył starego przyjaciela i towarzysza broni Jonny'ego, Cally'ego Hallorana, którego Sun także dołączył do grupy szkolącej nowe Kobry. Halloran skinął Corwinowi głową i przeniósł wzrok na Trofta, nie odzywającego się ani słowem.

– Słyszałem, Pierwszy Mówco, że domena Baliu'ckha'spmi uważa koszty naszej wyprawy rozpoznawczej za zbyt wygórowane – powiedział. – Czy teraz, kiedy widział pan nasze Kobry w akcji, sądzi pan, że mają rację?

Pierwszy Mówca poruszył się niespokojnie, rozprostował membrany niczym nietoperz skrzydła, lecz po chwili ponownie złożył je na górnych częściach ramion.

– Domena Tlos'khin'fahi zawsze była świadoma, jakimi umiejętnościami walki dysponują wasi żołnierze-koubry – odparł.

Dopiero po chwili Corwin uzmysłowił sobie, że właściwie nie była to odpowiedź na zadane pytanie. Jego ojciec także nie dał się zwieść temu unikowi.

– Ale nie na tyle świadoma, jak sądzę, żeby ponieść dodatkowe koszty, których nie chce pokryć domena Baliu? – zapytał. – Może zatem władca waszej domeny chciałby obejrzeć sobie taśmę z nagraniem dzisiejszych ćwiczeń?

– Myślę, że bardzo by go to zainteresowało – zgodził się z nim Troft. – Zwłaszcza, gdyby cena tej taśmy okazała się przystępna.

– Dość przystępna – obiecał Jonny, kiwnąwszy głową. – Tym bardziej, że z pewnością część tej sumy zwróci wam później domena Baliu'ckha'spmi za kopię tej taśmy, którą jej odsprzedacie. W związku z tym mam nadzieję, że potem władcy obu tych domen osiągną nowe porozumienie w sprawie tego, jakie koszty każdy zechce ponieść, żeby zapewnić sobie nasze usługi.

– Tak – odezwał się Pierwszy Mówca, a Corwin z niejakim zaskoczeniem pomyślał, że w monotonnym dotychczas głosie z translatora słyszy coś, co można byłoby wziąć za zadumę. – Tak, uważam to za całkiem możliwe.

Jego przypuszczenia okazały się słuszne i po upływie kolejnych dwóch tygodni Troftowie zaprzestali wszelkich uników, jakie stosowali dotychczas w rozmowach na tematy finansowe. Niewiele to zresztą obchodziło kogokolwiek z planujących obie wyprawy ludzi, którzy już przedtem postanowili nie oszczędzać w sprawach najważniejszych przy równoczesnym dążeniu do minimalizowania innych kosztów. Taka carte blanche stanowiła ogromny emocjonalny doping dla wszystkich, których to dotyczyło. Corwin ocenił natomiast ten gest w sensie politycznym jako dość wyraźny wzrost znaczenia światów Kobr na arenie międzyplanetarnej. W pewnym sensie było to bardzo pozytywne, ale też trochę niebezpieczne... gdyż

Corwin dobrze pamiętał czasy, kiedy Troftowie traktowali te same światy jako zagrożenie. Ich obawy rozproszyło dopiero przerwanie wszelkich kontaktów z Dominium Ludzi, ale można było łatwo przewidzieć, że taki wzrost politycznego znaczenia, chociażby tylko pozorny, mógł wzbudzić niepokój Troftów i zostać potraktowany przez nich jako nowa groźba. Po raz pierwszy w życiu Corwin zaczynał rozumieć obawy ojca przed użyciem tej obosiecznej broni, jaką było ujawnianie Troftom prawdziwych umiejętności Kobr w zakresie prowadzenia walki. Teraz jednak było o wiele za późno na to, żeby się wycofać.

Po kolejnych trzech tygodniach – razem zaledwie jedenastu od chwili zaaprobowania projektu przez radę – z Aventiny wystartowały jedyne dwa międzygwiazdne statki, jakimi dysponowały Światy Kobr: „Dewdrop” i „Menssana”. Na pokładzie „Dewdrop” lecącej ku Qasamie znajdowali się Joshua i Justin Moreau; na pokładzie „Menssany” – Chrys i Jonny Moreau, kierujący się ku celom, których położenia oficjalnie nie określono.

Corwin przyglądał się, jak oba statki odlatują, a później przez długi czas nie mógł się nadziwić, w jaki sposób na planecie zamieszkiwanej przez prawie czterysta tysięcy ludzi może nagle czuć się aż tak samotny.

Rozdział siódmy

W czasach, kiedy dopiero zaczynano kolonizować Aventinę, „Dewdrop” była jedynym statkiem międzygwiazdowym tej planety. Zbudowano ją tylko z myślą o lotach zwiadowczych po okolicznych systemach gwiazdnych w celu zorientowania się, która z planet nadaje się do kolonizacji. W związku z tym projektanci z Dominium nie widzieli sensu, by miał to być statek większy od zwyczajnego patrolowca. W normalnych warunkach wystarczał, żeby pomieścić pięciu członków załogi i czterech obserwatorów. W chwili obecnej na pokładzie znajdowało się jednak dwa razy tyle osób, co sprawiało, że było okropnie ciasno.

Pyre jednak nie uważał tej sytuacji za szczególnie mecząca czy nieprzyjemną, gdyż wychował się w warunkach, które na swój specyficzny sposób były co najmniej tak samo klaustrofobogenne. Niewielka osada Thanksgiving, w której mieszkał, otoczona ze wszystkich stron gęstymi lasami z buszującymi w nich kolczastymi lampartami, stanowiła bardzo przytulne miejsce i chociaż Pyre od tamtych czasów doświadczył zarówno większej anonimowości dużych miast, jak swobody otwartych przestrzeni przygranicznych rejonów Aventyny, to jednak nigdy nie stracił zdolności do stwarzania sobie umysłowego odosobnienia w sytuacjach, w których fizyczne nie istniało.

Większość pozostałych pasażerów przystosowała się do panujących warunków równie dobrze. Joshua i Justin, rzecz jasna, przez większą część życia mieli wspólny pokój i nawet stłoczeni w jednej z kabin statku radzili sobie lepiej niż większość innych par braci, jakie znał Pyre. Pozostałe Kobry, Link i Winward, mieli za sobą nie tylko wspólny pobyt w koszarach akademii, ale i intensywne ćwiczenia, jakim poddawano ich w ciągu ostatnich kilku tygodni, toteż Winward uznał warunki panujące na statku w porównaniu z tamtymi za isticie luksusowe. Członkowie grupy zwiadowczej, w skład której, oprócz Justina, wchodził: Yuri Cerenkov, Marek Rynstadt i dawny komandos Dominium, Decker York – zostali przed odlotem przebadani w celu wykrycia czegokolwiek, co choćby tylko przełotnie wyglądało na nerwicę. Pyre wątpił, czy cokolwiek mogłoby im przeszkodzić, przynajmniej w sposób zauważalny. Dwaj główni naukowcy wyprawy, doktorzy Bilman Christopher i Hersh Nnamdi, byli tak zajęci sprawdzaniem aparatury i programów oraz planowaniem postępowania na wypadek trudnych do prze-

widzenia sytuacji, że najprawdopodobniej nawet nie zauważyli, jak ciasno było wszystkim na pokładzie statku.

Pozostawała więc tylko gubernator Telek.

Dla Pyre'a było tajemnicą, dlaczego dołączono ją do grupy osób biorących udział w wyprawie. Jedynym rozsądnym argumentem wydawał mu się ten o potrzebie reprezentowania rady przez kogoś obdarzonego dużą władzą. Poza tym nie chciało mu się wierzyć, żeby gubernator generalny Stiggur zgodził się na udział kobiety w czymś, co z każdą chwilą coraz bardziej zaczynało wyglądać na wyprawę wojskową. Pyre nie miał żadnych zastrzeżeń wobec kobiet, które były lekarzami lub inżynierami, ale walka czy wojna to coś zupełnie innego. Uważał, że Stiggur, który przecież znaczną część życia spędził w Dominium, powinien wiedzieć o tym lepiej od niego. Rozważania te doprowadziły go szybko do nieuchronnego wniosku, że decyzję o udziale Telek podjęto wyłącznie ze względów politycznych... co jeszcze szybciej kazało mu zadać sobie pytanie, dlaczego on sam, Pyre, także znalazł się na pokładzie.

I dopiero odpowiedź na to pytanie sprawiła mu prawdziwy kłopot. Pyre nie miał ostatnio tak bezpośredniego dostępu do wszystkich poufnych informacji jak wówczas, kiedy mieszkał blisko i często spotykał się z rodziną Moreau, ale nawet i bez tych informacji było dla niego całkiem jasne, że Stiggur nie zgodziłby się na zabranie Telek, gdyby się nie spodziewał, że jej raport i wynikające z niego wnioski będą chociaż mniej więcej zgodne z jego własnymi oczekiwaniami. Pyre zaś był dobrym przyjacielem Jonny'ego Moreau, który zarówno jako gubernator, jak i później, już po przejściu na emeryturę, nie zgadzał się ze zdaniem Telek niemal w żadnej sprawie... a jednak ta kobieta postanowiła obejrzeć w akcji na Aventinie właśnie grupę Pyre'a, to jego poprosiła o ocenę kosztów wyprawy i liczebności Kobr po to, żeby później przedstawić te dane radzie, wreszcie to jego kandydaturę poparła, kiedy zastanawiano się, kto będzie przywódcą wszystkich Kobr tej wyprawy.

Dlaczego? Czy w ten sposób chciała mu schlebić, żeby uznał jej bardziej agresywne stanowisko w sprawie Qasamy? Czy może zamierzała mu tylko dać ostatnią szansę wzięcia udziału w prawdziwej walce, zanim związane z implantowanymi urządzeniami choroby i dolegliwości złączą z wolną lecz nieubłagane paraliżować jego ciało? Czy mogła żywić nadzieję, że dzięki temu zostanie jej politycznym sprzymierzeńcem, kiedy przejdzie na emeryturę i będzie mógł pełnić już tylko funkcję doradcy? A może po prostu sądziła, że najlepiej ze wszystkich nadaje się do tej pracy i przynajmniej w tym jednym przypadku uznała, że może mieć w nosie całą politykę?

Nie umiał stwierdzić... a wkrótce też stało się jasne, że nie

będzie mógł znaleźć odpowiedzi także w czasie podróży. Okazało się bowiem, że zagadnienia z dziedziny biologii, jakie kiedyś studiowała Telek, niemal wcale nie przygotowały jej do stawienia czoła problemom, z jakimi przyszło jej borykać się na pokładzie zatłoczonej „Dewdrop”. Bardzo starała się być miła dla wszystkich, ale tak, by nie tracić nic z godności osoby oficjalnie dowodzącej wyprawą, i już wkrótce stało się oczywiste, że po prostu nie zaistnieje żadna możliwość zapytania jej o powody, dla których zdecydowała się wziąć w niej udział. Może później znajdzie się na to czas, kiedy wylądują na Qasamie i kiedy zejdzie na ląd grupa zwiadowcza. O ile będzie wtedy czas na cokolwiek.

Tak więc Pyre spędzał czas, zastanawiając się nad możliwymi sposobami postępowania w różnych sytuacjach, odnawiał znajomość z bliźniakami i wsłuchiwał się w monotony szum silników „Dewdrop”, zastanawiając się zarazem nad tym, czy o czymś nie zapomniał. Na śniące mu się czasami koszmary o nagłej i nieodwracalnej klęsce starał się, jak mógł, nie zwracać uwagi.

Przebycie czterdziestu pięciu lat świetlnych z ekonomiczną prędkością, przy małym ciągu silników, zajęłoby im trochę więcej niż miesiąc. Mogli jednak pokonać tę odległość w ciągu sześciu dni, gdyby podróżowali z największą szybkością, na jaką było stać „Dewdrop”, i z częstymi postojami w celu uzupełnienia paliwa na planetach Troftów. Kapitan Reson F’ahl wybrał jednak rozsądne pośrednie wyjście, nie tylko z uwagi na starzejące się urządzenia statku, ale i – jak podejrzewał Pyre – na głęboko zakorzenioną nieufność wobec Troftów.

Tak więc przez piętnaście dni byli otoczeni przez nieprzeniknioną czerń nadprzestrzeni, przerywaną co pięć dni krótkimi postojami dla nabrania paliwa... a szesnastego dnia znaleźli się nad Qasamą.

Puryści od wieków twierdzili, że żadna emulsja fotograficzna, żaden wizerunek holograficzny czy nawet komputerowo przetworzony obraz nie są w stanie zastąpić zasięgu i mocy ludzkiego oka. Teoretycznie Joshua był skłonny się z tym zgodzić, ale dopiero teraz po raz pierwszy przekonał się, jakie wrażenie wywiera widok z iluminatora własnej kabiny.

Poeci mieli rację: istniało niewiele widoków równie majestatycznych jak widok całej planety niespiesznie i dumnie obracającej się wokół własnej osi.

Stojąc z twarzą niemal przylepioną do małego trójwarstwowego plastikowego owalu, Joshua nawet nie spostrzegł, że ktoś wszedł do kabiny, dopóki nie usłyszał pytania Justina:

– Masz zamiar zapuścić korzenie? Nawet nie chciało mu się odwrócić głowy.

– Znajdź sobie jakiś inny iluminator – powiedział. – Ten jest mój, bo byłem przy nim pierwszy.

– Daj spokój i odklej się od niego – odparł Justin, udając, że stara się odsunąć brata siłą. – Zresztą i tak chyba powinienesz być teraz razem z Yurim i innymi.

Joshua machnął ręką w kierunku ekranu interkomu.

– Tutaj i tak nie ma miejsca dla nikogo większego od chomika – powiedział.
– No dobrze, już dobrze.

Parsknąwszy z udaną irytacją, odsunął się na bok. Jego miejsce przy iluminatorze zajął Justin... ale Joshua nie podszedł do interkomu, dopóki nie usłyszał pierwszego, pełnego podziwu gwizdnięcia brata.

Obraz na ekranie ukazał mu pomieszczenie, nazywane eufemistycznie przez wszystkich świetlicą. „Zatłoczone” byłoby zbyt łagodnym określeniem na opisanie tego, co teraz się w nim działo. Upchnięci między różnymi urządzeniami i monitorami, znajdowali się w nim: Yuri Cerenkov, obaj naukowcy, Christopher i Nnamdi oraz gubernator Telek.

Z tyłu, przy samym iluminatorze, niemal poza zasięgiem kamery interkomu, stali obok siebie, wymieniając od czasu do czasu uwagi, Pyre i Decker York. Joshua podkreślił nieco siłą głosu i uczynił to w samą porę, żeby usłyszeć ciche chrząknięcie zamyślonego Nnamdiego.

– Przykro mi, ale nie widzę tu niczego takiego, czego mogliby obawiać się Troftowie – powiedział, zwracając się zapewne do wszystkich pozostałych. – Jak może społeczeństwo istot budujących tylko takie wioski stanowić groźbę dla kogoś znajdującego się tak daleko od nich?

– Okażmy trochę więcej cierpliwości, zgoda? – odezwała się Telek, nie odrywając wzroku od ekranów stojących przed nią monitorów. – Nie ukończyliśmy jeszcze nawet pierwszego okrążenia. Możliwe, że wszystkie bardziej technicznie rozwinięte miasta znajdują się po drugiej stronie.

– To nie jest tylko sprawa techniki, pani gubernator – nie zgodził się z nią Nnamdi. – Gęstość zaludnienia wydaje mi się zbyt mała na to, żebym mógł uznać to społeczeństwo za rozwinięte.

– To antropomorficzny punkt widzenia – powiedziała Telek, kręcąc głową. – Mogą być bardzo rozwinięci pod względem technicznym, lecz mieć niski przyrost naturalny lub po prostu nie lubić tłoku. Bill, czy zauważyłeś coś ciekawego?

– Na razie nie widzę niczego, co pozwoliłoby rozstrzygnąć ten problem w taki czy inny sposób – odpowiedział po chwili Christopher. – Widzę drogi, łączą-

ce niektóre wioski, ale roślinność jest zbyt gęsta, żeby ocenić, ile ich jest i dokąd wiodą. Z drugiej strony nie stwierdzam żadnych środków łączności satelitarnej i nie odbieram jakichkolwiek sygnałów.

Joshua włączył przycisk interkomu, umożliwiając mu uczestniczenie w rozmowie.

– Przepraszam, ale czy nie można by ocenić, jak duże obszary wokół tych wiosek są zajęte pod uprawy? Może to pozwoli nam na wyciągnięcie jakichś wniosków.

Telek uniosła głowę i spojrzała w stronę kamery interkomu.

– Na razie się nie da – powiedziała. – Co prawda widać jakieś pola z czymś, co można wziąć za tereny rolnicze, ale barwy gruntu i roślin uniemożliwiają nam dokonanie dokładniejszych pomiarów.

– A poza tym – wtrącił się Christopher – z tej wysokości nie moglibyśmy stwierdzić, czy dana wioska uprawia coś tylko na swoje potrzeby, czy na eksport.

– Więc może wylądujemy – mruknął beztrąsko Justin ze swojego punktu obserwacyjnego przy bulaju.

Joshua odwrócił się i popatrzył na brata. Justin przyglądał się w zamyśleniu widokom planety w dole... ale nic w jego twarzy ani postawie nie świadczyło o tym, by odczuwał taką samą niepewność czy obawę co jego brat.

– Może lepiej nie spiesz się tak bardzo z wysyłaniem na ląd naszych ludzi? – odezwał się uszczypliwie.

Justin zamrugał oczami.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem cię urazić.

– Wygląda na to, że jesteś zbyt pewny siebie, a to jeszcze gorzej. Twoja skłonność do optymizmu może narazić nas na niebezpieczeństwa.

– Czy uważasz dreptanie w miejscu, jak gdybyśmy mieli coś do ukrycia, za lepsze rozwiązanie?

Joshua skrzywił się z niesmakiem. Wszyscy uważali ich za podobnych do siebie jak dwa elektrony... ale w gruncie rzeczy odróżnić ich od siebie było bardzo łatwo. Justin był obdarzony niezwykle silnym optymizmem, który mógł się jednak okazać fatalny w skutkach, toteż nie potrafił uwierzyć, że wszechświat może wyrządzić mu jakąś krzywdę. Zdaniem Joshuy była to filozofia całkowicie pozbawiona realizmu – i tym trudniejsza do pojęcia, że Justin naprawdę nie umiał rozpoznać grożących mu niebezpieczeństw. Jak każdy członek rodziny

Moreau potrafił przewidywać i rozważać zalety i wady omawianych propozycji, ale zachowywał się tak, jak gdyby reguły rachunku prawdopodobieństwa go nie dotyczyły. Przede wszystkim z powodu takiego podejścia brata do życia Joshua uważał, że Justin nie powinien zostawać Kobrą... dlatego też zastanawiał się kiedyś, czy przypadkiem nie byłoby lepiej, gdyby zrezygnowali z udziału w wyprawie.

Z zadumy wyrwał go nagle dochodzący z głośnika interkomu głos Cerenkova.

– Aha! Mamy nareszcie coś nowego. Chciałeś zobaczyć miasto, Hersh? Masz tutaj swoje miasto.

– Niech mnie diabli – mruknął Nnamdi, przebierając palcami po klawiaturze urządzenia kontrolnego. – Słusznie, to prawdziwe miasto. Zobaczmy, co tu widać... bez wapienia energia elektryczna... w dalszym ciągu nie odbieram jakichkolwiek sygnałów radiowych... wygląda na to, że najwyższe budynki mają od dziesięciu do dwudziestu pięter. Bill, czy nie widzisz niczego, co mogłoby wyglądać na elektrownię?

– Zaczekaj chwilę – odparł Christopher. – Odkryłem tu jakieś dziwne promieniowanie neutrinowe... właśnie staram się dokonać jego analizy widmowej...

– Następne miasto – zameldował Christopher. – Trochę na południowy zachód od tego.

Joshua wypuścił z sykiem powietrze, zastanawiając się, czy nie pobiec do świetlicy i nie obejrzeć sobie obu miast na własne oczy, ale obawiał się, że w tym czasie może wydarzyć się coś ważnego.

– Wydaje mi się, że i ja je widzę – odezwał się do niego Justin. – Chodź i popatrz.

Joshua podszedł do niego i wyjrzał przez iluminator, rad, że znalazło się kompromisowe wyjście. Miasta były jednak widoczne bardzo słabo.

– Czy twój teleskopowy wzrok pozwala ci zobaczyć coś godnego uwagi? – zapytał brata.

– Z tej odległości? Nie bądź śmieszny. Chociaż... poczekaj chwilę. Wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Podszedłszy do interkomu, zabawił jakiś czas przy klawiaturze. Po chwili widok zatłoczonej świetlicy ustąpił miejsca niewyraźnemu i nieruchomemu obrazowi.

– Udało mi się przełączyć na monitor obraz z naszej kamery o ultrawysokiej rozdzielczości – odezwał się z zadowoleniem.

Joshua nachylił się, by spojrzeć. Obraz na ekranie przypominał widok zwy-
czajnego miasta: budynki, ulice i puste miejsca, mogące być parkami...

– Nie sądzisz, że ulice biegną w dziwnych kierunkach? – zapytał. – Myślę, że znacznie prościej byłoby, gdyby biegnęły z północy na południe i ze wschodu na zachód, zamiast tego, co widać tutaj.

Dopóki nie usłyszał odpowiedzi Telek na swoje pytanie, nie uświadamiał sobie, że połączenie foniczne ze świetlicą nie zostało przerwane.

– Jeżeli was to interesuje, kąt wynosi dwadzieścia cztery stopnie, licząc w kierunku ruchu wskazówek zegara od rzeczywistej północy. A przy tym ulice biegnące z południowego wschodu na północny zachód są o wiele szersze od tych, które się z nimi krzyżują. Czy ktoś ma jakiś pomysł, dlaczego tak jest?

– W tym drugim mieście jest identycznie – mruknął Cerenkov. – Ulice biegną pod kątem tylko dwudziestu trzech i ośmiu dziesiątych stopnia względem północy, ale jest zachowana ta sama zasada, jeżeli chodzi o szerokość.

– A przy tym całe miasto nie jest obramowane pierścieniem, tak jak tamte wioski – odezwał się nagle Justin, przeglądający w tym czasie inne zdjęcia wykonane za pomocą tej samej ultrakamery.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

– Co masz na myśli, mówiąc: „obramowane pierścieniem”? – zapytał go w końcu Nnamdi.

– Wokół każdej z tamtych wiosek znajduje się ciemny pas – wyjaśnił Justin, przeglądając kilka wcześniejszych fotografii. – Przedtem sądziłem, że to cień rzucony przez otaczające wioskę drzewa, ale teraz nie jestem już tego taki pewien.

– To ciekawe – mruknęła Telek. – Jaki numer ma zdjęcie, na którym to widzialesz?

– Podczas kiedy wy byliście tym zajęci – przerwał jej Christopher – nam udało się zidentyfikować to widmo promieniowania neutrinowego, o którym wspominałem. Wygląda mi na to, że do zasilania swoich urządzeń elektrycznych stosują podwójny reaktor wykorzystujący i rozszczepianie, i syntezę jąder.

Ktoś z zebranych w świetlicy osób cicho gwizdnął.

– To całkiem zaawansowany sposób, prawda? – odezwał się w interkomie czyjś inny głos, który, jak mimochodem stwierdził Joshua, musiał należeć do Marcka Rynstadta.

– I tak, i nie – odparł Christopher. – Jest jasne, że nie dysponują równie niezawodnym reaktorem dokonującym syntezy jąder jak nasz, gdyż nie bawiliby się w system podwójny. Z drugiej strony zbudowanie reaktora wykorzystującego rozszczepianie jąder przekraczałoby o setki lat możliwości istot zamieszkujących tamte wioski.

– Czy możliwe, że istnieją tam dwie kultury? – zaryzykował i zapytał Joshua.
– Miasta i wioski na dwóch różnych etapach rozwoju cywilizacyjnego?

– Wydaje mi się o wiele bardziej prawdopodobne, że miasta zostały opanowane przez obcą rasę przybyłych tu z kosmosu agresorów, podczas gdy w wioskach nadal mieszkają tubylcy – odezwał się bez owijania w bawełnę Nnamdi. – Przyznaję, że ta technologiczna zagadka wydaje mi się bardzo ciekawa... dopiero teraz rozumiem, czego mogą obawiać się Troftowie.

– Tego, że Qasama stanowi pierwszą linię frontu walki prowadzonej przez istoty, które chcą zająć i ich terytorium – odezwała się ponuro Telek. – Moreau, którykolwiek z was o to pytał, wiemy już, co oznaczają te ciemne kręgi wokół wiosek. To mury, mniej więcej metrowej grubości i mierzące od dwóch do trzech metrów wysokości.

– Prymitywne systemy obronne – powiedział cicho Justin.

– Na to wygląda – rzekł Cerenkov. – Pani gubernator, uważam za celowe ograniczenie tej części wyprawy do jeszcze jednego albo co najwyżej dwóch okrążeń. Z pewnością już wiedzą, że jesteśmy tutaj, a im dłużej ociągamy się z lądowaniem, tym trudniej będzie im uwierzyć w nasze dobre intencje. Proszę także pamiętać o tym, że nie będziemy mogli udawać, iż nie wiedzieliśmy o istnieniu Qasamy.

– A przynajmniej nie wówczas, gdybyśmy chcieli korzystać z translatora przekazanego nam przez Troftów – zgodziła się z nim Telek, chociaż dosyć niechętnie, jak ocenił Joshua.

Popatrzył ukradkiem na ekran interkomu i uważniej przyjrzał się jej twarzy... ale nawet jeżeli obawiała się posłać ich na dół, jego zdaniem, do jaskini węży, po minie nie dało się tego poznać. To już dwoje – pomyślał posępnie, spoglądając z kolei na wciąż stojącego przy iluminatorze brata. – A może to ja tu nie pasuję? Może jestem zbyt wielkim asekurantem... a może tylko zwyczajnym, pasywnym tchórzem?

Dziwne, ale taka możliwość nie zawstydziła go ani trochę. Mimo wszystko to nie jego brat i gubernator Telek mieli pozostawić za sobą względne bezpieczeństwo „Dewdrop” w następnej chwili po lądowaniu, lecz on i pozostali członkowie grupy zwiadowczej. Tak więc dodatkowa porcja przezorności nie powinna być przeszkodą, a raczej czymś wręcz niezbędnym.

Zeszli z orbity po dokonaniu jeszcze jednego okrążenia nad czymś, co Nnamdi określił mianem „łańcucha miast”. Kierowali się ku grupie kilku startowych pasów znajdujących się na północnym skraju wysuniętego najbardziej na północ ośrodka; jednego z pięciu należących do „łańcucha”. Doszło nawet do małej kłótni, kiedy zauważono te pasy po raz pierwszy. Nnamdi twierdził wówczas, że świadczą o tym, iż Qasama rzeczywiście jest bazą wypadową obcych istot, które chcą podbić także inne światy. Christopher natomiast sądził, że ich długość i szerokość bardziej nadają się dla samolotów niż dla kosmicznych wahadłowców, toteż w świetlicy przez dłuższy czas trwała ostra sprzeczka, który z nich może mieć rację. Wszystkich pogodził w końcu Decker York, gdy zauważył, że kierunki, w jakich biegną te pasy, są zgodne raczej z kierunkami wiejących wiatrów niż z najbardziej prawdopodobnymi kierunkami startów i lądowań maszyn orbitalnych. Dalsze obserwacje nie ujawniły niczego, co potwierdziłoby teorię kosmodromu, tak więc Telek postanowiła wybrać jeden z tych pasów startowych na miejsce lądowania.

Dla Pyre’a była to najbardziej denerwująca chwila dotychczasowej części wyprawy. Unieruchomiony pasami na awaryjnym fotelu w pobliżu głównej śluzy statku, z dala od iluminatorów czy chociażby monitorów interkomu, czuł się bardziej bezbronny, niż powinien czuć się jakikolwiek Kobra. Gdyby Qasamanie chcieli zestrzelić ich statek, chwila lądowania nadawała się do tego celu wręcz idealnie. Bardziej nawet, niż obce istoty miały prawo podejrzewać. Nie mogły przecież wiedzieć, że „Dewdrop” jest statkiem pionowego startu i lądowania, i że jej załoga nie ma zbyt dużej wprawy w tego rodzaju awaryjnym siadaniu na pasach startowych lotnisk, na jakie nalegała gubernator Telek.

Nikt jednak nie otworzył do nich ognia i statek osiadł w zaplanowanym miejscu, nieznacznie tylko się przechylając. Pyre odetchnął bezwstydnie z prawdziwą ulgą, lecz kiedy wstawał, odpiąwszy przytrzymujące go przedtem pasy, nie przestał jednak obserwować jednym okiem zamka wewnętrznych wrót śluzy. Planowano odczekać kilka minut, a potem posłać Cerenkova na lotnisko, by spotkał się tam z komitetem powitalnym Qasaman, o ile gospodarze zamierzali taki do nich wysłać. W tym czasie Pyre i któryś z jego Kobr stanowiliby jedyną prawdziwą obronę statku.

Włączywszy w chwilę po lądowaniu wzmacniacze słuchu na największą czułość, Pyre usłyszał, jak nagle Nnamdi, znajdujący się w korytarzu w pobliżu świetlicy, gwałtownie nabrał powietrza w płuca.

– Mój Boże, pani gubernator! – krzyknął. – Niech pani tu popatrzy!

– Almo! – zagrzemiał w ułamek sekundy później z drugiej strony głos Cerenkova. – Chodź szybko do mnie!

Pyre już szedł, a raczej biegł w stronę mostka, gdzie Cerenkov znajdował się w chwili lądowania, odruchowo wyciągając ręce i ustawiając dłonie do strzału z laserów małych palców.

Niewielkie, pomalowane na szaro pomieszczenie, mieniło się wieloma kolorami tęczy, gdyż ekrany wszystkich monitorów przekazywały widok miasta i rosnących po drugiej stronie lotniska lasów. Pyre nie zdawał sobie przedtem sprawy z tego, jak barwne było samo miasto i że wszystkie jego budynki grały tymi samymi wieloma barwami i odcieniami, co lasy, jak gdyby chciały im dorównać. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że zmysł estetyki Qasaman jest ostatnią rzeczą, na jaką powinien w tej chwili zwracać uwagę, i spojrział na Cerenkova.

– O co chodzi? – zapytał.

Cerenkov, stojący teraz za fotelem F'ahla, wycelował lekko drżący palec w stronę przekazywanego przez teleskopową kamerę obrazu najbliższych domów, odległych o kilkaset metrów od miejsca ich lądowania.

– Qasamanie – powiedział tylko.

Pyre popatrzył na ekran. Rzeczywiście, w stronę „Dewdrop” kierowało się sześć postaci. Każda miała wypukłość w miejscu, w którym nosiło się zwykle broń krótką, a na ramieniu po przeciwnej stronie coś, co z tej odległości przypominało niewielkiego ptaka. Sześć postaci...

Takich samych ludzi, jak ci, którzy przylecieli tu na pokładzie „Dewdrop”.

Rozdział ósmy

Przez całą długą minutę Pyre stał nieruchomo, usiłując pogodzić widok, który miał przed oczami ze zdrowym rozsądkiem mówiącym mu, że to niemożliwe. Ludzie tutaj? O ponad sto pięćdziesiąt lat świetlnych od najbliższej planety należącej do Dominium? I to po przeciwległej stronie całego Zgromadzenia Troftów?

Ktoś z obecnych w świetlicy osób cicho chrząknął i dźwięk ten, przekazany na mostek przez interkom, wdarł się nieprzyjemnym zgrzytem w panującą tam ciszę.

– Więc pani zdaniem my wszyscy rozumiemy zbyt antropomorficznie, pani gubernator? – odezwał się Nnamdi z przesadną słodyczą.

Wyglądało na to, że Telek po raz pierwszy od chwili startu nie wie, co odpowiedzieć. Po chwili ciszy odezwał się znowu Nnamdi.

– Teraz chociaż możemy być pewni, że domena Baliu nie miała nic wspólnego z wojną Troftów z Dominium Ludzi – powiedział. – W przeciwnym razie musieliby nam powiedzieć, że Qasamanie są takimi samymi istotami jak my.

– To niemożliwe – burknął York. – W tym miejscu nie może być żadnych ludzi. Po prostu nie może.

– No, dobrze, nie może – zgodził się z nim Christopher. – Czy przypadkiem nie powinniśmy zejść na dół i powiedzieć im o tym?

– A może to jakieś złudzenie optyczne? – zasugerował z kabiny bliźniaków Joshua. – Kontrolowana zbiorowa halucynacja czy coś w tym rodzaju?

– W coś takiego także nie uwierzę – oznajmił York.

– Poza tym – dodał F’ahl, naciskając kilka przełączników – musiałyby to być bardzo specyficzna halucynacja. Nasz radar krótkiego zasięgu wykrywa ich bez trudu, a co więcej, potwierdza ich kształty.

– Może to tylko niewolnicy prawdziwych Qasaman – zasugerował Cerenkov. – Może to jacyś potomkowie ludzi porwanych z Ziemi przed wieloma wiekami. Tak czy inaczej, pani gubernator, uważam, że powinniśmy wyjść i porozmawiać z nimi.

Telek wypuściła ze świstem powietrze przez zaciśnięte zęby. Wyglądało na to, że w końcu wróciła jej zdolność mowy.

– Kapitanie, co wykazuje nasz analizator składu atmosfery? – zapytała.

– Na razie nic szkodliwego – zameldował F’ahl, przesuwając palcem po ekranie monitora nie przekazującego widoku Qasamy. – Tlen, azot, dwutlenek węgla i niewielkie ilości innych gazów. Mm... żadnych śladów szkodliwego promieniowania czy skażenia związkami ciężkich metali. Analiza bakteriologiczna co prawda dopiero się zaczęła, ale na razie też nie widzę żadnych problemów. Komputer wykrył w analizowanych bakteriach podobne do naszych struktury DNA i protein, ale nie stwierdził żadnych zagrożeń dla naszego zdrowia.

– Hmm. No cóż, będę chciała sama obejrzeć te dane trochę później, ale jeżeli wyniki są podobne jak na Ayentinie, sprawa drobnoustrojów nie powinna stanowić dużego problemu. No dobrze, Yuri, myślę, że możesz przygotować się do wyjścia. Ale lepiej weź ze sobą filtr, tak na wszelki wypadek.

Numer dwa powinien wystarczyć, o ile wirusy Qasamy nie są znacznie mniejsze od naszych.

– Dobrze – powiedział Cerenkov i przerwał, jak gdyby się zawahał. – Pani gubernator, skoro tamci wysłali na nasze powitanie tak liczną delegację, może byłoby lepiej, gdyby razem ze mną zeszła na ląd cała grupa?

Sześciu Qasaman tymczasem znajdowało się coraz bliżej statku. Pyre obserwował powiększane przez kamerę postacie, przesuwając wzrok z twarzy na stalowoszare ptaki siedzące na lewym ramieniu każdej z osób. Szczególnie uważnie przyglądał się pistoletom umieszczonym na biodrach w dziwnych olstrach.

– Pani gubernator – zwrócił się do Telek. – Zalecam, żeby Cerenkov wyszedł sam, a nie z całą grupą.

– Wydaje mi się, że nie masz racji – odparła Telek i westchnęła. – Uważam, że powinniśmy okazać im zaufanie.

Cerenkov nie czekał ani chwili dłużej.

– Marek, Decker, Joshua – powiedział. – Zbiórka w pełnym rynsztunku przy głównej śluzie.

Usłyszawszy trzy potwierdzenia swojego rozkazu, niemal biegiem opuścił mostek.

– Almo! – zawołała Telek, kiedy Pyre odwrócił się, by pobiec za nim. – Chciałabym, żebyś tutaj został.

Pyre skrzywił się, ale uznał, że w takiej chwili nie może kwestionować jej polecenia.

– Michael, Dorjay, zajmijcie pozycje po obu stronach służby – zawołał do interkomu.

Obaj potwierdzili przyjęcie rozkazu i Pyre mógł ponownie pospieszyć w stronę rufy.

Udało mu się minąć krzątających się przy służbie ludzi, nie potrącając nikogo, i kiedy z poślizgiem zatrzymał się obok Telek, umieszczone w świetlicy monitory przekazywały właśnie obraz wychodzącego ze służby Cerenkova.

Jeżeli widok Qasaman był dla pasażerów „Dewdrop” prawdziwym wstrząsem, to w identyczny sposób zareagowali tubylcy. Komitet powitalny zatrzymał się jak wryty, a Pyre dostrzegł malujące się na wszystkich twarzach zdumienie i niedowierzanie. Napiął mięśnie, spodziewając się najgorszego, ale pistolety Qasaman pozostały w swoich olstrach. Jeden z ptaków wprawdzie zaskrzeczał i zaczął machać skrzydłami, ale się uspokoił, kiedy jego właściciel uniósł rękę i delikatnie pogłaskał palcem jego szyję. Nagle Pyre się zorientował, że Telek nachyliła się nad nim.

– Czy wierzysz w to, że Hersh miał rację, kiedy mówił o Baliusanach? – zapytała go prawie szeptem.

– O tym, że nic nie wiedzieli? – odparł także półgłosem. – Ani trochę. Baliusanie musieli wiedzieć, że my i tamci należymy do tej samej rasy, z tym się zgadzam... ale z pewnością by nam powiedzieli, gdyby nasze zadanie miało polegać na uwolnieniu ludzi z niewoli Qasaman.

Telek chrząknęła. Pyre stwierdził, że Nnamdi i Christopher zapewne nie słyszeli niczego z tej rozmowy. Dałby wiele, by wiedzieć, co właściwie ukrywają przed nimi Baliusanie. Kobra skupił więc całą uwagę na monitorze i w napięciu czekał na pierwsze słowa Qasaman.

Przedstawiciele komitetu powitalnego doszli do siebie zdumiewająco szybko, który to fakt Cerenkov uznał za bardzo dobry omen. Bez względu na to, czy stojący przed nim ludzie byli niewolnikami, czy panami, stało się jasne, że nie można zaliczyć ich do dzikusów. To zaś oznaczało... właśnie, co? Cerenkov nie był tego pewien, ale uznał to za dobry znak.

Delegacja Qasaman podeszła jeszcze trochę i zatrzymała się o kilka kroków przed grupą zwiadowczą. Cerenkov zaczął unosić wyciągniętą przed siebie prawą rękę, ale musiał przerwać w pół ruchu, kiedy jeden z ptaków wydał z siebie

głośny skrzek i gwałtownie zaczął machać skrzydłami. Cerenkov zaczekał, aż jego właściciel go uspokoi, a potem uniósł rękę na wysokość piersi, wyciągając otwartą dłoń palcami do góry.

– Witam was w imieniu ludu Aventyny – przemówił. – Przybywamy tu w zamiarach pokojowych. Nazywam się Yuri Cerenkov, a to są moi towarzysze: Marek Rynstadt, Decker York i Joshua Moreau. Z kim będę miał zaszczyt rozmawiać?

Przez kilka następnych sekund wiszący mu na szyi translator tłumaczył jego słowa, a w tym czasie Cerenkov modlił się w duchu o to, by program translacyjny, który przekazali im Troftowie, nie zawierał błędów. Ostatnią rzeczą, na jaką mogli sobie pozwolić, było wtrącenie do słów ich powitania jakiejś nie zamierzonej zniewagi.

Ale jeżeli nawet translator nie przekazał jego słów wiernie, po twarzach Qasaman nie dało się tego poznać. Jeden wystąpił o pół kroku przed pozostałych, wyciągnął rękę w geście naśladowującym gest Cerenkova, i powiedział:

– Witamy was.

Cerenkov usłyszał to zdanie w słuchawkach swojego hełmu o kilka sekund później. Tymczasem Qasamanin mówił dalej.

– Nazywam się Moff i witam was wszystkich w imieniu burmistrza Kimmerona z Sollas i całego ludu Qasamy. Wasz translator mówi naszym językiem całkiem nieźle. Dlaczego pozostaje wciąż na pokładzie statku?

– Nasz translator jest maszyną – odpowiedział mu z wahaniem Cerenkov, nie będąc pewnym, na ile tubylcy są zaawansowani pod względem technicznym. Ciekaw był, czy zrozumieliby słowo: komputer, czy może też doszli do wniosku, że wszystko to i tak sprawa czarnej magii. – Każde słowo, jakie wypowiadam, dociera do niej za pośrednictwem tego mikrofonu, a maszyna porównuje je z tymi, które zna w waszym języku...

– Wiem, jak działają urządzenia tłumaczące – przerwał mu Moff. – Inni nasi goście także ich używali, ale my nie korzystamy z nich na Qasamie. Wasza maszyna stosuje wiele tych samych form fleksyjnych, jakie stosował translator tamtych istot.

Kryjąc się za tym stwierdzeniem pytanie było aż nadto oczywiste i Cerenkov musiał w ciągu ułamka sekundy podjąć decyzję, co odpowiedzieć. Uczciwość i szczerłość wydały mu się najlepszym wyjściem.

– Jeżeli masz na myśli Troftów z domeny Baliu'ckha'spmi, to masz rację, zakupiliśmy ten translator od nich. To oni powiedzieli nam o waszej planecie, chociaż nie wspomnieli, że wy i my należymy do tej samej rasy. W jaki sposób znaleźliście się w tym miejscu, tak daleko od innych zamieszkanym przez ludzi światów, jeżeli wolno zapytać?

Moff popatrzył przez chwilę na „Dewdrop”, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Cerenkova.

– Duży statek, chociaż o wiele mniejszy od tych, o jakich wspominają nasze legendy – stwierdził. – Ilu ludzi może nim podróżować?

Innymi słowy – pomyślał Cerenkov – chcesz wiedzieć, ilu jeszcze pozostaje na pokładzie. Ponownie doszedł do wniosku, że powinien udzielić szczerą odpowiedź... szczerą z uwzględnieniem faktu, że obecności Justina nie wolno mu ujawnić.

– Na pokładzie znajduje się jeszcze siedmiu członków załogi i sześciu przedstawicieli naszej misji dyplomatycznej – powiedział Moffowi. – Z różnych względów przez jakiś czas tam zostaną.

– A co macie zamiar robić w tym czasie wy czterej? Obsesowość tego pytania zbiła nieco Cerenkova z tropu.

Spodziewał się, że zostanie poproszony o odbycie rozmów z przywódcami i dopiero od nich uzyska zgodę na wycieczkę po planecie... ale nie oczekiwał, że będzie zmuszony prosić o to już podczas pierwszego spotkania u burty statku.

– Chcielibyśmy poznać waszych ludzi – powiedział w końcu. – Podzielić się z nimi naszą wiedzą, gdyż może to i im, i nam przynieść korzyść, a może też rozpocząć negocjacje w sprawach handlowych. Mimo wszystko i wy, i my, mamy wspólną przeszłość.

Oczy Moffa świdrowały go na wylot.

– Nasza przeszłość jest pasmem walk z ludźmi i z przyrodą – odezwał się szorstko. – Powiedz mi, gdzie znajduje się Aventura, z której pochodzicie?

– O blisko czterdzieści pięć lat świetlnych od was – odparł Cerenkov, z trudem powstrzymując się przed uniesieniem ręki ku niebu. – Nie jestem pewien, w którą dokładnie stronę ani nawet tego, czy z tej odległości moglibyście zobaczyć nasze słońce.

– Rozumiem. Jakie są wasze związki z władcami Rajan Putry i Dynastii Agra?

Cerenkov poczuł, jak serce zaczyna mu bić nieco szybciej. Słowa te mogły stanowić pewną wskazówkę na temat tego, kiedy Qasamanie odłączyli się od Dominium Ludzi. On sam miał tylko mgliste pojęcie o czasach, w których istniały Dynastie – i zupełnie nie przypominał sobie, która nazywała się Rajan Putra – ale socjologiczna wiedza, jaką dysponował Nnamdi, powinna obejmować także chociaż trochę historii.

Ale nawet i to nie powiedziałyby mu, jakie zdanie na temat dynastii mieli Qasamanie... a jeżeli nie uda mu się znaleźć bezpiecznej, neutralnej odpowiedzi, wszyscy uczestnicy wyprawy będą mogli bez uprzedzenia zostać zaliczeni do kategorii „wrogów”.

– Obawiam się, że nie rozumiem twojego pytania – rzekł Moffowi. – My sami odłączyliśmy się dosyć dawno od głównego nurtu cywilizacji ludzi, a w tamtych czasach, o ile mi wiadomo, nie było żadnego rządu, który nazywałby siebie Dynastią.

Na czole Moffa pojawiła się drobna zmarszczka.

– Dynastia Agra głosiła wszystkim, że będzie trwała wiecznie – stwierdził.

Cerenkov się nie odezwał, za to Moff po chwili wzruszył ramionami.

– Może analiza waszych danych pozwoli nam się dowiedzieć, co wydarzyło się po naszym odlocie – powiedział. – Tak. Wiec chcecie złożyć wizytę na naszej planecie. Ile ona ma trwać?

Tym razem Cerenkov wzruszył ramionami.

– To zależy wyłącznie od was. – Nie zamierzamy nadużywać waszej gościnności. Możemy też korzystać z naszego zaopatrzenia, jeżeli chcecie.

Wzrok Moffa skierował się na przezroczystą bańkę otaczającą głowę Cerenkova.

– Będzie wam trochę trudno jeść cokolwiek z tym urządzeniem na głowie, prawda? – zapytał. – A może macie zamiar powracać na swój statek za każdym razem, kiedy będziecie głodni?

– To nie będzie konieczne – upewnił go Cerenkov, potrząsając głową. – Zanim staniemy się głodni, nasza analiza składu waszej atmosfery powinna zostać ukończona. Nie spodziewam się, żeby w tutejszym powietrzu było coś niebezpiecznego dla nas, ale na wszelki wypadek wolimy być ostrożni.

– Oczywiście – rzekł Moff i spojrział w prawo i w lewo, jak gdyby oczekiwał protestu ze strony towarzyszących mu Qasaman. Oni jednak się nie odzywali.

– Bardzo dobrze, Cerenkov – powiedział w końcu. – Ty i twoi towarzysze możecie udać się z nami do miasta. Dla własnego bezpieczeństwa musicie jednak wyrazić zgodę na wykonywanie moich poleceń i to bez zadawania jakichkolwiek pytań. Nawet w Sollas musimy się liczyć z pewnymi zagrożeniami, jakie spotyka się na Qasamie.

– Dobrze. Zgadzą się – rzekł Cerenkov z nieznacznym tylko wahaniem. – Zdajemy sobie sprawę, jak groźna może być planeta dla odwiedzających ją obcych istot.

– To dobrze. Moim pierwszym życzeniem jest, byście pozostawili swoją broń na statku.

Stojący obok Cerenkova York niespokojnie się poruszył.

– Ale sam dopiero co powiedziałaś, że Qasama może być niebezpieczna – odezwał się Cerenkov, starannie dobierając słowa. Na wprost świadomie spodziewał się tego żądania, ale nie miał zamiaru poddawać się, nie podejmując choć próby namówienia Moffa do zmiany stanowiska. – Jeżeli się obawiasz, że moglibyśmy użyć naszej broni przeciwko waszym mieszkańcom, to mogę cię zapewnić, że...

– Nasi mieszkańcy nie muszą obawiać się waszej broni – przerwał mu Moff. – To wy bylibyście narażeni na niebezpieczeństwa, gdybyście tego nie zrobili. Mojoki – wskazał na siedzącego mu na ramieniu ptaka – są wyszkolone w taki sposób, że reagują na każde użycie czy nawet tylko wyciągnięcie broni z wyjątkiem polowania i obrony własnej.

Zmarszczywszy brwi, Cerenkov przyjrzał się ptakowi. Stalowszary, podobny do dużego jastrzębia ptak, odwzajemnił jego spojrzenie, zdradzając przy tym niemal nadprzyrodzoną czujność. Jego szpony obejmujące gruby, specjalny naramiennik, były bardzo długie i ostre, a łapy nieproporcjonalnie wielkie. Bez wątplenia był to ptak drapieżny, nawykły do polowań... a nasłuchawszy się opowiadań wielu sokolników, Cerenkov wiedział, że do takich ptaków powinno się podchodzić z dużym respektem.

– No, dobrze – ustąpił w końcu. – A zatem...

– Wtedy, kiedy wam powiem, i róbcie to pojedynczo – ostrzegł go Moff, zgijnając palce dłoni i zaczynając gładzić po szyi swojego ptaka. – Ty pierwszy, Cerenkov. Połóż dłoń na kolbie pistoletu, powiedz „gotów”, a potem go wyciągnij. Tylko powoli.

Lasery zwiadowców znajdowały się w olstrach na biodrach, a spod górnych części skafandrów widać było tylko ich rękojeści. Sięgnąwszy do swojej, Cerenkov odpiął kciukiem przytrzymujący ją zatrzask bezpieczeństwa.

– Gotów – powiedział i zczekał, aż translator przełoży to słowo na język Qasaman.

Reakcja mojków była natychmiastowa. Niemal w tej samej chwili wszystkie sześć ptaków wydało pojedynczy chrapliwy skrzek i rozłożyło skrzydła. Dwa sfrunęły nawet z ramion właścicieli i zatoczyły ciasny krąg pół metra nad głową Cerenkova, zanim z powrotem usiadły na swoich miejscach. Stojący z boku York zaklął pod nosem i przykucnął, a Cerenkov tylko przygryzł język i zmusił się do stania nieruchomo.

Zamieszanie wywołane reakcją ptaków dobiegło końca tak szybko, jak się rozpoczęło. Mojoki, chociaż nie złożyły skrzydeł, zamieniły się na ramionach Qasaman w żywe posągi. Poruszając się bardzo powoli, Cerenkov podszedł do otwartego włazu „Dewdrop” i położył swój laser na podłodze śluzi. Jak gdyby na rozkaz, wszystkie mojoki wyraźnie się uspokoiły i Cerenkov mógł bez przeszkód dołączyć do pozostałych.

– Marek – odezwał się, pilnując, żeby głos mu nie drżał. – Teraz ty.

– Dobrze – odparł Rynstadt i chrząknął, a potem powiedział: – Gotów.

Tym razem mojoki zareagowały mniej nerwowo, a kiedy przyszła kolej na Yorka i Joshuę, były już zupełnie spokojne. Widocznie bardzo szybko się zorientowały, że ich właścicielom nic nie grozi. Było jednak jasne, że nie straciły czujności.

– Dziękuję – odezwał się Moff, kiedy wszystkie cztery lasery znalazły się w śluzie.

Uniósł ręce nad głowę, a Cerenkov dostrzegł kątem oka jakiś ruch na skraju wielobarwnego miasta. W ich kierunku nadjeżdżał dosyć duży pojazd podobny do odkrytego autokaru. Siedzieli w nim dwaj Qasamanie. Na ramionach obu tubylców było widać jakieś wybrzuszenia. Cerenkov nie musiał czekać, aż pojazd znajdzie się bliżej, żeby wiedzieć, że okazą się także mojkami.

– Burmistrz Kimmeron już na was czeka – ciągnął tymczasem Moff. – Pojedziemy teraz do jego rezydencji.

– Dziękuję – powiedział Cerenkov. – Będzie nam bardzo miło się z nim spotkać.

Nabrał głęboko powietrza w płuca i odetchnął, starając się nie patrzeć w stronę mojoków.

Jeszcze z czasów swoich studiów Justin wiedział, że w Dominium Ludzi istniały społeczności, które przywiązywały dużą wagę do artystycznego ozdabiania swoich domów. Jego pierwszą myślą było to, że Qasamanie wywodzą się z jednej z takich społeczności, ale kiedy całą grupę zwiadowczą wieziono niespiesznie ulicami miasta, stopniowo zaczynał w to wątpić. Nie widział nigdzie malowideł ściennych ani też jakichkolwiek rysunków ludzi ani zwierząt, czy to realistycznych, czy stylizowanych. Różnobarwne plamy widniały na ścianach domów w mniej lub bardziej przypadkowych miejscach, chociaż ich rozmieszczenie w najmniejszym stopniu nie raziło jego artystycznego smaku. Zastanawiał się, czy Nnamdi zdoła w tym odnaleźć coś znaczącego.

Tymczasem Cerenkov chrząknął, dając tym samym dowód, że umysł przywódcy grupy zwiadowczej zaprzętają inne sprawy niż zmysł artystyczny Qasaman.

– Wygląda na to, że wielu mieszkańców waszej planety chodzi z mojokami – zauważył. – Z mojokami i z bronią. Czy warunki życia w Sollas są aż tak niebezpieczne?

– Nie używamy broni często, ale kiedy to robimy, chodzi zawsze o sprawę naszego przetrwania – odpowiedział Moff.

– Wydaje mi się, że mojoki powinny stanowić dostateczną obronę – wtrącił się York.

– Przed niektórymi zagrożeniami, tak, ale nie przed wszystkimi. Może podczas swojego pobytu w Sollas będziecie mieli okazję zobaczyć stado bololinów albo nawet polującego w obrębie miasta krisjawa.

– No cóż, jeżeli do tego dojdzie, proszę pamiętać o tym, że nie pozbawiliście nas broni – przypomniał mu Cerenkov. – Chyba że macie zamiar zaopatrzyć nas w swoją broń i mojoki trochę później.

Z tonu jego głosu można było się zorientować, że nie jest specjalnie zachwycony tą perspektywą, ale Moff postarał się rozwiać jego obawy.

– Nie sądzę, żeby burmistrz pozwolił wam jako obcym na noszenie broni – powiedział. – A mojoki czują się w waszej obecności tak nieswojo, że z pewnością nie byłyby dobrą ochroną.

– Hmm – mruknął tylko Cerenkov.

Pozostający na statku Justin przeniósł wzrok z budynków na chodzących po ulicach ludzi. Upewnił się, iż wszyscy mieli na ramionach mojoki. Zobaczył, że zerwał się lekki wiatr, rozwiewając włosy ludzi, strosząc pióra ptaków, i cicho świszcząc w jego uszach. To dziwne – pomyślał – móc słyszeć wiatr, ale go nie odczuwać.

Gdzieś w głębi duszy jeszcze dziwniejszym wydał mu się fakt, że może jest pierwszym w historii ludzkości człowiekiem niemal dosłownie wcielającym się w skórę własnego brata.

Gdzieś zza pleców dobiegł go nagle inny głos.

– Czy to ma być tylko wymówka? – zapytał Pyre.

– Nie sądzę – odpowiedział mu głos Telek. – Mojoki znajdujące się najbliżej nich wyglądają naprawdę na bardziej zaniepokojone od tych, które są nieco dalej. Moim zdaniem dlatego, że nasz zapach jest trochę inny od woni Qasaman.

– Zmiany genetyczne? – zapytał Pyre.

– Chyba nie. Bardziej prawdopodobne wydają mi się różnice dietetyczne. Masz coś, Hersh?

– Myślę, że udało mi się znaleźć okres, w jakim się odłączyli – rzekł Nnamdi. – Dynastia Agra była rządem sprawującym władzę na Regininie, który przybył tam z Ziemi, ze Środkowej Azji. Jego władza trwała od dwa tysiące dziewięćdziesiątego siódmego roku do dwa tysiące sto osiemdziesiątego, a później planeta przeszła formalnie pod zwierzchnictwo Dominium Ludzi.

– A co z tymi, jak im tam, władcami Rajan Putry? – zapytała Telek.

– W tej sprawie będziemy musieli przetrząsnąć nasze kompletne archiwa historyczne na Aventinie. Wiem jednak, że kiedy Regininę ogłoszono planetą otwartą, na którą mogli masowo przybywać inni ludzie, grupa jej dotychczasowych mieszkańców przeniosła się gdzie indziej. Może niektórzy z tych emigrantów znaleźli sobie własny świat i nazwali go Rajput.

– Hmm. Coś w rodzaju etnicznych separatystów?

– Pojęcia nie mam. Myślę jednak, że Qasamanie mogli przybyć tu albo jednym ze statków tamtej grupy, albo jako jeszcze inni emigranci. W każdym razie polecili o wiele dalej, niż zamierzali.

– O wiele dalej, to zbyt łagodnie powiedziane – parsknęła Telek. – Co robili Troftowie w tym czasie, kiedy tamci przelatywali przez systemy gwiazdne ich Zgromadzenia?

– Prawdopodobnie w ogóle nic o nich nie wiedzieli – odezwał się Christopher. – Naprawdę. Napędy gwiazdne wczesnych statków Dominion były urządzeniami niesamowicie niestabilnymi. Kiedy więc przekraczano prędkość krytyczną, osiągnano od razu prędkości dziesięciokrotnie większe od tych, z jakimi my latamy dzisiaj.

– To właśnie powinno im bardzo pomóc – stwierdził Pyre.

– Tylko wtedy, gdyby nie chcieli się zatrzymywać – odparł nieco oschle Christopher. – Wychodzenie z nadprzestrzeni w tych warunkach zniszczyłoby im nie tylko cały napęd, ale i większość pokładowej aparatury elektronicznej. Wiadomo o tuzinach liniowców... liniowców z kolonistami, a nie sond czy statków patrolowych, które są wymienione w wykazach jako zaginione. Wygląda mi na to, że Qasamanie musieli mieć jednak wielkie szczęście.

– A może właśnie go nie mieli, zostali porwani przez innych i sprowadzeni tutaj siłą – wtrącił się Nnamdi. – Pamiętajcie, że tej możliwości jeszcze całkiem nie wykluczyliśmy.

– Będziemy o tym pamiętali, jeżeli trafimy na jakiś ślad innej rasy – zapewniła go Telek. – Jednak nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek rasa pozwoliła swoim niewolnikom na noszenie broni.

Dzięki bezpośredniemu sprzężeniu implantowanych czujników optycznych Joshuy z jego własnymi Justin ujrzał, że pojazd wiozący grupę zwiadowczą skręcił w jedną z tych szerokich ulic, jakie oglądali z orbity, więc czekał, kiedy Cerenkov zechce o nią zapytać. Przywódca grupy jednak postanowił nie wypytować Qasaman o nic więcej, a przynajmniej nie w tej chwili. Justin doszedł do wniosku, że bardzo mu to odpowiada, gdyż przerwa w rozmowie pozwalała mu i przyglądać się ulicom miasta, i przysłuchiwać rozmowom w świetlicy.

– Czy program translacyjny zawiera jakieś sugestie na temat tego, czym mogą być bololiny albo krisjawy? – zapytał Pyre.

Justin prawie widział, jak gubernator Telek wzrusza ramionami.

– Okazami miejscowej fauny, jak sędzę – powiedziała. – I to zapewne nie najprzyjemniejszymi... ta broń, którą noszą przy sobie, nie wygląda na pistolety treningowe.

– Zgadzam się. Dlaczego więc nie postawią wokół całego miasta muru, takiego, jakim otoczyli swoje wioski?

Przez chwilę w świetlicy panowała cisza.

– Nie wiem – odezwała się w końcu Telek. – Hersh?

– Może mury wokół wioski nie mają uniemożliwić zwierzętom dostania się do nich – odparł, ale z tonu jego głosu wynikało, że sam nie bardzo w to wierzy. – Możliwe, że każde z tych stworzeń skacze lub lata zbyt wysoko, by tak niskie mury mogły je powstrzymać.

– To dlaczego wioski są nimi otoczone? – domagał się odpowiedzi Pyre.

– Pojęcia nie mam – odciął się Nnamdi.

– No już, dajcie spokój – wtrąciła się Telek. – Wszystkiego powinien się dowiedzieć Yuri, więc nie przejmujcie się i zostawcie to jemu. Zgoda?

Nastąpiła kolejna krótka cisza, w trakcie której znajdujący się w Sollas Joshua obrócił głowę, żeby przyjrzeć się wyjątkowo atrakcyjnej kobiecie. Justin musiał także przyznać, że była bardzo piękna, ale się zastanawiał, czy uwagę jego brata zwróciła jedynie jej uroda, czy też fakt, że jej mojk siedział na prawym ramieniu, zamiast na lewym. Starał się dojrzeć, czy jej broń znajduje się także po przeciwnej stronie, niż u innych, ale zanim zdążył to zrobić, Joshua odwrócił głowę w kierunku jazdy. Leworęczna? – zadał sobie pytanie Justin, postanawiając w przyszłości zwracać na to większą uwagę.

Ze statku usłyszał głos Christophera.

– Hersh, czy dokonałeś już tych szacunkowych obliczeń, ile osób może żyć na Qasamie? Zakładając, rzecz jasna, że wszyscy są ludźmi i przyjmując ogólnie znane wymagania odnośnie przestrzeni życiowej, jaką muszą mieć ludzie?

– Och, myślę, że liczba mieszkańców planety może wynosić od pięćdziesięciu do trzystu milionów osób – odrzekł Nnamdi. – To oznacza, że w ciągu ostatnich trzech stuleci musieli się mnożyć jak króliki, ale nie widzę w tym nic dziwnego, jeżeli to jeden z tych młodych światów. Dlaczego pytasz?

– Czy możliwe, że przy tej liczbie ludności nie mają kłopotów z odróżnianiem jednych od drugich, jeżeli używają tylko imion?

– Jak Moff, na przykład? Masz rację. Zwłaszcza, że ich przodkowie byli ludźmi posługującymi się imionami i nazwiskami.

– Innymi słowy Moff nie powiedział nam swojego nazwiska – stwierdził Christopher. – A to znaczy, że mojoki nie są jedynymi istotami zachowującymi się wobec nas nieufnie.

– Ta-a – odezwał się z goryczą Nnamdi. – No cóż... podejrzliwość wobec obcych należy do dziedzictwa niejednej społeczności ludzkiej.

– A może to Troftowie, którzy tu byli przed nami, wprowadzili całkiem nowe zwyczaje – burknęła Telek. – Dużo bym dała, żeby mieć jakieś nagranie z ich odwiedzin. Tak czy inaczej, sądzę, że powinniśmy przypomnieć naszej grupie zwiadowczej, by zachowywała dużą czujność.

Rozległ się cichy trzask, po którym Justin usłyszał głos pani gubernator przekazujący zwiadowcom krótkie ostrzeżenie za pomocą tego samego kanału, na którym pracował ich translator – a jej słowa odbiły się u niego słabym echem przekazanym mu przez słuchawki Joshuy i implantowane w jego kościach czujniki akustyczne. W tym czasie pojazd jechał coraz wolniej, a Justin przyglądał się obrazom mijanych przez zwiadowców domów, starając się odgadnąć, który mieści biuro burmistrza. Na szczęście rozmowy w świetlicy umilkły, kiedy naukowcy zajęli się oglądaniem tych samych widoków na normalnych ekranach, tak więc nie groziło mu, że coś przegapi, kiedy skupił całą uwagę na sygnałach z czujników implantowanych jego bratu. Wiele szczegółów technicznych tej implantacji pozostawało dla niego wciąż niejasne, ale musiał przyznać, że specjaliści z Aventiny spisali się bardzo dobrze. Jeżeli okaże się konieczne zastąpienie Joshuy, będzie świadom tego wszystkiego, czego doznał i co przeżył jego brat podczas pobytu na Qasamie... a dysponowanie kompletem takich przeżyć mogło decydować o jego życiu albo śmierci.

Pojazd z grupą zwiadowczą stanął nagle przy krawężniku. Walcząc z chęcią zareagowania wszystkimi mięśniami na zatrzymanie się wozu, Justin leżał cicho na tapczanie, kiedy Joshua wysiadał na chodnik i szedł w ślad za Cerenkovem i innymi po kilku stopniach wiodących do jakiegoś domu.

Decker York był komandosem przez dwadzieścia lat, zanim przed osiemnastoma laty opuścił Dominium i poleciał na Aventinę. W czasie służby dla Dominium przebywał na ośmiu światach i widywał dziesiątki urzędników, począwszy od doradcy syndyka osady do samego przewodniczącego Najwyższego Komitetu Dominium Ludzi. Mogąc poznać powagę i zasięg władzy tych wszystkich dygnitarzy, wyrobił sobie pogląd, jak powinien wyglądać wyższy urzędnik i jakie wrażenie może sprawiać jego najbliższe otoczenie.

Wiedząc o tym, przeżył prawdziwy wstrząs, kiedy ujrzał burmistrza Sollas, Kimmerona.

Należy zacząć od tego, że pokój, do którego zaprowadził ich Moff, w najmniejszym stopniu nie wyglądał na biuro. Na długo przedtem, zanim dwaj odziani w liberie i stojący po obu stronach masywnych wrót mężczyźni pociągnęli za uchwyty obu skrzydeł i je rozsunęli, dobiegały z niego dźwięki muzyki. Kiedy cała grupa wchodziła do środka, woń wiszącego w powietrzu dymu ujawniła im,

że w pokoju palono albo jakieś kadzidła, albo narkotyki. York zmarszczył nos, kiedy o tym pomyślał, ale na szczęście filtr jego hełmu pochłaniał większą część tego dymu. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było oświetlone dość skąpo czerwonym i pomarańczowym światłem. Pokój był dość duży, ale zwisające w wielu miejscach zasłony sprawiały wrażenie, że znaleźli się w eleganckim, komfortowym labiryncie. Moff musiał skrócić dwa razy, zanim wraz z całą grupą zwiadowczą znalazł się w jego centralnej części...

I zanim oczom zdumionych ludzi ukazała się scena z ich własnej, chociaż bardzo odległej przeszłości. Na wyściełanym, miękkim tronie spoczywał mężczyzna, który chociaż nie był otyły, wyglądał tak, jak gdyby przez dłuższy czas unikał ciężkiej pracy. Przed nim ujrzeli grupę tancerzy w egzotycznych strojach, a za tronem stojących półkolem muzykantów – żywych muzykantów, a nie automaty. Na poduszkach rozmieszczonych w różnych miejscach na podłodze siedzieli mężczyźni i kobiety, zajęci na przemian to spoglądaniem na tancerzy, to na rzeczy, jakie znajdowały się na stojących przed nimi niskich stołach przeznaczonych najwyraźniej do pracy. Moff powiodł ich w stronę tronu, a York, mijając jeden z tych stołów, niby od niechcienia popatrzył na niego, zwracając szczególną uwagę na stojący między papierami przenośny komputer albo tylko terminal. Qasamańscy technicy widocznie umieją jednak robić coś więcej niż pojazdy i pistolety.

Prawie wszyscy obecni w pokoju trzymali na ramionach mojoki. Nie mieli ich tylko tancerze.

Moff zatrzymał się o kilka kroków po jednej stronie tronu – a jeżeli siedzący na tronie mężczyzna zdziwił się na widok eskortowanej przez niego grupy, po jego twarzy nie można było tego poznać. Powiedział coś radośnie i tak głośno, żeby można go było usłyszeć mimo dźwięków muzyki.

– Ach... witamy – usłyszał York w słuchawkach głos z translatora. Jakiś rostry Qasamanin uniósł w następnej chwili rękę, nakazując muzykantom i tancerzom ciszę. – Nazywam się Kimmeron i jestem burmistrzem miasta Sollas. Witam was wszystkich na Qasamie.

Moff wskazał im kilka poduszek – dokładnie cztery, jak zauważył York – ułożonych na podłodze w jednym rzędzie przed burmistrzem. Cerenkov kiwnął głową i usiadł, a inni po chwili poszli w jego ślady. Moff i pozostali eskortujący ich Qasamanie jednak nadal stali.

– No, tak – odezwał się ponownie Kimmeron, pocierając o siebie dłonie obu rąk w dziwacznym geście. – Więc nazywacie się Cerenkov, Rynstadt, York i Moreau. To dobrze. Czego zatem tak naprawdę, pamiętajcie: naprawdę, od nas chcecie?

Cerenkov zawahał się przez chwilę, zanim zdecydował się na odpowiedź.

– Wygląda na to, że wiecie o nas bardzo dużo – rzekł w końcu. – Z pewnością zatem wiecie również, że przybyliśmy tu w celu nawiązania przyjaznych stosunków z braćmi, o których nawet nie wiedzieliśmy, że istnieją, i żeby zrobić wszystko, co w naszej mocy, by takie stosunki przyniosły nam wszystkim korzyść.

Na twarzy Kimmerona pojawił się chytry uśmiech, jeszcze zanim translator skończył tłumaczyć słowa Cerenkova na język Qasaman.

– Tak, właśnie taki powód przedtem podaliście – powiedział. – Ale dlaczego wy, którzy nadal umiecie latać do gwiazd, sądzą, że moglibyśmy mieć dla was coś wartego zachodu?

Ostrożnie, chłopie – pomyślał York pod adresem Cerenkova. – Prymitywni wcale nie musi znaczyć naiwni. Ukradkiem popatrzył na Moffa i resztę eskorty, bardzo pragnąc znać qasamański język gestów i ruchów ciała.

Cerenkov zdążył jednak już dojść do siebie i jego odpowiedź była majstersztykiem pseudoszczerości.

– Jak każdy, kto po raz pierwszy postawił stopę na nowym świecie, wasza ekscelencja musi wiedzieć, że każda planeta ma specyficzne rośliny i zwierzęta, a także, choć w mniejszym stopniu, bogactwa naturalne. Już same wasze środki farmakologiczne i żywność z pewnością bardzo się różnią od naszych. – Wskazał ręką w stronę tancerzy i muzykantów. – A dla każdego, kto ceni sztukę i piękno w takim stopniu co pan, istnieją może nie tak oczywiste, ale niemniej obiecujące korzyści płynące z dwustronnej wymiany kulturalnej.

Kimmeron kiwnął głową, ale nie przestał chytrze się uśmiechać.

– Jasne, jasne – powiedział. – Ale jak byście postąpili, wiedząc, że przybyliśmy na Qasamę po to, żeby właśnie uniknąć takich kontaktów kulturalnych? Co byście wówczas zrobili?

– Wówczas, panie burmistrzu – odezwał się cicho Cerenkov – przeprosilibyśmy pana za naszą natarczywość i poprosilibyśmy o zezwolenie na odlot.

Kimmeron popatrzył na nich w zamyśleniu i na kilka chwil w pokoju zapadła głęboka cisza. York ponownie spojrzął na Moffa, bardzo pragnąc objąć palcami rękojeść broni, której nie miał... aż w końcu Kimmeron poruszył się na tronie i przerwał tę dzwoniącą w uszach ciszę.

– No tak – powiedział, machnąwszy niedbale ręką. – Na szczęście nie jesteśmy tu, na Qasamie, aż tacy niegościnni. Nie jesteśmy, chociaż niektórzy z nas bardzo tego żałują.

W odpowiedzi na jego ruch na środek pokoju wyszła grupa pięciu, kryjących się przedtem pod ścianami mężczyzn, którzy stanęli za plecami zwiadowców. Po chwili także Moff przyłączył się do nich.

– Moff, proszę teraz odprowadzić naszych gości do ich kwater, jeśli łaska – zwrócił się do niego Kimmeron. – Proszę dopilnować, by zatroszczono się o zaspokojenie wszystkich ich potrzeb, a jutro proszę zorganizować im wycieczkę po okolicy. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu – dodał, kierując te słowa do Cerenkova – jeszcze dzisiaj wieczorem chcielibyśmy dokładnie was zbadać. Chodzi mi o bezpieczeństwo i panów, i naszych mieszkańców.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparł Cerenkov. – Jeżeli jednak pan się tym martwi, mogę pana zapewnić, że z naszego zdobytego na Aventynie doświadczenia wynika, iż większość drobnoustrojów z jednej planety na ogół nie zagraża innym stworzeniom żyjącym na drugiej.

– Z naszego doświadczenia wypływają mniej więcej takie same wnioski – odrzekł Kimmeron, kiwnąwszy głową. – Niemniej nie zaszkodzi być przezornym. A więc do zobaczenia jutro, panowie.

Cerenkov wstał, a po chwili York i pozostali poszli w jego ślady.

– Z góry cieszymy się na możliwość spotkania się z panem jutro – powiedział Cerenkov, lekko schylając głowę w stronę burmistrza.

Odwróciwszy się, on i reszta grupy zwiadowczej ruszyli za Moffem, który wyprowadził ich z pokoju.

A teraz prosto do szpitala – pomyślał York, kiedy ponownie wyszli na skąpaną w słonecznym blasku ulicę i skierowali się do swojego pojazdu. Badania medyczne, prawdę mówiąc, nie bardzo go martwiły, ale założyłby się o wszystko, że oprócz przeprowadzających te analizy lekarzy będą przy nich obecni qasamańscy przedstawiciele wojskowych służb specjalnych. A jeśli przypadkiem odkryją, w jaki sposób funkcjonuje jego wyposażony w kalkulator zegarek, jego wieczne pióro i pierścień z szafirem, który nosił na palcu... i czym się mogą stać, jeżeli złożyć je razem...

Cerenkov i Rynstadt wsiedli do pojazdu i przyszła kolej na niego, by to zrobić. Starając się nie okazywać swoich uczuć, wsiadł także i powiedział sobie, że nie ma się o co martwić. Podręczny pomocnik komandosa został przecież zaprojektowany w ten sposób, żeby nie można go było wykryć.

Mimo to trochę się jednak martwił, kiedy zatłoczony pojazd ruszył i zaczął jechać ulicami, mijając budynki pomalowane w różnobarwne plamy. Ale przecież

martwienie się o to, co będzie, kiedy sprawy potoczą się w nieprzewidziany sposób, stanowiło zawsze jedno z zadań dobrego komandosa.

W pokoju, który przydzielono Joshui i Rynstadtowi, było od pół godziny mroczno i cicho. Wtedy dopiero Justin odłączył się wreszcie od końcówki centralnego systemu sprzężenia sensorycznego statku i z zeszywniałymi od bezruchu mięśniami usiadł na swoim tapczanie. W świetlicy „Dewdrop” panowała także cisza, a jedyną przebywającą w niej w tej chwili osobą był drzemiący Pyre. Justin przeszedł obok niego na palcach, starając się go nie obudzić, i skierował się w stronę wyjścia.

– Jeżeli jesteś głodny, w kącie, obok końcówki systemu zaopatrzenia w żywność znajdziesz tacę z jedzeniem – usłyszał nagle za plecami.

Zatrzymał się i odwrócił, żeby spojrzeć, jak Pyre, ziewnąwszy, prostuje się na krześle i przeciąga.

– Przepraszam, nie chciałem cię obudzić – powiedział i skierował się ku tacy, o której tamten wspomniał.

– Nic nie szkodzi. I tak, prawdę mówiąc, nie pełnię teraz służby... chciałem tylko poczekać, aż się odłączysz, żeby zapytać, jak się czujesz.

– Ja? Świetnie – odparł Justin. Usiadłszy obok Pyre’a, postawił sobie tacę na kolanach, a potem zaczęła łapczywie jeść. – No więc... co o tym wszystkim sądzisz?

– Do diabła, skąd miałbym to wiedzieć – westchnął Pyre. – Nie wiem nawet, czy wszystko, co mówią albo robią, nie ma na celu zamydlenia nam oczu. Weźmy na przykład tego burmistrza. Czy rzeczywiście jest takim prymitywnym despota, czy może tylko takiego udaje, żeby nas wywieść

w pole? A może naprawdę w ten sposób załatwia się tutaj wszystkie ważne sprawy?

– Och, daj spokój – burknął Justin z ustami pełnymi smażonego balis. – Kto mógłby skupić uwagę w takim harmiderze?

– Uznajesz to za harmider, bo nie jesteś do tego przyzwyczajony – odparł Pyre. – Ta muzyka może wywierać kojący wpływ na ludzki umysł i ułatwiać logiczne myślenie.

Justin odtworzył w myślach widzianą wcześniej scenę. Zdecydował, że to było prawdopodobne – w końcu przecież pochyleni nad tamtymi biurkami ludzie naprawdę coś robili. A co z tymi oparami?

– Muzyka uzupełniana niewielką dawką kojących narkotyków? – zapytał.

– To możliwe. Bardzo chciałbym pobrać próbkę tamtego powietrza do porównawczej chociażby analizy – powiedział, ale po chwili westchnął. – I tak zresztą nie na wiele mogłoby mi to się przydać.

Justin skrzywił się. Wiedział, że członkom grupy zwiadowczej w trakcie szpitalnych badań stanowczo, chociaż uprzejmie odebrano dosłownie wszystkie analizatory i urządzenia rejestrujące obrazy. Po protestach Cerenkova uzyskano jedynie zapewnienie zwrócenia im całego sprzętu przed odlotem.

– Byłem wówczas sprzężony z czujnikami Joshuy, ale miałem wrażenie, że pani gubernator jest zła jak wszyscy diabli – powiedział.

– Jak wszyscy diabli, to łagodnie powiedziane. O mało nie dostała szału – odrzekł Pyre, kręcąc powoli głową. – Sądzę jednak, że chyba miała rację, mówiąc, iż to wszystko wygląda z każdą chwilą coraz gorzej. Yuri i jego ludzie nie mogą nam powiedzieć o niczym, co chcą zataić przed nimi Qasamanie, dopóki nie mają przy sobie swoich urządzeń. Moff kieruje nimi niczym ujeżdżonymi porongami, my zaś także nie możemy nic zrobić, dopóki wszyscy widzą nas jak na dłoni.

Justin popatrzył na niego podejrzliwie.

– Czy masz zamiar dojść do wniosku, że ktoś z nas powinien spróbować wymknąć się o północy i zrobić sobie jedno- lub dwudniowy spacer?

– Nie wiem, w jaki inny sposób moglibyśmy dowiedzieć się, na czym może polegać prawdziwe niebezpieczeństwo z ich strony – odrzekł Pyre, wzruszając ramionami.

– A jeśli nas na tym złapią?

– To będzie kłopot. Właśnie z tego powodu dowódcą całej operacji powinien zostać ktoś, kto wie, co ma robić.

– Innymi słowy, któryś z Kobr albo Decker. Ponieważ z pewnością nas obserwują, a Decker jest nie tylko pilnowany, ale i bezbronny, niezłapanie nas na czymś takim zaczyna wyglądać na niemożliwe.

Pyre ponownie wzruszył ramionami.

– W tej chwili tak, jestem skłonny się zgodzić. Może jednak już wkrótce coś się zmieni. – Obdarzył Justina przeciągłym spojrzeniem. – A w takim razie... miałeś właściwie o tym nie wiedzieć, ale Decker nie jest bezbronny. Ma przy sobie składany, chowany w dłoni miotacz strzałek, zwany podręcznym pomocnikiem komandosa.

– Ma... co takiego? Almo, przecież powiedzieli, że nie wolno nam zabierać żadnej broni. Jeżeli go z tym przyłapią...

– Będzie miał poważne kłopoty – dokończył za niego Pyre. – Wiem o tym. Ale Decker nie chciał, by ludzie z jego grupy byli całkowicie bezbronni, a miotacz uszedł uwadze przeszukujących ich Qasaman.

– O ile ci wiadomo.

– Wciąż jeszcze go nie znaleźli. Justin westchnął.

– No, świetnie – powiedział z przekąsem. – Mam tylko nadzieję, że w wojsku nauczyli go też cierpliwości, a nie tylko celności.

– Z pewnością go nauczyli – burknął Pyre i opierając się o blat stołu, wstał z lekkością, którą zawdzięczał tylko swoim implantowanym serwomechanizmom. – Mam zamiar przekimać się teraz parę godzin, a ty, jeżeli masz olej w głowie, zrobisz to samo po skończeniu ćwiczeń.

– Ta-a – ziewnąwszy, odparł Justin. – Zanim jednak to zrobisz, powiedz mi, czy Telek nie mówiła, kiedy zamierza wezwać Joshuę do powrotu i kazać mi zająć jego miejsce?

Pyre zatrzymał się w pół drogi do drzwi, a kiedy się obejrzał, na jego twarzy było widać prawdziwy smutek.

– Prawdę mówiąc... nie zamierza niczego zmieniać i chce pozwolić Joshui tam zostać, przynajmniej na razie.

– Co takiego? – wykrzyknął Justin, wpatrując się w twarz Pyre'a. – O czymś takim nie było przecież nigdy mowy!

– Wiem o tym – przyznał Pyre, bezradnie wzruszając ramionami. – Mówiłem jej o tym, i to dość dobitnie. W tej chwili sytuacja grupy wygląda jednak na stabilną, a poza tym...

– Poza tym tak bardzo polubiła wizyjne sygnały Joshuy, że nie bardzo może się z nimi rozstać. Mam rację?

Pyre westchnął.

– Nie możesz mieć o to do niej żalu. Słyszałem, że bardzo chciała, żeby implantowano takie czujniki wszystkim członkom grupy, ale musiała zrezygnować z uwagi na zbyt wysokie koszty. Te miniaturowe zmiennoczęstotliwościowe cacka, jak wiesz, są strasznie drogie. A teraz, kiedy całej grupie zabrano wszystkie inne urządzenia, pozostały nam tylko czujniki Joshuy. To dzięki nim możemy wiedzieć, co się dzieje. – Uniósł dłoń w geście pojednania. – Posłuchaj, wiem dobrze,

co teraz czujesz, ale postaraj się o niego nie martwić. Qasamanie przecież nie napadną teraz na nich bez istotnego powodu.

– Możliwe, że masz rację – rzekł Justin. Zamyślił się na chwilę, ale nie przychodziło mu do głowy nic więcej, co mógłby powiedzieć. – No cóż... w takim razie dobranoc.

– „...branoc”.

Pyre wyszedł, a Justin rozprostował na próbę mięśnie. Trzynaście godzin leżenia bez ruchu na tapczanie sprawiło, że naprawdę zdrętwiały, ale zanim miał czas poczuć w nich jakieś kłucie, przypomniał sobie ostatnie słowa Pyre’a. „Bez istotnego powodu...” Co mogłoby być takim powodem dla Qasaman? Wrogie zachowanie albo jakaś obraźliwa uwaga Cerenkova? Odkrycie, że domniemane połączenie foniczne ze statkiem zawiera zmiennoczęstotliwościowy kanał przekazujący także widoki, które tak bardzo starali się przed nimi ukryć? Nagłe użycie przez Yorka jego nielegalnej broni?

A może nawet potencjalny wypad, na dokonanie którego Pyre widocznie już się zdecydował?

Wpatrzywszy się w ciemny ekran, Justin oddał się ćwiczeniom z nieco większym zapałem, niż początkowo planował.

Rozdział dziewiąty

Ponieważ nie musieli tak szybko schodzić na ląd, a statek, na którym czekali, był dosyć przestronny i wygodny, pasażerowie „Menssany” nie myśleli o filtrach powietrza i hełmach, ale po prostu zaczęli czekać na pokładzie, dopóki analizatory atmosfery nie upewniły ich, że powietrze na Chacie nie stanowi dla ludzi żadnej groźby.

Wielowiekowa tradycja przyznawała Jonny’emu, jako najwyższemu rangą dostojnikowi na pokładzie, zaszczyt bycia pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na nowym świecie, ale Jonny już dawno temu przywykł przedkładać rozważę nad zaszczyty. Honor ten przypadł więc w udziale jednemu z sześciu Kobr, który zszedł na ląd, by rozstawić wokół statku generatory pola siłowego najeżone czujnikami. W tym czasie pasażerowie „Menssany” cierpliwie czekali, ale kiedy upłynęła godzina, a zwiadowca nie dostrzegł w pobliskim lesie żadnych drapieżników ani niczego podejrzanego w obrębie perymetru, dowódca grupy Kobr, Rey Banyon, uznał, że najbliższe sąsiedztwo nie stanowi zagrożenia także dla osób cywilnych.

Jonny i Chrys opuścili służę statku na końcu grupy naukowców. Dla Jonny’ego był to powrót do czasów odległej przeszłości. Prawdę mówiąc, Chata w niczym nie przypominała Aventiny, co można było stwierdzić już po pierwszych,

bardzo pobieżnych oględzinach jej krajobrazu i istniejących na niej form życia. Jednak już sam ten fakt w porównaniu z dobrze znanymi mu warunkami życia na Aventynie, sprawiał, że i teraz, i przedtem, czuł się mniej więcej tak samo. Nowy, dziewiczy świat, nie tknięty przez człowieka...

– Zebrało ci się na wspomnienia? – odezwała się cicho stojąca u jego boku Chrys.

Jonny głęboko westchnął, ciesząc się prawie pikantnym aromatem dolatującym do nich wraz ze słabym wiatrem.

– Tak samo jak na Aventynie, kiedy przyleciałem tam po raz pierwszy – odparł, lekko kręcąc głową. – Byłem wówczas dwudziestopięcioletnim dzieckiem, niemal przytłoczonym przez ogrom tego wszystkiego, na co się porywaliśmy.

Myślałem, że dawno zapomniałem, jak się wtedy czułem... nie zdawałem sobie sprawy z tego, ile w ciągu ostatnich czterdziestu lat osiągnęliśmy.

– Tym razem będzie nam trochę trudniej – rzekła Chrys. Przyklękawszy na jedno kolano, delikatnie przesunęła palcami dłoni po miękkiej gęstwinie splątanych, podobnych do winorośli pędów, pełniących tu widocznie funkcję trawy. – Chata może i znajduje się zaledwie o trzydzieści lat świetlnych od Aventiny, ale my przecież nie mamy takich środków transportu, jakie ma Dominium. Nie widzę wielkiego sensu, by marnować nasze siły i środki tutaj, kiedy tak wiele rejonów Aventiny i Palatiny wciąż jeszcze pozostaje nie zamieszkanym. Zwłaszcza że...

– ...zwłaszcza że cała ta grupa planet jest odległa zaledwie o dziesięć czy piętnaście lat świetlnych od Qasamy? – dokończył za nią Jonny.

Chrys podniosła się, lekko westchnęła, a potem strzepnęła z palców kawałki zielonych roślin, które do nich przywarły.

– Słyszałam wszystkie te argumenty na temat stref bezpieczeństwa i groźby toczenia wojny na dwa fronty – powiedziała – ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać.

Wiem tylko, że jedynym powodem, dla którego uważamy Qasamę za zagrożenie, jest fakt, że powiedzieli nam to Troftowie.

Jonny chciał odpowiedzieć, ale zanim zdążył, usłyszał dźwięk brzęczyka telefonu.

– Moreau – odezwał się, zbliżywszy do ust urządzenie.

– Tu Banyon, panie gubernatorze – usłyszał głos dowódcy Kobr. – Mamy obraz z satelity i chcielibyśmy prosić, żeby rzucił pan na niego okiem.

Obecność stojącej u jego boku i milczącej Chrys przypomniała mu, że obiecał jej być w tej podróży tylko pasażerem.

– Czy pan i Shepherd nie możecie dać sobie z tym rady beze mnie? – zapytał.

– No cóż... sądzę, że moglibyśmy. Myślałem tylko, że dobrze byłoby znać pana zdanie na ten temat.

– O ile to nie jest coś pilnego... – odezwał się Jonny, ale przerwał, kiedy stwierdził, że Chrys zaczyna machać mu dłonią przed oczami.

– Co ty robisz? – zapytała go scenicznym szeptem. – Chodźmy tam i zobaczmy, o co chodzi.

„Gdybym żył tysiąc lat” – przebiegły mu przez głowę słowa popularnej piosenki.

– Zresztą, dobrze – powiedział Banyonowi. – Za chwilę tam będę.

Znaleźli Banyona i Shepherdą na mostku „Menssany”. Obaj wpatrywali się z napięciem w monitory.

– To nie jest coś, co rzuciło się nam w oczy od razu – zaczął Banyon bez jakiegokolwiek wstępu, wskazując im ciemną plamę na największym ekranie. – Okazało się jednak, że to coś się porusza...

Jonny podszedł do ekranu i zaczął się przypatrywać uważniej. Zobaczył, że ciemna plama składa się z setek, a może i tysiący pojedynczych punktów.

– Powiększenie nastawione na maksimum? – zapytał.

W odpowiedzi Shepherd kiwnął głową.

– Turbulencje atmosferyczne zniekształcają w tej chwili obraz, toteż możliwości komputera są drastycznie ograniczone – odparł.

– Powiedziałbym, że to stado jakichś zwierząt – odezwał się po chwili Jonny. – Domyślam się, że podążają w naszą stronę?

– Na razie trudno powiedzieć – rzekł Shepherd. – Dzieli je od nas mniej więcej sto kilometrów, ale wygląda na to, że skrzydło stada może nas nie ominąć.

Nacisnął jakiś klawisz i na innym ekranie zamiast obrazu widzianego w podczerwieni pojawił się rysunek, na którym ekstrapolacje różnych obszarów oznaczono odmiennymi kolorami. I rzeczywiście, ramię czerwonego trójkąta oznaczającego dziewięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że skraj stada zwierząt ich zahaczy, przebiegało przez punkt, który na rysunku oznaczał miejsce lądowania „Menssany”. Wyświetlane na skraju ekranu liczby wskazywały odległość stada od statku – sto sześć kilometrów – i prędkość stada wynoszącą trochę powyżej ośmiu kilometrów na godzinę.

– Mamy zatem trzynaście godzin, zanim tu się znajdą – mruknął Jonny. – No cóż... możemy wystartować i przenieść się w inne miejsce, jeżeli okaże się to konieczne, ale naukowcy nie będą zachwyceni perspektywą ściągania na statek całej aparatury, jaką zdążyli już rozstawić. Uważam, że najrozsądniejszym wyjściem byłoby wysłanie na zwiad kilku Kobr, żeby obejrzeliby to stado i sprawdzili, czy nie da się go powstrzymać albo przynajmniej skierować w inną stronę.

– Właśnie o tym myśleliśmy – odrzekł Banyon, ale urwał, jak gdyby się zawahał.

Jonny ujrzał na jego twarzy ten sam wyraz, jaki często widywał na twarzach swoich synów, kiedy bardzo im na czymś zależało.

– Aha, panie gubernatorze... czy nie chciałby pan polecieć z tymi Kobrami? Czuliśmy się znacznie pewniej, mając na pokładzie kogoś z tak dużym doświadczeniem...

Jonny spojrział na Chrys i uniósł brwi w niemym pytaniu. Patrzyła w tym czasie na ekrany, ale kiedy w końcu odwróciła głowę i spojrzała na niego, sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej faktem, że w ogóle o to pytał.

– Oczywiście – powiedziała. – Tylko bądź ostrożny.

– „Gdybym żył sto tysięcy lat...” – pomyślał. Odwrócił się w stronę Banyona i kiwnął głową.

– No, dobrze – powiedział. – Zobaczmy, co z tym wszystkim można zrobić.

To było rzeczywiście stado – ogromne stado – a Jonny’ego, który przedtem widywał takie tylko na taśmach, widok aż tylu dzikich zwierząt w jednym miejscu zarazem zadziwił i trochę przerażał. Chociaż wszystkie te porośnięte brązowym, długim futrem czworonogi nie biegły, a tylko szły truchtem, odgłosy ich stąpania zlewały się w nieustanny grzmot, słyszany w wiszącej nad nimi na wysokości dwustu metrów zamkniętej patrolowce. Płaskie, szerokie kopyta wznosiły w górę chmurę pyłu, mimo że teren, po którym stąpały, był porośnięty miękką, tłumiącą dźwięki miejscową odmianą trawy.

– Sądzę, że jednak będzie trzeba jeszcze raz przemyśleć nasze plany – stwierdził Banyon, kiedy wszyscy przyglądali się widokowi w dole.

Jeden z jego Kobr parsknął, a inny pozwolił sobie na nerwowy chichot. Jonny chwilę zczekał, aż umilkną wszystkie te odgłosy świadczące o dużym napięciu, a później wskazał ręką na tylne okno.

– Może wyprzedzimy stado o kilka kilometrów, żeby stwierdzić, czy nie znajdzie się jakaś naturalna przeszkoda, przy której dałoby się skierować je w inną stronę?

Banyon kiwnął głową i zawrócił patrolówkę, ale kiedy cichł łoskot pozostającym za nimi zwierząt, Jonny spoglądał na krajobraz w dole z coraz większą rezygnacją. Kobry już wcześniej ustaliły, że między stadem a „Menssaną” nie było żadnych naturalnych przeszkód, a teraz, kiedy się o tym upewnił, z każdą chwilą coraz bardziej wątpił, czy mogliby stworzyć sztucznie coś takiego, co sprawiłoby tak licznemu stadu chociażby najmniejszy kłopot.

Banyon doszedł zapewne do takiego samego wniosku.

– Obawiam się, że jednak będziemy musieli je spłoszyć – powiedział tak cicho, że Jonny z trudem go usłyszał.

– Tak wielkie skupiska zwierząt spotykało się kiedyś w wielu rejonach Ziemi i na Blue Haven – odparł Jonny. – Dałbym dużo, by wiedzieć, jak wówczas na nie polowano. Na pokładzie nie mamy silnych materiałów wybuchowych, a nie wiemy, jak mogą wyglądać drapieżniki, których się obawiają. Sądzę, że wobec tego pozostaje nam tylko broń soniczna i lasery, a to znaczy, że będzie trzeba podejść do nich bardzo blisko.

– Zasięg broni laserowej nie jest wcale taki mały... ach, rozumiem, co ma pan na myśli. Jeżeli nas nie zobaczą, w żaden sposób nie będą mogły wiedzieć, w którą stronę uciekać.

– Ani nawet się zorientować, że giną – dodał Jonny. Myślał później przez jakąś minutę, ale nic oczywistego nie przyszło mu do głowy. – No cóż... – powiedział w końcu. – Spróbujmy więc najpierw przestraszyć je patrolówką. Może to w jakiś sposób pozwoli nam rozwiązać cały problem.

Wyglądało jednak na to, że zwierzęta nie mają żadnych latających nieprzyjaciół. Całkowicie ignorując zataczającą kręgi nad ich łbami patrolówkę, flegmatycznie kierowały się wciąż w tę samą stronę.

– Spróbujemy teraz czegoś bardziej drastycznego? – zapytał jeden z Kobr.

Banyon kiwnął głową.

– Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia. Tylko nie za bardzo drastycznego. Oszczędzanie pracy biologom nie jest warte tego, żeby przy tej okazji ktoś z nas stracił życie.

– Lub został ranny – wtrącił się Jonny. – Spróbujemy więc tylko...

Przerwał mu cichy brzęczyk pokładowego telefonu.

– Panie gubernatorze, odkryliśmy tu coś, co może mieć jakieś znaczenie – odezwał się Shepherd, nie patrząc w stronę kamery. – Satelita ukończył właśnie badania makroskopowe... wygląda na to, że całe stado przemieszcza się w kierunku zgodnym z jedną z linii pola magnetycznego tej planety.

Banyon popatrzył na Jonny'ego, unosząc brwi do góry.

– Dotychczas sądziłem, że ptaki, owady i duchy są jedynymi stworzeniami wyposażonymi w zmysł umożliwiający im geomagnetyczną nawigację.

– Tak samo uważali dotychczas wszyscy biologowie „Menssany” – odparł z przekąsem Shepherd. – Przyznają jednak, że nie znają żadnych powodów, dla których nie miałyby go mieć także stworzenia większe.

– Jeżeli założyć, że naprawdę podążają w kierunku równoległym do linii pola, czy nasz obóz jest nadal zagrożony? – zapytał Jonny.

– Tak. Prawdopodobieństwo jest wówczas nawet o parę procent większe.

Jonny popatrzył pytająco na Banyona.

– Warto spróbować – mruknął tamten. – Kapitanie, czy ma pan na pokładzie statku jakieś urządzenie zdolne do wytworzenia silnego pola magnetycznego?

– Jasne. Modulator napędu. Trzeba tylko zdjąć część jego ekranów, a wówczas rozproszone pole, jakie się przedostanie na zewnątrz, powinno wprowadzić w błąd zmysły zwierząt. Jeżeli, oczywiście, kierują się nimi w swej wędrówce.

– Warto spróbować – powtórzył nieco głośniejszym głosem Banyon. – Kapitanie, ile czasu potrzeba panu na usunięcie tych osłon magnetycznych?

– Już nad tym pracujemy. Myślę, że nie powinno zająć nam to więcej niż godzinę.

Łagodnie pofałdowany teren nawet przez kogoś obdarzonego najbujniejszą wyobraźnią nie mógł być nazwany pagórkowatym, ale mimo to grzmot kopyt można było usłyszeć znacznie wcześniej, niż dało się ujrzeć stado. Stojący nieco z boku szeregu Kobr Jonny, słysząc, jak z każdą chwilą hałas przybiera na sile, i mając nadzieję, że wszystko potoczy się zgodnie z planem, otarł pot z dłoni. Wprawdzie ich plan przewidywał, że gdyby się nie udało, zawsze mogli laserami przeciwpancernymi zamienić przynajmniej część tej gromady w stos dymiących szczątków... ale Jonny wciąż nie mógł zapomnieć o tym, z jakim trudem przyszło mu kiedyś na Aventynie uśmiercenie tak samo roślinożernej gantui.

– Przygotujcie się – usłyszał w słuchawkach głos Banyona i spojrzał na krążącą nad stadem patrolówkę. – Za chwilę je zobaczycie – ciągnął głos. – Czekajcie na sygnał kapitana...

I nagle ujrzeli ciemną masę pierwszej linii zwierząt wyłaniającą się zza niewielkiego wzniesienia niczym czoło morskiej fali na mieliźnie.

Nie kierowała się prosto w stronę Kobr, a zwierzęta były, prawdę mówiąc, o wiele mniejsze niż gantuje, ale ich liczba i fakt, że spoglądało się na nie z ziemi, sprawiały, że widok był równie przerażający. Jonny zacisnął mocno zęby i stłumił w sobie chęć odwrócenia się i rozejrzenia za kryjówką... ale gdy pierwszy

szereg zwierząt zaczął schodzić w dolinę, usłyszał, jak jakiś inny głos w jego słuchawkach rzucił rozkaz:

– Teraz!

Odpowiedzią była salwa z przeciwpancernych laserów wszystkich Kobr mierzona nie w zwierzęta, ale w sterty głazów mozolnie zniesionych w tamto miejsce, a znajdujących się teraz o jakieś pięćdziesiąt metrów przed stadem. Bardzo specyficznych głazów... gdyż jeśli geologowie „Menssany” mieli rację co do ich właściwości...

Okazało się, że mieli. Mieszanina trudno- i łatwotopliwych minerałów zawarta w każdym z tych głazów mogła przetrwać w strumieniu laserowego światła tylko przez sekundę lub dwie, po czym rozpadała się z głośnym hukiem, słyszonym dobrze nawet mimo grzmotu kopyt. Jeden po drugim kamienie rozpryskiwały się z ognistymi bryzgami na wszystkie strony niczym sztuczne ognie, sprawiając właściwie tylko dużo huków. To jednak wystarczyło. Kiedy czoło stada zatrzymało się, a później skłębiło, Jonny mógł niemal wyczuć, jak zwierzęta tracą poczucie dotychczasowego kierunku marszu. W chwilę później ich wahanie przemieniło się w ucieczkę... ale w nieco zmienionym kierunku, określanym teraz dla nich przez pole magnetyczne modulatora „Menssany”, którą w tym celu musiano posadzić w innym miejscu, oddalonym o kilka kilometrów od pierwszego. Skrzydło stada minęło szereg Kobr, a kiedy w godzinę później „Menssana” wystartowała i czworonogi mogły podjąć wędrówkę w tę samą co poprzednio stronę, ich nowy szlak powinien wieść teraz o dobry kilometr w bok od miejsca, w którym ludzie rozbili swój pierwszy obóz.

Tak miało to wyglądać w teorii. Zostało na szczęście aż nadto dużo czasu, żeby upewnić się, że tak samo będzie wyglądało w praktyce.

Patrolówka zaczęła podchodzić do lądowania, a wszystkie Koby pospieszyły do miejsca, w którym miała osiąść.

– Dobra robota – odezwał się w słuchawkach Jonny’ego głos Banyona. – Możemy wracać.

Ostatnie chmury zniknęły tuż przed zachodem słońca i ukazało się usiane gwiazdami niebo. Jonny i Chrys, spacerując wokół statku po wewnętrznej stronie perymetru, na zmianę nazywali gwiazdozbiory, które mogli rozpoznać, i starali się dopasować nazwy bardziej zniekształconych do ich awentüńskich odpowiedników. W końcu, kiedy zabrakło im nazw, po prostu zaczęli przechadzać się w milczeniu, ciesząc się chłodnym i czystym powietrzem nadchodzącej nocy. Jonny włączył wzmacniacz słuchu, toteż wychwycił dobiegający ich z oddali łoskot sta-

da wcześniej niż Chrys, i kiedy stwierdził, że hałas się nie nasila, wiedział, że ich plan się powiódł.

– Stado płaskokopytnych czworonogów? – zapytała Chrys, starając się przebić wzrokiem mroki nocy.

– Tak – odrzekł, kiwnąwszy głową. – Nie zbliża się do nas ani trochę. Jest co najmniej kilometr stąd... może nawet dwa.

Pokręciła głową.

– To dziwne – powiedziała. – Pamiętam, jak kiedyś w szkole podczas lekcji biologii nasz nauczyciel starał się udowodnić, że żadne zwierzę lądowe większe od kondorynki nie mogłoby nigdy rozwinąć zmysłu magnetycznego, o ile na jego planecie nie panowałoby pole o nieprawdopodobnie dużej sile. Bardzo chciałabym, żeby teraz tu był i mógł sobie obejrzeć te bydłeta.

Jonny zachichotał.

– Ja zaś przypominam sobie, że kiedyś czytałem coś na temat tej starej teorii, zgodnie z którą wszystkie miejscowe rośliny i zwierzęta żyjące na różnych światach Dominium są zmutowanymi potomkami zarodników czy bakterii przyniesionych na nie z ziemi przez słoneczne wiatry. Pamiętam, że wciąż się o to sprzeczano, kiedy odkryto istnienie Troftów i Minhistów. Nie wiem, co zrobiliby zwolennicy tej teorii, gdyby dowiedzieli się o Aventinie. O ile, rzecz jasna, nie zmienili wcześniej zdania. Domyślam się, że możliwość wystawienia się na publiczne pośmiewisko jest jedną z tych ryzykownych sytuacji, z jakimi muszą się liczyć naukowcy.

– Wiesz, zawsze zastanawiał mnie ten uniwersalny kod genetyczny – rzekła w zamyśleniu Chrys. – Dlaczego wszystkie formy życia, jakie spotykamy, mają tę samą budowę DNA i protein? Uważam, że to nielogiczne.

– Nawet wówczas, gdyby się miało okazać, że jest to jedyna struktura zapewniająca istnienie życia?

– Tej teorii także nigdy nie lubiłam. Wydaje mi się do pewnego stopnia arogancka.

Jonny wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, i mnie nie bardzo się podoba. Słyszałem kiedyś o teorii Troftów, zgodnie z którą jakaś kosmiczna katastrofa, która wydarzyła się przed trzema czy czterema miliardami lat, pozbawiła sporą część wszechświata wszelkiego życia, a przy tej okazji zniszczyła pierwsze inteligentne istoty próbujące swych sił w podróżach międzygwiazdnych. Wszystkie glony i bakterie, które na

różnych światach ten kataklizm przetrwały, wywodziły się z tego samego pnia, ale później ewoluowały niezależnie od siebie.

– Musiałoby to być coś niesamowitego.

– Sądę, że mogłoby to być coś w rodzaju wybuchu łańcucha supernowych albo ostateczny kolaps centralnej czarnej dziury jakiejś galaktyki.

– Aha... Prościej byłoby przyjąć, że to Bóg urządził celowo wszystko w taki sposób.

– Z pewnością życie kolonisty jest łatwiejsze, jeżeli może spożywać miejscowe okazy flory i fauny – zgodził się z nią Jonny.

– Ale twierdzenie odwrotne nie zawsze jest prawdziwe. Jonny spojrział na nią z ukosa, ale nie miała urażonej miny.

– Doceniam to, że pozwoliłaś mi dzisiaj polecieć razem z nimi – powiedział, kiedy już poruszyła ten temat. – Dobrze wiem, że w czasie tej podróży miałem trzymać się od wszystkiego z daleka...

– Nie mogłeś przecież nie pomóc, kiedy cię poprosili – przerwała. – Poza tym nie wyglądało mi na to, że będziesz narażony na jakieś niebezpieczeństwa. Byłeś?

– Nie. Osłaniała mnie przecież załoga patrolówki, a oprócz niej reszta ludzi na statku. Niemniej będę się starał poprawić podczas dalszej drogi.

Zachichotała i lekko uściśnęła jego ramię.

– Nie przejmuj się, Jonny – powiedziała. – Naprawdę. Nie chciałabym, żebyś siedział z założonymi rękami, kiedy możesz się im na coś przydać. Tylko bądź ostrożny.

– Zawsze jestem – zapewnił ją, rozmyślając, skąd wzięła się u niej ta odmiana. To była Chrys, którą tak dobrze znał, kiedy się pobierali: zawsze popierająca go w tym, co robił dla dobra innych. Co się stało, że się zmieniła? Czy w ten sposób reagowała na zmianę otoczenia, które przypomniało jej dawne czasy walki o ujarzmienie Aventiny?

Nie wiedział. Ale podobała mu się ta zmiana... i miał mnóstwo czasu, żeby w ciągu pozostałej części drogi wymyślić sposób na to, żeby taka została, kiedy w końcu powrócą.

Rozdział dziesiąty

Zgoda na pozbycie się hełmów i filtrów nadeszła z „Dewdrop” tuż przed ich wieczornymi badaniami medycznymi. Joshua, zanim udał się na spoczynek, stwierdził, że jego węch bez trudu przyzwyczał się do egzotycznych woni, jakich nie brakowało w powietrzu Qasamy. Kiedy jednak następnego dnia rano opuszczali przydzielone im kwatery, cała grupa nie zdążyła zrobić trzech kroków, a Joshua doszedł do wniosku, że chyba powinien zmienić zdanie.

Nowy zapach wydawał się mieszaniną woni aromatycznego pieczonego ciasta, niezbyt wonnego dymu i czegoś, czego przy najlepszych chęciach nie potrafił określić.

Wyglądało na to, że nie był jedynym, który zwrócił na to uwagę.

– Co tu tak dziwnie pachnie? – zapytał Moffa Cerenkov, kilka razy pociągnąwszy nosem.

Moff zaciągnął się powietrzem i powiedział:

– Czuję zapach piekarni znajdującej się za rogiem, dymy z rafinerii boru i spaliny z rur wydechowych samochodów.

– Rafinerii boru? – odezwał się zdziwiony Rynstadt. – Tu, w samym sercu miasta?

– Tak. A dlaczego by nie? – zapytał Moff.

– No cóż... – Rynstadt zmieszał się nieco. – Sądziłem, że takie zakłady przemysłowe byłoby bezpieczniej budować z dala od miejsc gęsto zaludnionych. Na wypadek, gdyby doszło do awarii. Moff pokręcił głową.

– Nie mamy tu awarii, które mogłyby mieć groźne konsekwencje – powiedział. – A wszystkie urządzenia są najbezpieczniejsze właśnie tam, gdzie znajdują się teraz.

– Ciekawe – mruknął Cerenkov. – Czy nie można byłoby obejrzeć tej rafinerii?

Moff zawahał się przez chwilę, ale później kiwnął głową.

– Myślę, że nikt nie miałby nic przeciwko temu – powiedział. – Proszę za mną.

Minąwszy pojazd, który czekał już na nich przy krawężniku, ruszył przed siebie, a za nim podążyło czterech Aventinian i pięciu eskortujących ich Qasaman. Okazało się, że rafineria znajduje się o dwa domy dalej w niepozornym budynku wzniesionym między dwiema wyjątkowo szerokimi alejami Sollas.

Joshua nigdy w życiu nie widział żadnego zakładu przemysłu przetwórczego. Ogromna liczba zbiorników, rur i krzątających się między nimi Qasaman sprawiała na nim wrażenie raczej chaosu niż wyniku celowej działalności. Rynstadt jednak – a także, choć w mniejszym stopniu, York – byli tym miejscem zachwyceni.

– Bardzo to wszystko pomysłowo urządzone – stwierdził Rynstadt, rozglądając się ciekawie po głównej hali. – Jeszcze nigdy nie słyszałem o metodzie ekstrakcji boru za pomocą schłodzonego bąbelkującego gazu. Jaki to gaz, jeżeli wolno zapytać?

– Doprawdy, nie mam pojęcia – odparł Moff. – Pewnie coś w rodzaju katalizatora, jak sądzę. Czy jesteś specjalistą w tej dziedzinie chemii?

– Nie, właściwie nie – rzekł Rynstadt. – Interesuję się różnymi rzeczami... moja praca jako nauczyciela wymaga, żebym wiedział to i owo na każdy temat.

– A więc jesteś ekspertem w dziedzinie nauk ścisłych. Rozumiem.

W tonie głosu, jakim Moff to powiedział, było coś, co Joshui nie bardzo się podobało, tak jak gdyby wiedza, jaką dysponował Rynstadt, przeczyła deklaracji o pokojowym charakterze misji.

– Jak sądzisz, Marek, czy ta metoda mogłaby znaleźć zastosowanie na Aventinie? – zapytał go, mając nadzieję, że Rynstadt zrozumie kryjącą się w tym pytaniu aluzję.

Zrozumiał.

– Jestem tego niemal pewien – powiedział natychmiast, kiwnąwszy z przekonaniem głową. – Bor odgrywa w wielu gałęziach naszego przemysłu dużą rolę, a chociaż stosowane metody jego ekstrakcji nie są drogie, nie wątpię, że przyda się nam coś jeszcze tańszego. Moff, może będzie można porozmawiać na ten temat bardziej szczegółowo trochę później, czy to z burmistrzem Kimmeronem, czy też z kimś innym z przywódców planety.

– Przekażę twoje życzenie – odparł Moff neutralnym tonem, ale Joshua wy-czuł, że wyraźnie się odprężył.

Rozmowa z tymi ludźmi to jak stąpanie po polu minowym – pomyślał.

– No cóż, myślę, że widzieliśmy już chyba wszystko – odezwał się żywo Cerenkov. – Jeżeli mam być szczery, Moff, nadal chciałbym obejrzeć tę galerię, o której mówiłeś nam wczoraj, a może też jedno z waszych targowisk.

– Oczywiście – przytaknął Moff. – Wracajmy do samochodu i jedźmy.

– No i co? – zapytała Telek.

Christopher wyprostował się na krześle, oderwał wzrok od monitora, przed którym siedział, i ponad nim popatrzył na panią gubernator.

– Jak dotąd nie znalazłem ani jednej wzmianki na temat takiej metody rafinacji boru – oznajmił. – Z drugiej strony wiem, że naszej bazy danych na ten temat w żadnym razie nie można uważać za kompletną.

– Jasne, jasne. Ale czy sądzisz, że wynaleźli całkiem nowy sposób, czy tylko chcą wprowadzić nas w błąd na temat tego, co właściwie robią w tej fabryce?

Odezwał się sygnał interkomu, więc Pyre nachylił się nad ekranem, przestając zwracać uwagę na toczącą się za jego plecami rozmowę.

– Tak? – zapytał. To był kapitan F'ahl.

– Właśnie stwierdziliśmy coś, co może was zainteresować, bo może jakoś się z tym wszystkim wiąże – powiedział. – Pamiętacie te szerokie ulice w Sollas i w innych miastach? Okazuje się, że w każdym przypadku biegną równolegle do linii pola geomagnetycznego Qasamy.

O zawłościach rafinacji boru natychmiast zapomniano.

– Mógłby pan to powtórzyć? – zapytał Christopher, podchodząc do interkomu.

F'ahl powtórzył swoje oświadczenie.

– Domyśla się pan, z jakiego powodu, kapitanie? – zapytała Telek.

– Z żadnego, w którym miałbym jakiś sens – odparł F'ahl. – Nie trzeba przecież ustalać kierunków ulic w mieście po to, żeby móc orientować się w stronach świata, a natężenie tutejszego pola jest zbyt słabe, żeby miało wywierać istotny wpływ na linie energetyczne czy inne urządzenia.

– Chyba że od czasu do czasu nagle rośnie – zastanowił się Christopher. – Nie, nawet i wówczas nie miałyby to żadnego sensu.

– Może to ma jakiś związek z ich systemem komunikacji na duże odległości?
– zasugerowała Telek. – Może przesyłają modulowane sygnały wzdłuż linii tego pola czy coś w tym rodzaju.

Siedzący w kącie świetlicy Nnamdi poruszył się na krześle i spojrzał na nich z wyraźną irytacją.

– Byłoby lepiej, gdybyście dali sobie w końcu spokój z pomysłem, że Qasamanie muszą dysponować jakimś systemem łączności dalekosiężnej – burknął. – Stwierdziliśmy przecież, że w Sollas istnieje przewodowa sieć telekomunikacyjna i energetyczna, to wszystko, czego moim zdaniem im potrzeba.

– A jak utrzymują łączność między miastami, nie mówiąc już o łączności z tymi wszystkimi rozrzuconymi po całej okolicy wioskami? – odcięła się Telek. – Daj spokój, Hersh, może system izolowanych od siebie miast-państw ci się podoba, bo lubisz egzotykę, ale jako wytrawny polityk oświadczam ci, że nie jest stabilny. Ci ludzie posiadają kalkulatory czy nawet komputery, mają pojazdy, broń maszynową i coś, co może korzystać z tych pasów startowych, na których usiedliśmy. Nie sędzę, by mogli zapomnieć o podstawach fal elektromagnetycznych czy jednolitej administracji.

– Tak? W jaki więc sposób wyjaśni pani istnienie murów wokół wiosek?

– A jak ty wytłumaczysz ich brak wokół miast? – zapytała Telek, potrząsając z irytacją głową. – Nie możemy zakładać, że wioski są zamieszkałe przez prymitywów, toczących ze sobą ciągłe wojny, podczas gdy w miastach mieszkają ludzie cywilizowani, którzy tego nie robią.

– Możemy, jeżeli między wioskami a miastami nie istnieje żadna łączność – upierał się przy swoim Nnamdi. – Albo jeżeli wieśniacy należą do całkiem innej rasy. Zwróciłem uwagę, że na razie ani Moff, ani Kimmeron, nie powiedzieli nic o tych wioskach.

Telek wyczuła, że i Pyre na nią patrzy.

– Dobrze byłoby jednak rozstrzygnąć tę wątpliwość – odezwał się, kiedy spojrzała w jego stronę.

Westchnęła.

– No dobrze, może macie racje – powiedziała z rezygnacją.

Sięgnąwszy po mikrofon sprzężony z kanałem translatora, przesłała grupie zwiadowczej związane polecenie. Pyre ponownie zwrócił uwagę na ekrany, czekając, kiedy Cerenkov zechce zapytać o to Moffa.

Nie musiał czekać długo. Pojazd zbliżał się właśnie do skrzyżowania z jedną z wąskich ulic, a kiedy ją mijał, implantowane kamery Joshuy ukazały rozmieszczone po obu jej stronach zapewne na stałe budki i domki. Na umieszczonych na wysokości bioder wystęпах pod otwartymi oknami rozłożono oferowane towary. Wokół budek kręciły się dziesiątki ludzi, oglądając wystawione na sprzedaż rzeczy lub prowadząc ożywione rozmowy ze sprzedawcami.

– To główne targowisko w tej części Sollas – odezwał się Moff, kiedy ich pojazd zatrzymał się przy krawężniku szerokiej ulicy obok innych zaparkowanych w tym miejscu samochodów. – Jeszcze osiem bardzo podobnych do tego mamy w innych dzielnicach miasta.

– Nie wygląda mi to na skuteczny sposób dokonywania zakupów – stwierdził Rynstadt, kiedy wysiedli z pojazdu i udali się w stronę targowiska. – Nie wspominając już o niewygodach w zimie czy w dni deszczowe.

– Ulicę można chronić w czasie złej pogody – rzekł Moff, pokazując im coś w górze. Joshua popatrzył w tamtą stronę, a Pyre ujrzał umieszczone na ścianach budynków na wysokości drugiego piętra dwa długie rzędy unoszonych jak zwodzone mosty części dachu. – A jeśli chodzi o skuteczność, wolimy patrzeć na to z punktu widzenia manifestacji naszej wolności i obywatelskich swobód. Brak tych swobód był jedną z przyczyn, dla której nasi przodkowie zdecydowali się na emigrację i przybyli na Qasamę. A kiedy już o tym mowa, nie powiedzieliście mi, dlaczego wasi przodkowie zrezygnowali z zasady dynastycznego sprawowania rządów.

– Do diabła – burknęła Telek, sięgając po mikrofon. – Postaraj się nie mieszać do tego polityki, Yuri – poleciła. – Powiedz, że chodziło tylko o żądzę przygód czy o coś w tym rodzaju.

– Przybyliśmy na Aventinę z różnych powodów – odezwał się Cerenkov do Qasamanina. – Żądza przygód, poznania nowych światów, niezadowolenie z naszego dotychczasowego życia... myślę, że to były te najważniejsze.

– Żadnej presji natury politycznej?

– Może niektórzy emigrowali, kierując się takimi racjami, ale nic nie wiem na ten temat – odpowiedział dyplomatycznie Cerenkov.

– Powiedz to pierwszym Kobrom – mruknął do siebie słuchający jego słów Pyre.

– Spokój! – uciszyła go Telek.

Grupa zwiadowcza wraz z eskortą wmieszała się tymczasem w tłum robiących zakupy Qasaman. Siedzący na ramieniu jednego z nich mojak nagle głośno skrzeknął, a Rynstadt na ten dźwięk odskoczył odruchowo w bok. Pyre także podskoczył na swoim krześle: zdążył już niemal zapomnieć o istnieniu tych wszechobecnych przeklętych ptaków.

– Czy wszystkie towary pochodzą z Sollas i z najbliższych okolic miasta? – zapytał Moffa Cerenkov, kiedy mijali stragan z leżącymi na nim starannie opakowanymi bochenkami chleba.

– Nie, prowadzimy handel z innymi miastami, a także z wioskami – odparł tamten. – Większość świeżych owoców i mięsa pochodzi z wiosek znajdujących się na wschód od miasta.

– Aha – rzekł Cerenkov, kiwnął głową i kontynuował oglądanie targowiska.

– Zadowolony? – zapytał Nnamdiego Christopher. Tamten spiorunował go wzrokiem.

– To wcale jeszcze nie oznacza, że wieśniacy są ludźmi – odparł z uporem. – Albo że mają takie same prawa jak mieszkańcy miast.

– Almo?

Pyre odwrócił się w stronę tapczanu, na którym spoczywał Justin.

– Co się stało? – zapytał.

– Ja... coś słyszę... jakiś pomruk... przekazywany mi przez Joshuę.

Chłopak urwał, a na jego twarzy odmalował się wysiłek, z jakim starał się oderwać część uwagi od sygnałów z czujników swojego brata, by mówić.

– Wydaje mi się... chyba staje się coraz głośniejszy. Christopher doskoczył do pulpitu sterowniczego i usiłował teraz określić dźwięk, jaki wzmacniacze słuchu Justina odbierały dzięki czujnikom implantowanym jego bratu.

– Kapitanie, to może nadlatywać jakiś samolot – rzucił Pyre w stronę mikrofonu interkomu.

– Panuję nad sytuacją – odpowiedział spokojnie F’ahl. – Na razie jeszcze nic nie widać.

W następnej chwili Pyre podskoczył niemal do sufitu świetlicy, kiedy z głośników monitora wydobył się ogłuszający ryk.

– O, rany! – wykrzyknął Christopher, sięgając do pokrętki siły głosu, które przed chwilą zdążył ustawić na maksimum.

Ryk zmienił się w nieco cichszy łoskot... a kiedy Pyre popatrzył na ekran, ujrzał, jak Qasamanie niemal biegiem opuszczają stragany i podążają ku szerokim alejom, ograniczającym z obu stron targowisko.

– Co się dzieje? – zapytał Cerenkov Moffa, kiedy ujrzał, że i eskortujący ich dotychczas mężczyźni kierują się w tę samą stronę, co wszyscy zebrani na targowisku. Po chwili do pierwszego dźwięku dołączył się drugi, a Pyre zwrócił uwagę, jak w pośpiechu usuwano z szerokich ulic samochody, wprowadzając je zapewne do wąskich ulic.

– Do miasta przedostało się stado bololinów – wyjaśnił Moff Cerenkovowi. – Trzymajcie się na uboczu... nie macie przy sobie broni.

Telek schwyciła za mikrofon.

– Nie przejmujcie się tym poleceniem. Joshua, postaraj się znaleźć w takim miejscu, z którego będziesz mógł wszystko dobrze widzieć. Decker, może lepiej idź z nim.

Dwaj mężczyźni udali się w ślad za Moffem. Qasamanie najwyraźniej nie przejmowali się specjalnie tym, co się miało zdarzyć... a jednak, kiedy Pyre spojrział uważniej, dostrzegł, że tego samego nie dało się powiedzieć o mojkach. Każdy ptak w zasięgu wzroku Joshuy stroszył pióra, rozwijał skrzydła, jak gdyby chciał przygotować się do lotu, a także wykazywał inne oznaki podniecenia.

Kiedy Joshua i York precyzyjnie się przystanęli w trzecim rzędzie stojących wzdłuż szerszej ulicy gapiów, łoskot można było usłyszeć całkiem wyraźnie.

– Gotów – dobiegło ich słowo znanej komendy usłyszane w świetlicy dzięki czujnikom Joshuy.

W następnej chwili jeden ze stojących w pierwszym rzędzie Qasaman wyciągnął pistolet i unióśł lufę, najwyraźniej przygotowując się do oddania strzału. Po sekundzie to samo słowo powtórzyło kilkunastu innych i wkrótce cały pierwszy rząd Qasaman uczynił to samo. Pyre zauważył, że stojący po drugiej stronie szerokiej alei tubylcy także trzymają broń gotową do strzału.

– Decker, możecie znaleźć się w krzyżowym ogniu – zawołał do mikrofonu trzymanego wciąż przez Telek, nie przejmując się, że w ten sposób może zagłuszać polecenia, jakie wydawała. – Uważajcie, żeby się wam nic nie stało.

Łoskot przerodził się w ogłuszający huk... i po chwili ujrzeli pierwszą falę zwierząt.

Pyre w tej samej chwili zrozumiał, dlaczego Qasamanie uznawali za celowe nie rozstawać się z bronią. Przerazał go nie tylko widok stada zwierząt gnających

samym środkiem miasta, ale fakt, że każde pojedyncze stworzenie mogło być bardzo groźne dla człowieka. Bololiny mierzyły ponad dwa metry długości, były bardzo ciężkie i wyglądało na to, że kopytami mogły kruszyć skały. Z masywnych łbów wystawały dwa paskudnie wyglądające rogi, a wzdłuż grzbietów biegły szerokie pasy z wystającymi z nich ostrymi, trzydziestocentymetrowej długości kolcami, jakich nie powstydziliby się żaden nawet najbardziej wybredny aventiński kolczasty lampart. W zasięgu wzroku znajdowały się setki takich zwierząt, tłocząc się fala za falą, a do miasta napływały wciąż następne... i kiedy Pyre odruchowo zastygł w pozycji właściwej do przyjęcia walki, Qasamanie otworzyli ogień ze swoich pistoletów.

Christopher wypluł z siebie słowo, które brzmiało jak przekleństwo, a i Pyre, chociaż mógł się domyślić, czego należy oczekiwać, poderwał się, słysząc odgłosy tych strzałów. Dominium przestało posługiwać się taką bronią palną już dawno, zastępując ją bardziej skutecznymi laserami czy ręcznymi wyrzutniami ładunków rakietowych, ale ten postęp widocznie nie dotarł na Qasamę. Pistolety stojących przed Joshuą tubylców trzaskały niczym wybuchające miniaturowe granaty... a niektóre bololiny ze stada zatrzymywały się nagle w biegu i padały na ziemię.

Pyre, który właśnie spoglądał na jednego z tych czworonogów, kiedy zwierzę zostało trafione, i dzięki temu był pierwszą osobą w świetlicy, która dostrzegła płowego, dosyć dużego ptaka, unoszącego się z grzbietu zastrzelonego bololina.

Okazał się niemal o połowę większy od mojoka, lecz chociaż bardzo szybko poszybował w górę, Pyre dostrzegł, że podobnie jak mojok, wygląda na drapieżnika. Przedtem musiał się chować we wgłębieniu pośrodku lasu kolców na grzbiecie bololina... W chwilę później na pojawienie się ptaka zareagował wzrok Joshuy kiedy Moreau popatrzył w górę, Pyre ujrzał aż kilkanaście krążących w powietrzu ptaków. Zapewne tak jak pierwszy odłączyły się od ginących zwierząt.

A z obu stron, kierując się w ich stronę, nadlatywała gromada mojoków.

– Oszalały – odezwał się na ich widok Christopher tak cicho, że tylko z trudem można było usłyszeć go w huk strzałów. – Tamte są od nich o wiele większe...

– I sprawiają wrażenie drapieżników – burknęła Telek. – Coś tutaj mi się nie zgadza. Drapieżniki na ogół nie atakują innych drapieżników. Joshua! Nie spuszczaaj oka z obu stad tych ptaków.

Obraz znieruchomiał, a Pyre przyglądał się z chorobliwą fascynacją, jak jeden z mojków nadleciał z góry i od tyłu nad większego ptaka, rozczapierzywszy szpony. Zderzył się z nim... mocno schwycił... i przez kilka długich sekund trzymał, wykonując przy tym dziwne ruchy. Jego ofiara wyrywała się, chcąc się oswobodzić – nadaremnie – a kiedy zrezygnowała i zaczęła lecieć prosto...

Mojok rozwinął skrzydła, wypuścił ptaka ze szponów i odleciał. Nie usiłując ścigać ofiary, zatoczył leniwie kilka kręgów i zaczął obniżać się ku tłumowi Qasaman.

– Co, do ciężkiej cholery, tu się dzieje? – mruknęła Telek. Nawet Pyre nie mógłby wyrazić tego bardziej dobitnie. Joshua skierował wzrok z powrotem na ulicę. Stado bololinów już zniknęło i mimo zasłony opadającego kurzu można było zobaczyć ze dwadzieścia zabitych, w mniejszym lub większym stopniu zmasakrowanych zwierząt. Jeden z Qasaman – Pyre zorientował się, że był nim Moff – wyszedł na środek ulicy i uważnie rozejrzał się na boki. Później umieścił pistolet w olstrze i powrócił na chodnik. Pozostali Qasamanie, jakby tylko na to czekali, także schowali broń – niemal wszyscy równocześnie. Po chwili tłum zaczął się rozchodzić.

Telek ścisnęła mikrofon w dłoni jeszcze mocniej.

– Yuri i pozostali, dowiedźcie się wszystkiego, co się da, na temat tego, co się stało. Zwłaszcza dziwnego zachowania ptaków.

Pyre powtórzył ten rozkaz, chociaż nieco ciszej. Zrobił to, chociaż wątpił, żeby grupie zwiadowczej było potrzebne takie ponaglenie.

Joshua z pewnością nie potrzebował, żeby Telek przypominała mu o czymś tak oczywistym. Płonąc z ciekawości, nie mógł się wprost doczekać, kiedy Moff przeciśnie się przez tłum rozchodzących się ludzi i kiedy będzie mógł zadać mu pierwsze pytanie:

– W jaki sposób te zwierzęta tak łatwo przedostały się do miasta?

Moff zmarszczył brwi i zaczął spoglądać to na niego, to na Yorka.

– Powiedziałem wam, żebyście trzymali się od tego z daleka.

– Przepraszamy. Co robiły te... bololiny, tak je nazywacie? Co robiły w samym środku miasta?

W tym czasie dołączyli do nich Cerenkov i Rynstadt, a także większość qasamańskiej eskorty.

– Bololiny od czasu do czasu wędrują – odezwał się niechętnie Moff. – Gromadzą się wówczas w stada i biegną. Sami chyba przyznacie, że nie ma siły, która mogłaby powstrzymać takie stado. Budujemy więc nasze miasta w ten sposób, żeby zwierzęta, o ile to możliwe, mogły przedostać się na drugą stronę bez wyrządzania szkody.

York popatrzył na leżące na ulicy szczątki bololinów.

– To znaczy bez wyrządzania wam szkody – powiedział.

– Za chwilę pojawią się ekipy, które zabiorą je do przetwórnicy – odparł Moff.

– Nie zmarnuje się ani mięso, ani skóry.

– Czy nie byłoby rozsądniej oddzielić kilka sztuk od stada i przed zabiciem zapędzić do jakiejś zagrody? – dociekał York. – Pozwalanie, żeby zostały tak strątowane, nie wpływa korzystnie ani na stan mięsa, ani skóry.

– O co chodziło podczas bitwy mojków i tamtych innych ptaków? – zapytał Joshua, zanim Moff miał czas odpowiedzieć. – Czy mojoki zawsze polują w taki sposób, nawet jeśli nie zamierzają żywić się swą zdobyczą?

– Żywić?... Ach, o to chodzi.

Moff wyciągnął rękę i pogłaskał nią swojego mojoka po szyi.

– Tarbiny nie są ich pożywieniem. Mojokom są potrzebne w celach rozrodczych. Cerenkov – powiedział, odwracając się od Joshuy plecami. – Będziemy musieli zakończyć zwiedzanie targowiska, o ile mamy zdążyć do galerii sztuki w tym czasie, który wyznaczono wam na zwiedzanie. Jeżeli chcesz, będziemy mogli powrócić tu kiedy indziej.

– Oczywiście – odparł Cerenkov, lecz zanim udał się w ślad za Moffem w kierunku pojazdu zaparkowanego teraz w jednej z wąskich przecznic, obrzucił przeciągłym spojrzeniem szczątki zabitych bololinów. – Czy takie sytuacje zdarzają się tu często?

– Czasami. W ostatnich dniach jakby trochę częściej. Widocznie większość tych zwierząt nagle postanowiła przenieść się w inne miejsce. Nie ma jednak najmniejszych powodów do niepokoju. Prawdopodobieństwo, że znajdziecie się w pobliżu ulicy, którą będą biegnęły, jest bardzo małe, a gdyby nawet się tak stało, za wczasu ostrzegą was syreny rozmieszczone na dachach domów w różnych punktach miasta. Pospieszcie się, nie mamy zbyt dużo czasu.

Rozmowy umilkły. Kiedy kierowali się w stronę wozu, Joshua trącił łokciem Yorka i trochę zwolnił. York poszedł w jego ślady, a gdy Moff i pozostali oddalili

się o kilka kroków, Joshua sięgnął do zawieszzonego na szyi mikrofonu tłumacza i zakrył go kciukiem.

– Spędziłeś wiele lat na różnych światach – powiedział cicho, zwracając się do niego. – Czy zdarzyło ci się kiedyś widzieć samca i samicę tego samego gatunku, które tak bardzo różniłyby się od siebie?

York nieznacznie wzruszył ramionami i także położył dłoń na mikrofonie.

– Widziałem i mówiono mi o różniących się jeszcze bardziej od tych... ale nigdy nie słyszałem o parzeniu się, które wyglądałoby na tak bezpardonowy atak. Niemal jak... do diabła, nie mogę tego określić w inny sposób... niemal jak gwałt.

Joshua poczuł, że po plecach przechodzą mu ciarki.

– Tak to wyglądało, prawda? Mojoki zaatakowały je jak kondorynki pikujące na króliki.

– A tarbiny robiły, co mogły, żeby się ich pozbyć. Mówię ci, Joshua, tu dzieje się coś wstrętnego.

Idący przodem Moff obejrzał się za siebie. Starając się, by wyglądało to naturalnie, Joshua opuścił rękę i przyspieszył, a idący u jego boku York uczynił to samo. Joshua wiedział, że będzie trzeba wymyślić jakiś sposób, by przekazać tę informację Cerenkovowi tak, żeby Moff się nie dowiedział... gdyż jeśli zachowanie mojków podczas parzenia miało stanowić dowód istnienia jakiejś ważnej miejscowej reguły biologicznej, dobrze byłoby wiedzieć o tym jak najwcześniej.

Było też jasne jak słońce, że pozostali, unieruchomieni na pokładzie „Dewdrop”, nie będą mogli zrobić nic, by im pomóc.

– Nie – rzekła stanowczo Telek i pokręciła głową. – Zdecydowanie się sprzeciwiam. To szaleństwo.

– To nie jest szaleństwo – odparł Pyre. – To możliwy do wykonania i praktyczny sposób. Nie istnieje żaden inny, w jaki można byłoby zdobyć potrzebne dane.

Popatrzył na ekran monitora na widniejącą na nim mapę

Sollas i czerwoną plamę, będącą komputerowym oszacowaniem miejsca, w którym znajdowało się teraz stado bololinów.

– Mamy najwyżej piętnaście minut, żeby skorzystać z pojawienia się tego stada – dodał.

– Znajdziesz się tam sam, w nie znanym ci terenie i otoczony najprawdopodobniej wrogimi ci ludźmi – burknęła Telek, niemal ze złością zaginając kolejne palce. – Będziesz miał ograniczone możliwości komunikowania się ze statkiem i absolutnie żadnych z tubylcami, jeśli się z nimi spotkasz. Poza tym najpewniej nie będziesz miał żadnej szansy, by wrócić tak, żeby cię nie spostrzegli. A to znaczy, że gdyby ci się coś stało, zmusisz mnie do wybierania między twoim życiem a interesem całej wyprawy.

– A jeżeli nie pójdę, może już nigdy się nie dowiemy, dlaczego samce mojków gwałcą swoje samice – odrzekł cicho Pyre. – Ani dlaczego tarbiny podróżują na grzbietach bololinów. A jeżeli już o nich mowa, dlaczego bololiny tak trudno utrzymać z daleka od miast.

Telek popatrzyła na Christophera i Nnamdiego.

– No, co? – zapytała, domagając się odpowiedzi. – Odezwiście się. Powiedzcie mu, że jest szalony.

Obaj naukowcy wymienili spojrzenia, a Christopher niechętnie wzruszył ramionami.

– Pani gubernator, przybyliśmy tu, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe – powiedział, nie patrząc ani na Telek, ani na Pyre’a. – Przyznaję, że to niebezpieczne... ale Almo ma rację, że bololiny zapewne już nigdy nie znajdą się tak blisko statku.

– A poza tym jest Kobrą – dodał Nnamdi.

– Kobrą. – Pani gubernator niemal wypluła to słowo. – Czy to znaczy, że uodpornił się na nieszczęśliwe wypadki i ukąszenia jadowitych węży?

Przez chwilę w świetlicy panowała cisza, kiedy Telek przeniosła wzrok na ekran monitora z widoczną na nim mapą Sollas.

– Mamy przygotowane pakiety ratunkowe ze wszystkim, co potrzebne do przetrwania – odezwał się cicho Pyre. – Jeden taki pakiet wystarczy na tydzień; mogę zabrać dwa. Wezmę ze sobą urządzenie do łączności laserowej. Będę mógł go używać, nie wychodząc z lasu, tak żeby nie dostrzegli tego Qasamanie. Widziałem też kiedyś, jak posługiwano się polowym analizatorem biologicznym, i jestem pewien, że umiałbym pobrać dla pani próbki czy nawet samemu dokonać analizy, gdyby okazało się to konieczne. Co więcej, mógłbym zabrać kilka składanych, przenośnych zamrażarek, gdyby chciała pani mieć tarbina, żeby zbadać go dokładniej.

Telek pokręciła głową, nie odrywając jednak wzroku od ekranu.

– Jesteś dowódcą Kobr – powiedziała w końcu. – Rób, co uznajesz za konieczne.

Nie było to entuzjastyczne poparcie, ale Pyre musiał zadowolić się tym, co uzyskał. Stado bololinów znajdowało się już tylko o kilka minut drogi od ich statku.

– Michael, Dorjay, przygotujcie dwa pakiety ratunkowe i sprzęt łączności laserowej do służby luku towarowego – rozkazał.

Obaj potwierdzili przyjęcie polecenia, a Pyre wybiegł ze świetlicy do kabiny, żeby przebrać się w kombinezon bardziej odpowiedni do zejścia na ląd. Polowy analizator biologiczny, o którym mówił, był umieszczony w schowku w pobliżu luku towarowego. Pyre wiedział, że będzie mógł go stamtąd zabrać tuż przed wyjściem. Sam luk towarowy znajdował się po przeciwległej burcie statku, niewidocznej od strony miasta. Pyre sądził, że powinno to umożliwić mu zejście na ląd tak, aby kadłub statku zasłaniał go przed widokiem Qasaman. Później pozostanie mu tylko liczyć na to, że bololiny naprawdę wędrują po szlakach biegnących wzdłuż linii pola magnetycznego... i że pasy startowe lotniska są tak zakurzone, jak na to wyglądają.

W trzy minuty później był już przy służbie luku towarowego. W następnej minucie, obładowany jak juczne zwierzę, opuścił służę i trzymając się kadłuba „Dewdrop”, zaczął kierować się ku rufie. Tętent kopyt bololinów mógł teraz słyszeć nawet bez włączonego wzmacniacza słuchu. Szybki rzut oka na pas startowy upewnił go, że zwierzęta naprawdę nie zamierzają zbaczać ze swojego szlaku, dzięki czemu skraj stada powinien minąć statek w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Zobaczył też, że za pierwszymi zwierzętami zaczyna się już unosić kurz, gęstniejący z każdą chwilą i przysłaniający mu widok leżącego w oddali miasta. Nabrawszy głęboko powietrza w płuca, Pyre popatrzył na skraj lasu i przygotował się do biegu.

Pierwsza fala bololinów z łoskotem mijała właśnie statek. Pyre zczekał, aż przebiegnie obok niego kilka następnych zwierząt, a potem odepchnął się od kadłuba i pobiegł, kuląc się, żeby w jak najmniejszym stopniu zwracać na siebie uwagę. Czując, jak różne przedmioty ekwipunku obijają się o plecy i nogi, biegł po łuku mającym doprowadzić go na odległość metra od skraju stada pędzących i sapiących czworonogów.

Kiedy tam dotarł, od razu zrozumiał, że najbliższym zwierzętom wcale się to nie spodobało. Dwa czy trzy odłączyły się od reszty i z pochylonymi łbami usiłowały natrzeć na niego rogami, ale nawet nie posługując się zaprogramowanymi odruchami, Pyre poruszał się szybciej i zwinnie niż ciężkie, rozpędzone stwory,

toteż zdołał je wyminąć bez najmniejszego trudu. Znacznie bardziej dokuczliwe – i nieoczekiwane – okazały się ich dwumetrowe, giętkie jak bicze ogony, których wcześniej nikt jakoś nie zauważył. Gdyby pierwsze chłaśnięcie takim biczem wyładowało nie na jego plecaku, a gdzie indziej, bez wątpienia pozostawiłoby bolesną pręgę albo nawet głęboką ciętą ranę. Tym razem władzę nad ciałem Pyre'a musiał przejąć nanokomputer, pozwalając mu zachować równowagę podczas biegu.

Do skraju lasu pozostało mu już tylko kilkanaście metrów i kiedy pędzące stado znalazło się bardzo blisko, Pyre skręcił w bok i mknął dotąd, aż rzuciwszy za siebie błyskawiczne spojrzenie, stwierdził, że widzi tylko zieleń.

Przystanął i przez dłuższą chwilę tkwił bez ruchu z włączonymi wzmacniaczami wzroku i słuchu. Obracał się powoli, by jak najlepiej zapoznać z nowym otoczeniem. Stopniowo tętent kopyt bololinów cichł, dzięki czemu Pyre mógł słyszeć przeróżne ćwierkania, szczebioty i piski ptaków, owadów i Bóg wie jeszcze jakich stworzeń. Między drzewami i pod krzakami dostrzegał jakieś mniejsze czworonogi, a raz wydało mu się, że słyszy odgłosy polowania jakiegoś o wiele większego zwierza.

Z wolna zaczęło mu świtać w głowie, że może to nie był najrozsądniejszy pomysł, jaki mu kiedykolwiek przyszedł na myśl.

Nie pozostawało jednak nic poza dokończeniem tego, co zaczął, i wywiązaniem się z obietnicy, jaką złożył gubernator Telek. Postawiwszy swój ekwipunek obok pnia dużego drzewa, upewnił się, że jego wzmacniacz słuchu jest nastawiony na maksimum, po czym zabrał się do pracy.

Rozdział jedenasty

– Jeżeli gdziekolwiek istnieje świat idealnie nadający się do kolonizacji, jest nim z całą pewnością ten – odezwał się z satysfakcją kapitan Shepherd.

Patrząc na szarobrazowy krajobraz, Jonny musiał przyznać mu rację. Jakikolwiek był powód, że w tym zakątku przestrzeni nie istniało nic oprócz cząstek kwasów nukleinowych, było jasne, że Kubha stanowi tego najlepszy przykład. Na planecie nie spotykało się niczego poza najbardziej prymitywnymi formami życia: jednokomórkowymi roślinami i stworzeniami oraz co najwyżej kilkoma setkami bardziej złożonych organizmów. Był to więc stan prawie całkowitej pustki, gotowej na przyjęcie każdego ekologicznego wzorca, jaki zechce narzucić planecie grupa pierwszych osadników.

Rzecz jasna, każdego wzorca, który mógłby przetrwać panujące tu upały.

Młody biolog z ogromnym trudem wspiął się na szczyt pagórka, na którym stali Jonny i kapitan Shepherd. Do piersi ostrożnie przyciskał pojemnik wypełniony po brzegi pobranymi przed chwilą próbkami.

– Dzień dobry panom – powiedział i kiwnął głową, zdmuchując przy tej okazji kroplę potu z czubka nosa. – Zapewne chcieliby panowie rzucić okiem na wstępne wyniki

testów porównawczych, zanim przekażę je do bazy danych komputera.

Jonny postarał się ukryć uśmiech, kiedy on i Shepherd pochylili się nad próbkami, żeby spojrzeć na mieszaniny miejscowych i awentińskich komórek. Tak jak przedtem na Chacie i Fusonie, tak teraz na Kubhie naukowcy nie szczędzili starań, żeby przekonać kapitana Shepherd'a o potrzebie poświęcenia na pobieranie i badanie próbek większej ilości czasu, a usiłowanie zainteresowania go wynikami było jednym z bardziej subtelnych sposobów osiągnięcia zamierzonego celu. Rzecz jasna, z góry skazanym na niepowodzenie. Rada stanowczo oświadczyła, że ma to być tylko wstępna wyprawa rozpoznawcza, a Shepherd był znany z tego, że zawsze bardzo poważnie traktował wydawane mu rozkazy.

– Ciekawe – rzekł kapitan i pokiwał głową, zwracając próbki biologowi. – Lepiej niech pan zostawi je w zamrażarce, jeżeli chce pan mieć więcej czasu na zbieranie następnych. Odlatujemy mniej więcej za dwie godziny.

Przez twarz biologa przemknął cień niezadowolenia.

– Tak jest – powiedział i odszedł w stronę „Menssany”.

– Wie pan o tym, że jest pan bezdusznym formalistą całkowicie pozbawionym żądy przygód? – zapytał go na wpół żartobliwie Jonny.

Wargi Shepherd'a lekko drgnęły.

– Tak o mnie powiadają. Rada jednak nakazała mi dokonanie krótkiego zwiadu, a ja mam zamiar ten rozkaz wykonać. Poza tym chciałbym być z powrotem, kiedy wróci „Dewdrop”, tak na wszelki wypadek, żeby...

– Cześć, Chrys – przerwał mu Jonny i odwrócił się, kiedy do nich podeszła, by ją powitać. Jego wzmacniacz słuchu uchwycił odgłosy jej cichych kroków, a ostatnią rzeczą, jaką Jonny zamierzał robić, było przypominanie żonie o „Dewdrop” z dwoma ich synami na pokładzie przebywającej teraz na obcej, niegościnniej ziemi. – Co o tym wszystkim sądzisz? – dodał, gestem pokazując krajobraz.

– Jak na mój gust, zbyt tu pusto – powiedziała, kręcąc głową. – Zawsze bałabym się, że tu straszy. Poza tym nie uśmiechałoby mi się smażyć się w tym upale.

Uważnie popatrzyła na Jonny'ego

– A co ty o tym sądzisz? – zapytała.

– Coś pięknego – odparł jak najbardziej poważnie. – Ten upał nie tylko pomaga na mój artretyzm, ale także przyspiesza bicie serca i krążenie, tym samym chociaż trochę kompensując moją anemię.

– Czy to znaczy, że chce pan zamienić anemię na atak serca? – burknął Shepherd. – Wspaniale. Czy nie byłoby jednak lepiej spędzić czas do startu na pokładzie, panie gubernatorze?

– Mojemu sercu nic nie będzie – sprzeciwił się Jonny. – Wszystko wskazuje na to, że pożyje jeszcze dwa lata po mojej śmierci.

– Jasne, z pewnością – odrzekł Shepherd i kciukiem pokazał w stronę „Menssany”. – Proszę na pokład, panie gubernatorze. Niech pan uważa to za rozkaz.

Przez chwilę Jonny'ego kusiło, żeby demonstracyjnie uznać się za osobę nie podlegającą kapitańskim rozkazom. Czuł się o wiele lepiej od chwili, kiedy znalazł się na świeżym powietrzu – zwłaszcza w miejscu, w którym nie czyhało na niego nic mającego kły, pazury, szczęki albo żądła. W ciągu kilku ostatnich godzin przed odlotem bardzo chciał móc nacieszyć się tym nowym światem. Pamiętał jednak o tym, co obiecał Chrys...

– No dobrze, niech będzie – mruknął w końcu. – Proszę jednak pamiętać, że protestowałem.

Odwróciwszy się, razem z Chrys zszedł ze wzgórza.

– Przynajmniej w tym wypadku rada nazwała ją we właściwy sposób – odezwała się Chrys, kiedy znaleźli się na równym terenie i mogli zwolnić kroku.

– Nazwała co we właściwy sposób? Kubhę?

– Uhm. Wiesz, te pięć gwiazd Południowego Krzyża asgardzkiego gwiazdozbioru...

– Wiem, w jaki sposób nadawano tym planetom nazwy – przerwał jej Jonny.

– No cóż, tak się składa, że tamta Kubha jest najcieplejszą z tamtych planet, a ta Kubha jest najgorętszą z tych, przynajmniej na razie. To musi być jakiś omen.

Jonny obruszył się.

– Nie przypisujmy ani radzie, ani wszechświatowi aż takich zasług – powiedział.

Twarz Chrys pojaśniała w uśmiechu.

– Hej, rozchmurz się – rzekła, ujmując go pod rękę. – Na razie wszystko idzie bardzo dobrze. Szczęście Jonny’ego Moreau nadal cię nie opuszcza, chociaż postanowiłeś się wybrać tylko na wycieczkę.

– Mhm. Jeżeli nie liczyć takich drobiazków jak obecność jadu żmijownika w analizatorze kwasu nukleinowego...

– To już naprawione – powiedziała. – Udało się nam to zrobić zaledwie przed dziesięcioma minutami. Właśnie dlatego mogłam wstać od biurka i wyjść, żeby zaciągnąć cię na pokład, choć kopiesz i wrzeszczysz.

Pokręcił głową z udanym rozdrażnieniem.

– Granie roli beztroskiego pasażera wychodzi ci jeszcze gorzej niż mnie.

– A ty jesteś tym zachwycony. No, przyznaj, że mam rację.

– Dlaczego? I tak przecież odeślesz mnie do mojego pokoju – odparł, starając się naśladować głos rozkapryszonemu pięciolatka. – A zawsze mi mówiłaś, że chcesz, żebym w pogodne dni bawił się na powietrzu.

Szturchnęła go pod zebro.

– Przestań się wygłupiać. Napadów złego humoru dzieci miałam powyżej uszu już dawno temu.

Uchwycił jej rękę i przełożył w taki sposób, by Chrys objęła go nią w pasie. Przez chwilę szli, nie mówiąc do siebie ani słowa.

– To byłaby idealna planeta do kolonizacji, prawda? – zapytała w końcu półgłosem. – Tym trudniej będzie nam odmówić.

– Troftom? Kiwnęła głową.

– Rada z pewnością zapragnie tego świata, a prawdopodobnie także innych. A jeśli zechce je posiadać, będzie musiała się zgodzić na wypowiedzenie wojny Qasamanom... bez względu na to, czy to rozsądne, czy głupie.

Jonny skrzywił się. Myślał mniej więcej o tym samym od czasu, kiedy zobaczył pierwszą z tych pięciu planet.

– Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że raport „Dewdrop” okaże się tak bezsporny, że w kwestii podjęcia decyzji w tej sprawie nasze stanowisko nie będzie musiało być brane pod uwagę.

– Raport „Dewdrop” opracowany przez Lizabet Telek? – rzekła Chrys i fuknęła. – Chyba żartujesz. Tak bardzo zależy jej na tych światach, że już teraz uważa je za swoją własność. Jeżeli zaś chodzi o Qasaman i ich umiejętność walki, w jej raporcie będą wyglądali jak sparaliżowane porongi.

– No, nie wiem, czy potrafi działać aż tak podstępnie – sprzeciwił się łagodnie Jonny. – Mając na pokładzie Alma, Justina i Joshuę, zapewne nie będzie mogła tak bardzo się mijać z prawdą.

Mimo to – pomyślał, kiedy minął Kobrę pilnującego wejścia do służby „Mensany” i znalazł się w klimatyzowanym, niemal lodowato zimnym wnętrzu statku – może nie zaszkodzi złagodzić o stopień czy dwa wymowy naszego raportu. Na przykład podkreślić stada płaskokopytnych czworonogów na Chacie czy plujące jadem wężowniki na Fusonie. Każda planeta ma przecież swoje wady... a naszym zadaniem jest tylko przedstawić je we właściwym świetle.

I mieć nadzieję, że rada nie potraktuje ich zbyt poważnie. Jak zwykle, chłodne powietrze statku już zaczynało fatalnie wpływać na jego dręczone artretyzmem stawy, przypominając mu przy każdym ruchu, że ostatnio zaniedbał trochę zażywanie lekarstw. Z pewnością nie zniósłby, gdyby bez istotnego powodu zrezygnowano ze świata tak idealnego jak Kubha.

Czy warto toczyć o niego wojnę... no cóż, tej decyzji nie musiał jeszcze podejmować.

Rozdział dwunasty

Zwiedzanie Sollas i jego najbliższych okolic trwało pełne sześć dni, w czasie których Cerenkov nie mógł wyjść z podziwu, w jaki sposób Qasamanie potrafili zająć im tyle czasu, nie pokazując właściwie niczego ciekawego.

A przynajmniej niczego, co miałyby jakiegokolwiek istotne znaczenie. Spędzili wiele godzin na zwiedzaniu galerii sztuki, muzeów i parków, a wieczory zajmowały zazwyczaj koncerty i pokazy tańca w sali widowiskowej przydzielonego im domu, a także długie rozmowy z burmistrzem Kimmeronem lub z innymi wysoko postawionymi osobistościami. Mimo wielokrotnych, chociaż bardzo uprzejmych próśb Cerenkova, nie pokazano przybyszom niczego przypominającego ośrodki łączności czy komputerowego przetwarzania danych. Nie pozwolono im też zapoznać się z możliwościami zakładów przemysłowych miasta.

A tymczasem takie zakłady musiały istnieć. Czasami gościom udawało się zobaczyć wiodące do miasta drogi, a panujący na nich niewielki ruch upewnił ich, że nie wszystkie potrzebne mieszkańcom Sollas rzeczy sprowadzano spoza miasta.

– Muszą znajdować się pod ziemią – stwierdził pewnego wieczoru Rynstadt, kiedy wszyscy czterej zwiadowcy odpoczywali w świetlicy łączącej obie przydzielone im sypialnie. – I to największe rafinerie, przedsiębiorstwa produkcyjne, zakłady przerabiania odpadów i tak dalej. Może istnieje nawet cała sieć podziemnych tuneli, którymi transportują te wszystkie wytworzone rzeczy.

– Z wyjątkiem niewielkich fabryk takich jak tamta rafineria boru, którą udało się nam zobaczyć pierwszego dnia? – wtrącił Cerenkov, wzruszając ramionami. – To możliwe. Powiedziałbym nawet, że prawie pewne. Wydaje mi się jednak, że nie jest to najlepsze rozwiązanie.

– To zależy od tego, co sobie postawili za cel – wtrącił się Joshua. – Pod względem estetycznym miasto jest czyste i piękne. Z pewnością przyjemnie w nim mieszkać i odpoczywać, zwłaszcza jeżeli ktoś musi pracować przez cały dzień pod ziemią.

– A może – odezwał się cicho York – po prostu nie chcieli, żeby ważne ośrodki przemysłowe mogły być łatwo dostrzeżone?

Cerenkov poczuł, jak zaciska zęby, i z trudem zmusił się do zachowania spokoju. Nie mówiąc tego na głos, York sugerował, że nawet w tej chwili Qasamianie podsłuchują, o czym mówią ich goście, i dlatego kierowanie rozmowy na tematy wojskowe może być niebezpieczne. Z drugiej strony, unikanie rozmów na tak oczywiste tematy jak obronność mogło wyglądać jeszcze bardziej podejrzanie. Dopóki więc York za bardzo nie ujawnia swoich profesjonalnych zainteresowań...

– O czym myślisz? – zapytał. – Że umieścili wszystko pod ziemią, żeby chronić swoją bazę produkcyjną przed atakiem?

– Albo przed zauważeniem – powtórzył York. – Przypomnij sobie, co zakładaliśmy na początku. Że są to potomkowie emigrantów, a może uchodźców, uciekających przed rzeczywistymi lub urojonymi prześladowaniami. Zapędzili się dalej, niż zamierzali, a później osiedli na Qasamie, ponieważ napędu umożliwiającego loty międzygwiazdne ich statku nigdy nie dało się już naprawić.

– Czy sądzisz, że po drodze mogli natknąć się na jakiś statek Troftów? – zapytał Joshua. – Kiedy odlatywali, Dominium zapewne nie wiedziało nic ani o nich, ani o Minthistach. Gdybym ja po raz pierwszy zobaczył taki statek obcych istot, zmykałbym tak długo, aż skończy mi się paliwo.

York kiwnął głową.

– Domyślam się, że i oni zrobili to samo. Wydaje mi się, że odlecieli na taką odległość od Dominium, na jaką pozwalały im zbiorniki paliwa ich statku. – Popatrzył na Cerenkova. – Przypuszczam, że od samego początku zaczęli budować swoje miasta pod ziemią, a zdecydowali się przenieść ich część na powierzchnię dopiero wówczas, kiedy zabrakło im miejsca pod powierzchnią i nie pojawił się nikt, kto chciałby ich zniszczyć.

– A później się okazało, że zbudowali je na samym środku szlaku, po którym wędrują stada bololinów – westchnąwszy, powiedział Cerenkov. – Z pewnością ktoś zaplanował to niezbyt mądrze.

– To jeszcze nie wyjaśnia, skąd wzięły się tamte wioski – odezwał się w zamysleniu Rynstadt. – Może jutro dowiemy się o nich czegoś więcej. Zakładając, że nie odwołają tej wycieczki.

Cerenkov wzruszył ramionami.

– O ile mi wiadomo, Moff i reszta zamierzają wywieźć nas z miasta z samego rana...

Przerwał, kiedy z oddali dobiegł ich dobrze im znany dźwięk syreny alarmowej. York skrzywił się.

– Znów bololiny. Myślę, że na ich miejscu wolałbym jednak pozostać pod ziemią, dopóki nie wymyśliłbym sposobu, żeby trzymać te przeklęte stworzenia z daleka od miasta.

Dobrze chociaż, że o tej porze ulice są wyludnione – pomyślał Cerenkov. – A przynajmniej powinny być. Ciekaw jestem, ilu ludzi ginie przez nie każdego roku.

– Sądzę, że musieli mieć jakiś inny powód – powiedział. – Może Moff któregoś dnia puści parę i zechce nam to wyjaśnić.

Pierwszy raz w ciągu całego tygodnia jestem na tyle blisko, że mogę któregoś zabić – pomyślał Pyre – a to przeklęte stado musiało wybrać się na wędrówkę nocą.

Z jego punktu widzenia sprawa, rzecz jasna, nie wyglądała tak źle. Dzięki wzmacniaczom wzroku mógł widzieć wszystko tak dobrze jak w pochmurne popołudnie, a z pomocą urządzeń powiększających obraz potrafił nastawić celownik na jakiegokolwiek pojawiającego się nad budynkami miasta tarbina. Po uchwyceniu go przez system naprowadzania na cel, mógł śledzić wybranego ptaka, dopóki nie znajdzie się nad lasem, a tam zestrzelić go bez obawy, że ktoś zauważy błysk lasera.

Problem polegał na tym, że o tej porze większość Qasaman przebywała w domach. Oznaczało to, że tylko niewiele bololinów padnie od kuł na ulicach miasta, a w związku z tym niewiele zapłodnionych przez mojoki tarbinów nadleci, żeby mógł na nie zapolować. Mruczając do siebie coś pod nosem, Pyre zacisnął w myślach kciuki i czekał na pojawienie się stada.

W końcu się doczekał, a wówczas się okazało, że jego pragnienia zostały spełnione, choć w dość nieoczekiwany sposób. Po drugiej stronie lotniska – mniej więcej o pół kilometra i na północny wschód od miejsca, w którym się znajdował – nagle w wysokim, smukłym budynku, który załoga „Dewdrop” na własny użytek ochrzciła mianem wieży kontrolnej, otworzyły się jakieś drzwi, oświetlając grupę wychodzących na pas startowy Qasaman. Po chwili tuż przy wyciągniętych dłoniach pojawiły się błyski światła, a kiedy kilka mojków podrywało się w powietrze, do uszu Pyre’a doleciały odgłosy strzałów. Czekał więc cierpliwie, znów zwróciwszy uwagę na stado. Po kilku następnych chwilach zaczęły pojawiać się tarbiny.

Możliwość naprowadzania na wiele celów równocześnie nie była standardową cechą wyposażenia wzmacniaczy wzroku Kobr od czasu wojny z Troftami,

ale grupa Pyre'a została w nie wyposażona i wprawiała się w ich używaniu przed odlotem na Qasamę, tak że Pyre nauczył się darzyć dużym szacunkiem nie tylko zalety, ale i wady tych urządzeń. Po uchwyceniu w celownik jednego lub kilku tarbinów, jego nanokomputer i serwomotory mięśni automatycznie pilnowały, żeby pierwsze strzały z laserów trafiły w zamierzone cele – i to nawet, gdy w pobliżu znajdował się jakiś drapieźnik, z którym powinny się rozprawić wcześniej. Pyre od czasu opuszczenia „Dewdrop” napotkał co najmniej dwadzieścia takich zwierząt – większość była podobna do ziemskiego psa albo małpy – ale żadne nie odważyło się go zaatakować. Ryzyko jednak istniało zawsze i Pyre musiał się z tym pogodzić. Nasłuchując więc, czy nie usłyszy jakichś podejrzanych dźwięków, uruchomił system naprowadzania na cel i czekał.

Nie musiał czekać długo. Tak jak przedtem, mojoki zaatakowały od góry, bez trudu radząc sobie z tarbinami, które próbowały uniknąć swojego losu. Tarbiny poderwały się jednak na tyle wcześnie, że większość nadleciała nad skraj lasu, jeszcze zanim ich mojoki zdążyły się od nich oderwać. Pyre nastawił celownik na dwa tarbiny, kiedy dopiero zbliżały się do skraju lasu, a później, tknięty jakimś przekornym impulsem, namierzył także jednego z trzymających je mojków. Ptaki zanurkowały między gałęzie drzew, oderwały się od siebie... a Pyre, wyciągnąwszy ręce, trzykrotnie wystrzelił z laserów małych palców dłoni.

Trzy ptaki spadły na leśne poszycie. Zaszeleściły uschnięte liście. Pyre podskoczył do nich i schylił się, by je podnieść, a potem szybko odbiegł na bok, nie chcąc dać się stratować zbliżającemu się stadu. Starając się trzymać przez cały czas z boku, przebiegł wraz z nim kilkaset metrów. Później, stanąwszy na prawej nodze, uniósł poziomo lewą, zatoczył nią niewielki łuk i wystrzelił z umieszczonego w niej przeciwpancernego lasera.

Pnie rozbłysły, odbijając światło, a trafiony bololin zwałił się na ziemię. Jego tarbin poderwał się i poszybował w niebo, ale nie zdążył przelecieć nawet dziesięciu metrów, kiedy trafił go następny strzał z lasera Pyre'a.

Po kilku minutach stado bololinów minęło go i zniknęło w mroku, a później stopniowo nastąpiła głucha cisza. Podniósłszy ostatniego tarbina, Pyre udał się ze zdobyczą w głąb lasu, gdzie ukrył składane zamrażarki. Wyciągnął je ze schowka i w środku umieścił zabite ptaki. Po chwili, kucnąwszy pod pniem jakiegoś dużego drzewa, postanowił zaczekać, nie spuszczając oka z zabitego przez siebie bololina.

Czekał tak przez godzinę, aż w oddali całkowicie ucichły odgłosy krzątania grupy Qasaman, zbierających zabite zwierzęta. W tym czasie Pyre słyszał także, jak jeden zbliżył się do skraju lasu i zaczął pogwizdywać, szukając zapewne mo-

joka, którego zastrzelił Pyre. Żaden Qasamanin nie odważył się jednak o tak późnej porze zagłębić między drzewa i żaden nawet nie zbliżył się do miejsca, w którym czekał Kobra.

W końcu, kiedy wszyscy odeszli, Pyre mógł zająć się przeniesieniem zabitego bololina w pobliże „Dewdrop”. Dzięki serwowatorom wspomagającym siłę mięśni nie było to bardzo trudne, ale aż czterokrotnie próbował uchwycić zwierzę w taki sposób, żeby nie stracić przy tym równowagi. Trochę czasu zmarnował też, szukając odpowiednio szerokiej ścieżki między drzewami, i kilkakrotnie się zastanawiał, jak, u diabła, te bestie radzą sobie z tym problemem.

W końcu jednak dotarł do miejsca, w którym zamaskował urządzenie do łączności laserowej. Włączył je i włożył słuchawki.

– Pyre do „Dewdrop” – mruknął. – Jest ktoś w domu?

– Tu porucznik Collins – usłyszał prawie natychmiast. – Sądzę, że gubernator Telek i wszyscy inni są wciąż w świetlicy. Proszę chwilę zaczekać, zaraz pana połączę.

– Świetnie – odparł Pyre.

Po chwili usłyszał w słuchawkach głos Telek.

– Almo? U ciebie wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. Mam tu ze sobą zabitego bololina i dwie zamrażarki pełne mojków i tarbinów. Chce pani, żebym rozstawił aparaturę, czy woli pani zaczekać, aż dostarczę je sam na statek?

– Masz tarbina? To wspaniale! Zapłodnionego czy nie?

– Mam i takiego, i takiego. Właśnie z tego powodu dysponuję nadprogramowym bololinem.

– Aha. Rozumiem. No cóż... sądzą, że powinnam zacząć od bololina, zanim dobierze się do niego jakiś padlinożerca. Czy umiałbyś podłączyć połowy analizator do urządzenia łączności laserowej?

– Oczywiście.

Rozstawienie polowego analizatora i podłączenie jego systemu sterowania do gniazda telemetrycznego urządzenia laserowego zajęło mu tylko kilka minut. W czasie, kiedy był tym zajęty, Telek włączyła swój pokładowy pulpit kontrolno-sterujący, wyposażony w monitory.

– U mnie wszystko gotowe – powiedziała. – A teraz odsuń się trochę na bok.

Zdalnie sterowany automat analizatora, przypominający trochę dużą, podwójną rozgwiazdę z wystającymi z przodu licznymi chwytakami i manipulacjami, podpełzł do boku bololina i zatrzymał się w miejscu, w którym u ziemskich zwierząt znajdowało się zazwyczaj serce. Z jednego ramienia wysunął się ostry skalpel, który rozciął ciemną skórę na boku zwierzęcia. Pyre upewnił się tylko, że rejestrujące kamery analizatora zostały dobrze przymocowane do pni sąsiednich drzew, a później oddalił się i zaczął zataczać kręgi wokół miejsca akcji. Ani on, ani Telek nie mogli dopuścić do tego, żeby w tej sekcji zwłok przeszkodził im jakiś padlinożerca czy zabłąkany Qasamanin... a poza tym Pyre nie bardzo chciał być świadkiem tego, co się dzieje.

Minęły trzy godziny, zanim powrót automatu na ziemię zasygnalizował, że operacja dobiegła końca... pozostałe po niej szczątki w najmniejszym nawet stopniu nie przypominały bololina. Starając się patrzeć w inną stronę, Pyre ponownie włożył słuchawki.

– Pyre – powiedział do mikrofonu.

– O, dobrze, że znów jesteś.

Jeżeli Telek była zmęczona, po jej głosie nie można było tego poznać.

– Nie zechciałbyś teraz otworzyć jednej z tych zamrażarek i wy dostać z niej tarbina? Myślę, że byłoby lepiej zacząć od tego nie zapłodnionego.

– Jest pani pewna, że woli pani dokonywać tej operacji tutaj? – zapytał ją z powątpiewaniem.

– Dysponując tym automatem, mogę zrobić to równie sprawnie tam, jak w laboratorium – zapewniła go Telek. – A bardzo zależy mi na uzyskaniu odpowiedzi, zanim będziemy musieli odlecieć. A przynajmniej upewnić się, że wiem, o co powinien pytać Yuri.

– Pani tu rozkazuje – odparł.

Odszukał właściwe urządzenie, otworzył je, wyjął ze środka zamrożonego ptaka i ułożył go na ziemi na kawałku wolnego miejsca. Automat nasunął się na niego, a Pyre zajął się znów patrolowaniem lasu.

Powracał jeszcze dwukrotnie: po raz pierwszy, żeby zastąpić leżące szczątki zapłodnionym tarbinem, i powtórnie, by ułożyć mojoka. Za każdym razem zastanawiał się, jak długo jeszcze Telek będzie mogła przeprowadzać tak delikatne operacje bez snu czy chociażby krótkiego odpoczynku. Ona jednak najwyraźniej była w swoim żywiole. Kiedy światło sygnalizujące pracę automatu w końcu zgasło, niebo na wschodzie zaczęło lekko jaśnieć.

– No, i co? – zapytał Pyre, kiedy zaczął zbierać i składać części analizatora.

– Nie jestem jeszcze pewna – powiedziała z namysłem Telek. – Dane wydają mi się dosyć przekonujące... to raczej ja nie wiem, czy mogę w nie uwierzyć. Wygląda mi na to, że mojoki i tarbiny należą do dwóch całkiem różnych gatunków ptaków... a mojoki nie tyle zapładniają je, co zaszczepiają.

– Co robią?

– No cóż... jedyny zewnętrzny organ płciowy mojoka przypomina organiczną igłę od strzykawki. Funkcjonuje zaś w taki sposób, że wstrzykuje płyn nasienny, który zamiast kompletnych komórek spermowych zawiera same jądra, bardzo podobne zresztą do tych, jakie mają wirusy. Te jądra... wciąż jeszcze są to wstępne dane, ale wygląda na to, że wnikają w niektóre komórki na grzbiecie tarbina i zamieniają je w embriony mojoków.

Pyre przez cały ten czas wpatrywał się w rozwłócone po ziemi szczątki mojoka. W brzasku budzącego się dnia było widać, że zaczynają się już interesować nimi pierwsze owady i robaki.

– To... to wstrętne – powiedział w końcu.

– Też jestem tego zdania – westchnąwszy, zgodziła się z nim Telek. – Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej to wszystko układa się logicznie. W ten sposób mojoki powierzają zarówno karmienie, jak i ochronę swoich młodych innym ptakom, prawdę mówiąc, całkiem odmiennym gatunkowo, i w ten sposób nie muszą się troszczyć o potomstwo.

– Ale co sprawia, że tarbinom chce się z tym wszystkim żyć, skoro w końcu i tak embriony mojoka je zabiją? – sprzeciwił się Pyre. – I co z nauką, jaką większość młodych ptaków musi otrzymać od rodziców?

W słuchawkach usłyszał głos Christophera.

– Zapewne masz na myśli zachowanie się owadów. Jeden gatunek składa jaja w organizmie drugiego, który później staje się pożywieniem dla larw, kiedy te się wylęgną. W tym jednak przypadku młody mojok nie musi zabijać swojego nosiciela. Jeżeli zwrócisz uwagę na to, w jaki sposób układają się fałdy skóry i mięśnie na grzbiecie tarbina, będziesz wiedział, że może ona zostać rozdarta i później zasklepiona bez wyrządzania ptakowi krzywdy i bez uszczerbku dla jego zdolności lotu.

– Rzecz jasna, jeżeli przyjąć, że mojok się wykluje, zanim stanie się zbyt duży – dodała Telek. – A jeżeli chodzi o naukę po wykluciu, mózg mojoka ma chyba większą proporcję bogatej w sieć nerwową części „pierwotnego programowa-

nia" niż mają zwierzęta ziemskie czy awentińskie, które zdarzyło mi się badać. To, rzecz jasna, na razie tylko przypuszczenia, qasamańska biochemia nie musi być analogiczna do naszej...

- A poza tym zwęgliłeś część tkanki mózgowej, kiedy zestrzeliwałeś tego ptaka - wtrącił się Christopher.

- Zamknij się, Bill - ofuknęła go Telek. - Tak czy inaczej, jest bardzo prawdopodobne, że młode mojoki po prostu rozrywają skórę na grzbiecie tarbina, a później odlatują każdy w swoją stronę i wiją sobie gniazda w lesie.

- Albo na ramionach Qasaman - rzekł Pyre i zmarszczył brwi, jak gdyby nagle przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. - Na ramionach Qasaman... w taki sam sposób, w jaki tarbiny podróżują na grzbietach bololinów?

- Więc i ty dostrzegłeś to podobieństwo, prawda? - ucieszył się Christopher. - Najciekawszy w tym wszystkim jest fakt, że i tarbiny mają takie same organy płciowe w kształcie igieł jak mojoki.

- Tak samo zresztą jak bololiny - dodała Telek. - Chociaż Bóg jeden wie, jakie zwierzęta mogą być gospodarzami ich embrionów. Może obdarzają się nimi nawzajem, koniec łańcucha musi przecież funkcjonować w inny sposób.

- Każdy ma swoją zabę, co przed nim ucieka - zacytował fragment starego powiedzenia Pyre.

- „...i swojego zająca, którego się boi” - dokończyła za niego Telek. - I tak w nieskończoność. Jesteś trzecią osobą, która dziś w nocy zwróciła na to uwagę. Ja byłam pierwszą.

- Mhm. No cóż... czy nasza grupa zwiadowcza w dalszym ciągu wybiera się dziś na wycieczkę?

- Tak. Myślę, że powiadomię ich o wynikach badań, kiedy się tylko zbudzą. Może Yuri będzie mógł wycisnąć z Moffa jeszcze trochę informacji.

Telek przerwała, a Pyre usłyszał stłumione ziewnięcie, przy którym aż trzasnęły stawy jej szczęki.

- Lepiej teraz wskakuj do śpiwora i trochę się zdrzemnij, Almo - powiedziała - sędzę, że w tych okolicznościach możesz darować sobie badanie tej nad-rzecznej fauny, o którym mówiliśmy wczoraj... na jakiś czas mam dość danych, którymi muszę się zająć.

- Nie będę się sprzeciwiał - odrzekł Pyre. - Odezwę się, kiedy się obudzę.

– Tylko postaraj się, żeby cię nikt nie zauważył. Dobrej nocy... a może raczej dobrego poranka.

– Tego samego pani życzę.

Wyłączywszy urządzenie do komunikacji laserowej, Pyre poświęcił kilka następnych chwil na staranne zamaskowanie i jego, i elementów polowego analizatora. O kilkanaście metrów od tego miejsca rosło drzewo, w gałęziach którego miał kryjówkę. Drzewo było dość grube i wysokie, a najniższe gałęzie wyrastały z pnia na wysokości mniej więcej pięciu metrów. Wspomagany przez serwomotory skok wyniósł go tam, a po wspięciu się o kilka gałęzi wyżej Pyre dotarł do swego schronienia. Składał się na nie jednoosobowy wodoodporny śpiwór-hamak zawieszony pod jedną z grubszych gałęzi i otoczony plecionką zrobioną z cieńszych witek, sklejonych w konstrukcję przypominającą klatkę. Pyre czuł się co prawda trochę dziwnie, kiedy musiał tam zasypiać, ale uznał ją za najprostszy sposób zapewnienia sobie ochrony przed atakiem drapieżnika, bez względu na to, jak mocno by spał i jak cicho chciałby zbliżyć się do niego ów drapieżnik.

Znalazłszy się w środku, starannie zamknął wejście klatki i z głębokim westchnięciem wsunął się do hamaka. Przez minutę rozważał, czy nie nastawić alarmu, ale ostatecznie zrezygnował. Jeśliby działo się coś złego, ci na „Dewdrop” zawsze mogli się z nim skontaktować za pomocą tkwiącej mu w uchu awaryjnej minisluchawki. Gdyby zaś bardzo dokładnie skupili strumień światła lasera, było mało prawdopodobne, żeby dostrzegł go nawet najbystrzejszy obserwator z wieży kontrolnej po drugiej stronie lotniska.

Wieża kontrolna. Jego zapadający w sen umysł na chwilę się rozbudził, kiedy Pyre przypomniał sobie grupę ludzi wybiegających z tego rzekomo opuszczonego budynku na lotnisko, żeby postrzelać do bololinów. Niewątpliwie ich obecność kłóciła się z funkcją, jaką oni przypisywali wieży – od czasu lądowania „Dewdrop” nie pokazał się ani jeden samolot. Jeżeli więc Qasamanie nie byli tam po to, by kierować ruchem na lotnisku, co właściwe tam robili? Obserwowali statek gwiazdny przybyszów? To całkiem możliwe. Dopóki jednak tylko obserwowali, nikomu to nie przeszkadzało.

Zamknawszy oczy, Pyre postarał się nie myśleć o tajemniczych nie dających znaku życia obserwatorach i po chwili zapadł w głęboki sen.

Rozdział trzynasty

Na czas wyprawy do odległych wiosek Moff zrezygnował ze znanego im odkrytego pojazdu i zastąpił go niewielkim autokarem. Powodu tej decyzji nie trudno było się domyślić; zaledwie o kilometr od Sollas droga zaczęła prowadzić obok lasów, które widzieli, będąc na orbicie, albo przez nie.

– To zwykły środek bezpieczeństwa – powiedział im w pewnej chwili Moff, tłumacząc zmianę środka lokomocji. – Odkryte pojazdy są rzadko atakowane, nawet przez krisjawy, ale jednak od czasu do czasu to się zdarza.

Joshua wzdrygnął się, kiedy o tym pomyślał, a potem po raz setny zaczął się zastanawiać, jaki diabeł opętał Pyre'a, że wybrał się sam do lasu – i co opętało Telek, że mu na to pozwoliła. Do szału doprowadzał go fakt, że ci z Dewdrop tak niewiele mówili im o wszystkim, co wiązało się z wyprawą Kobry. Uważał to za bardzo podejrzane. On i Justin podczas podróży z Aventiny często dyskutowali o powodach, dla których Pyre znalazł się na pokładzie statku, ale tej zagadki nie udało się im rozwiązać. Nigdy przedtem nie zastanawiał się, że może Telek chciała pozwolić, żeby zginął, eliminując tym samym przeciwnika, którego poglądy polityczne różniły się od jej własnych. Teraz jednak rozważał tę możliwość całkiem serio i im dłużej o tym myślał, tym mniej mu się to wszystko podobało.

Te problemy, przynajmniej na razie, nie były jednak największym powodem jego zmartwień. Pyre przekonująco udowodnił, że umie sobie radzić w qasamańskiej głuszy, a poza tym sensacyjne odkrycia biologiczne, jakich on i Telek dokonali w nocy, były zbyt fascynujące, by wolno mu było je lekceważyć. Wykształcenie Joshuy obejmowało tylko najbardziej podstawowe wiadomości z zakresu nauk biologicznych, ale nawet dla niego było jasne, że ekologia Qasamy bardzo różni się od czegokolwiek, co widział na światach Kobr, lub o czym słyszał w Dominium. Mógł tylko zgadywać, jakie ta odmienność może mieć znaczenie. Pozostali członkowie grupy zwiadowczej, rzecz jasna, także nie mieli szansy porozmawiania ze sobą na ten temat. Qasamanie nie mogli nawet podejrzewać, że przybysze coś wiedzą. Joshua dostrzegał jednak w oczach swoich kolegów te same trapiące ich wątpliwości. Spoglądając przez okno na jaskrawą zieleń liści mijanych drzew, niecierpliwie czekał, aż Cerenkov zacznie ostrożnie wypytywać Moffa o rzeczy, o które poleciła dowiedzieć się Telek.

Cerenkov był jednak bardziej cierpliwy czy może tylko umiał utrzymać swoją ciekawość na wodzy trochę dłużej, gdyż zaczekał, aż niemal cała pięćdziesięciokilometrowa podróż dobiegnie końca, zanim zdecydował się skierować rozmowę na te tory.

– Dostrzegam dosyć dużo małych ptaków latających między drzewami – odezwał się, wskazując na las. – Nie widziałem jednak żadnych tak dużych jak mojoki czy ich samice, które zwiecie tarbinami. Czy wiją gniazda w głuszy, czy też wychowują swoje młode w gąszczu kolców na grzbietach bololinów?

– Nie muszą ani wic gniazd, ani wychowywać młodych – rzekł Moff. – Młode mojoki rodzą się od razu z wszystkimi niezbędnymi im do przeżycia umiejętnościami.

– Naprawdę? A czy tarbiny nie muszą siedzieć w gnieździe przynajmniej przez czas potrzebny na wyklucie się pisklęcia z jaja?

– Nie znoszą żadnych jaj. Młode mojoki rodzą się od razu jako żywe ptaki. W tym sensie zresztą większość podobnych do ptaków stworzeń nie jest ptakami w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa.

– Aha.

Joshua niemal fizycznie czuł, jak Cerenkov stara się znaleźć takie pytanie, które nie ujawniłoby, że wie, iż Moff świadomie ich oszukuje.

– Interesuje mnie także związek, jaki istnieje między tarbinami a bololinami – powiedział w końcu. – Czy tarbiny są tylko pasożytami, czymś w rodzaju pasażerów na gapę, czy też może dają coś bololinom w zamian?

– Nie, ich wzajemne stosunki są oparte na większym równouprawnieniu – odparł Moff. – Tarbiny często pomagają bololinom bronić się przed drapieżnikami. Powszechnie się też sądzi, że w locie wyszukują im miejsca, gdzie rośnie najlepsza trawa.

– Sądziłem, że bololiny wolą wędrować wzdłuż linii pola magnetycznego planety – wtrącił się Rynstadt. – Czy mogą zbaczać z drogi za każdym razem, kiedy zechcą zatrzymać się na popas?

Moff obdarzył go przeciągłym spojrzeniem.

– Oczywiście. Linie pola magnetycznego pomagają im tylko w wędrówkach na północ do miejsc, w których się parzą, i z powrotem. W jaki sposób się tego domyśliłeś?

– Pomógł nam w tym widok szerokich ulic w Sollas – odezwał się szybko Cerenkov, zanim zdążył to zrobić Rynstadt. – Kierunki wszystkich tych ulic są zgodne z kierunkami linii pola, a inne ulice są zbyt wąskie, żeby którąś mogło biec choćby małe stado. Domyślam się, że pytanie Marcka ma związek z pewnym faktem, na który zwróciliśmy uwagę w Sollas, kiedy zobaczyliśmy pędzące ulicą stado. Otóż wszyscy mieszkańcy stali wówczas u samych wylotów wąskich przecznic, jakby świetnie wiedzieli, że zwierzęta nie zbczą z drogi ani trochę. Jeden z naszych kolegów na pokładzie statku zastanawiał się nawet, czy istnieje coś, co nie pozwala zwierzętom zbczyć o włos z wybranej przez nie linii.

– Nie, rzecz jasna, nic takiego nie istnieje – odparł Moff. – W przeciwnym razie wiele rozbiłoby sobie łby o ściany domów zamiast biec szerokimi alejami. – Tym razem w spojrzeniu, jakim obrzucił Cerenkova, kryła się jawna podejrzliwość. – W jaki sposób wasz towarzysz na statku mógł wiedzieć, gdzie stali mieszkańcy miasta?

Serce Joshuy na chwilę zamarło. Qasamanie żadnym gestem ani słowem nie dali po sobie poznać, że mogą coś wiedzieć o jego implantowanych czujnikach, ale poczuł się nagle tak, jak gdyby oczy całej eskorty zwróciły się w jego stronę. W ułamku sekundy powrócił do czasów dzieciństwa, kiedy jego matka bez żadnego trudu umiała mimo jego niewinnej miny dostrzec, że znów coś nabroił.

Cerenkov jednak nie przestał panować nad sytuacją.

– To żadna tajemnica. My mu o tym powiedzieliśmy – oznajmił tonem, w którym dźwięczało zdziwienie. – Opisałiśmy mu, co widzimy, kiedy ty i twoi ludzie polowaliście na bololiny. Naszych kolegów interesowało też dziwne zachowanie mojoków... a przynajmniej wydało im się bardzo dziwne to, co wówczas mogłem powiedzieć im na ten temat. Czy było coś w rodzaju godowego tańca albo zachowania, które przeoczyłem?

– Wygląda na to, że za bardzo interesujecie się mojokami – odrzekł Moff, świdrując Cerenkova ciemnymi oczyma.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– Czy widzisz w tym coś złego? Musisz przyznać, że związek Qasaman z nimi nie ma sobie równego w historii cywilizacji. Nie słyszałem o żadnym innym społeczeństwie, w którym ludzie dysponowaliby tak wszechstronnym środkiem zapobiegawczym. I to środkiem obronnym, nie zaczepnym, jak noszona przez waszych obywateli broń palna. Nie wątpię, że musiało to doprowadzić do wyeliminowania wszystkich przejawów agresji, począwszy od ulicznych bójek, a skończywszy na wojnie na wielką skalę.

Joshua zmarszczył brwi, kiedy sobie to uzmysłowił. Tak bardzo zajął się obserwowaniem drobiazgów i szczegółów qasamańskiego życia, że zupełnie przeoczył wzór, w jaki się układają. Cerenkov nie popełnił jednak tego błędu... a jeżeli jego wniosek był słuszny, może Troftowie mieli naprawdę o co się martwić. Cywilizacja ludzka mająca tyle silnej woli, by przełamać odwieczny nawyk polowania silniejszego na słabszego, musiała się nauczyć współpracy zamiast rywalizacji... i stać się potencjalną groźbą dla swoich sąsiadów bez względu na stopień rozwoju technicznego.

Tymczasem odezwał się znów Moff.

– Czy sądzisz, że osiągnęliśmy to dzięki naszym małym mojom? – zapytał, gładząc pióra na szyi ptaka. – Nie uważasz, że to zasługa naszych ludzi i ich filozofii życia?

– Oczywiście, że tak – wtrącił się znów Rynstadt. – Historia zna jednak wiele cywilizacji ludzkich, które długo i głośno mówiły o wolności i sprawiedliwości, a niczego właściwie nie zrobiły dla swoich obywateli. Wy, a zwłaszcza pierwsze pokolenie, które zaczęło oswajać mojomki, udowodniście, że ludzkość jest zdolna do wcielania w życie tych ideałów. Już samo to osiągnięcie sprawia, że kontakty między naszymi światami powinny okazać się korzystne, przynajmniej z naszego punktu widzenia.

– A zatem wasz świat nadal boryka się z wojnami? – zapytał Moff, zwracając się do Rynstadta.

– Na razie udaje się nam ich unikać – odparł wymijająco tamten. – W przeszłości zetknęliśmy się jednak z normalną ludzką agresją i trochę wysiłku nas kosztowało, zanim zdołaliśmy się z nią uporać.

– Rozumiem. – Przez chwile jechali w milczeniu, a później Moff wzruszył ramionami. – No cóż, jak pewnie się przekonacie, i my nie całkiem pozbyliśmy się agresji. Różnica polega tylko na tym, że nauczyliśmy się kierować ją na zewnątrz, ku zagrażającym nam niebezpieczeństwom, a nie do wewnątrz, na waśnie i walki między ludźmi.

To rzeczywiście niebezpieczne – pomyślał Joshua i po chwili, kiedy wszelkie rozmowy w autokarze umilkły, zobaczył odbicie tej samej myśli w oczach Cerenkova.

Po kilku następnych minutach ujrzeli przed sobą wioskę Huriseem.

Joshua pamiętał, że na pokładzie statku sprzeczano się, czy ciemne kręgi wokół wioski naprawdę są murami, ale teraz, zbliżając się do osady, nie miał

najmniejszych wątpliwości. Wzniesiony z ogromnych kamieni czy betonowych bloków i pomalowany na czarno mur otaczający Huriseem przywodził mu na myśl mroczny okres w historii cywilizacji Ziemi, na której toczono wówczas liczne, chociaż lokalne wojny. Widok muru w tym miejscu wydawał mu się przykrym zgrzytem, zwłaszcza po tym, co powiedział Moff zaledwie kilka minut wcześniej.

Usłyszał, jak siedzący obok niego York cicho chrząknął.

– Zaledwie trzymetrowej wysokości – mruknął. – I żadnych blanków ani strzelnic.

Moff jednak go usłyszał.

– Jak mówiłem, nie prowadzimy tu wojen – powiedział (trochę cierpko – pomyślał Joshua). – Zadaniem tego muru jest nie dopuścić do wioski bololinów i innych o wiele groźniejszych od nich leśnych drapieźników.

– To dlaczego nie zbudowano wioski zgodnie z tym samym wzorem, co Sollas? – zdziwił się Cerenkov. – W przypadku bololinów zdaje to egzamin całkiem dobrze, a nie widziałem żadnych drapieźników, które mogłyby chcieć się tam przedostać.

– Drapieźników nie widzi się w okolicach Sollas, bo mieszka tam zbyt wielu ludzi, a poza tym między miastem a lasem istnieje dość duża otwarta przestrzeń. Tutaj takie rozwiązanie byłoby nieskuteczne.

A więc wytnijcie część lasu rosnącego najbliżej wioski – pomyślał Joshua. Może jednak wycinanie lasów byłoby zbyt kłopotliwe.

Autokar w tym czasie jechał drogą wiodącą wzdłuż muru, aż dotarł do jego południowo-zachodniego skraju, gdzie w murze ujrzeni także pomalowane na czarno wrota. Widocznie nie tylko oczekiwano ich, ale i obserwowano, gdyż kiedy się do nich zbliżali, wrota zaczęły się otwierać. Autokar wjechał do środka, a Joshua obejrzał się za siebie i zobaczył, że wrota po chwili się zamknęły.

Ponury mur i otaczające wioskę lasy przygotowały podświadomość Joshuy na widok kilkunastu prymitywnych chat z dachami krytymi słomą, był więc trochę rozczarowany, kiedy wysiadł z autokaru i ujrzał ulice i domy niewiele różniące się od tych w Sollas. Z boku czekało już trzech mężczyzn, którzy podeszli do przybyszy, kiedy z autokaru wysiadł ostatni członek qasamańskiej eskorty.

– Witam pana, burmistrzu Ingliss – odezwał się Moff i kiwnął głową. – Pozwoli pan, że przedstawię panu naszych gości z Aventiny: Cerenkova, Rynstadta, Yorka i Moreau.

Podczas gdy burmistrz Kimmeron z Sollas wyglądał na jowialnego, burmistrz Ingliss potraktował ich ze śmiertelną powagą i lodowatą uprzejmością.

– Witam w Huriseem – powiedział i także lekko kiwnął głową. – Jak słyszałem, chcieliście dowiedzieć się czegoś więcej na temat życia mieszkańców naszych wiosek na Qasamie. Jeżeli wolno zapytać, jakiemu celowi ma to służyć?

A więc podejrzliwość Qasaman nie ogranicza się tylko do dużych miast – pomyślał Joshua. W pewien sposób był tym faktem rozczarowany jeszcze bardziej niż brakiem w Huriseem krytych słomą dachów.

Cerenkov wygłaszał w tym czasie starannie przygotowane przemówienie na temat korzyści płynących ze wzajemnych kontaktów handlowych i kulturalnych, a Joshua mógł rozejrzeć się po okolicy. W Huriseem nie było wysokich, pięciopiętrowych i wyższych domów, jakie widział w Sollas; nie było też różnobarwnych abstrakcyjnych malowideł na ich murach, ale poza tym wioska sprawiała wrażenie przeniesionego skądś indziej kawałka dużego miasta. Nawet obecność muru nie raziła go teraz już tak bardzo i patrzył na niego przez dłuższą chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że jego wewnętrzną ścianę pomalowano w barwny wzór przypominający ulice, budynki i nawet fragmenty lasu. Dlaczego więc zewnętrzna ściana pomalowana jest na czarno? – pomyślał i w nagłym olśnieniu, zrozumiał. – Czarny to kolor pni drzew. Rozpędzonemu bololinowi wioska musi jawić się jako ogromne drzewo i dlatego stara się ją ominąć. To zaś oznaczało...

Sięgnąwszy do szyi, zasłonił ręką mikrofon wiszącego na niej translatora.

– Odkryłem – mruknął cicho. – Malowidła na ścianach domów w Sollas mają sprawiać wrażenie, że to kępy drzew w lesie... te same barwy i tak dalej. Wszystko po to, żeby bololiny nie wystraszyły się i biegły prosto.

Czekał na odpowiedź tak długo, że aż zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek na pokładzie „Dewdrop” czuwa przy odbiorniku. W końcu usłyszał głos Nnamdiego.

– To ciekawe. Dziwaczne, ale całkiem możliwe. Myślę, że w dużym stopniu zależy od tego, jak dobry wzrok mają bololiny. Gubernator Telek wciąż śpi, ale powiem jej o tym, kiedy się obudzi, a wówczas zobaczymy, czy będzie wiedziała coś więcej na ten temat.

– Świetnie – rzekł Joshua – ale czy w tym czasie ty nie potrafisz wymyślić jakiegoś socjologicznego uzasadnienia, dlaczego tubylcy mogą chcieć, żeby stada bololinów przeciągały centralnymi ulicami Sollas?

– Ten mur zadaje kłam oświadczeniu Moffa, że po prostu nie mogą powstrzymać ich od tego – stwierdził po namyśle Nnamdi. – Zaczekaj chwilę... odwróć głowę trochę w lewo, dobrze?

Joshua posłusznie obrócił głowę o kilka stopni w żadaną stronę.

– O co chodzi? – zapytał.

– O ten obramowany na czerwono napis w pobliżu bramy. – Nic takiego nie widziałem w żadnym miejscu w Sollas. Poczekaj, uruchamiam translator wizualny...

Joshua przez kilka chwil stał nieruchomo, chcąc, by jego czujniki przekazały na statek wyraźny obraz.

– W porządku – usłyszał głos Nnamdiego. – Napis głosi: Terminy polowań na krisjawy w tym miesiącu to ósmy i dwudziesty drugi o dziesiątej. Jak wiem, dzisiaj mamy ósmy, o ile prawdziwe są dane, które uzyskaliśmy wcześniej. Ciekaw jestem, dlaczego zwracają sobie głowy umieszczaniem takich ogłoszeń, skoro mają do dyspozycji tyle innych środków komunikacji.

– Może mała wioska nie posiada takiej samej sieci łączności kablowej jak Sollas – zasugerował Joshua.

Wszystko wskazywało na to, że Joshua i Qasamanie kończą grzecznościowe rozmowy wstępne. Burmistrz Ingliss wskazywał właśnie w stronę odkrytego pojazdu bardzo podobnego do tego, którym przez cały tydzień poruszali się po ulicach Sollas. – Spróbuję się dowiedzieć – dodał i opuścił rękę.

Odsłoniwszy w ten sposób mikrofon, usłyszał po chwili głos z translatora.

– ...mogli zwiedzić obszary zajęte pod uprawy trochę później – mówił Ingliss. – W tej chwili wielu naszych mieszkańców jest zajętych polowaniem, nie mogliby więc nam ich pokazać.

– Czy polują na krisjawy? – zapytał Joshua. Ingliss popatrzył na niego i kiwnął głową.

– Tak, oczywiście – odrzekł. – Tylko krisjawy i bololiny są warte tego, żeby wyprawać się na nie w dużych grupach, a usłyszelibyście sygnał alarmowej syreny, gdyby chodziło o stado bololinów.

– Tak, Moff raz czy dwa wspominał nam o krisjawach – rzekł Cerenkov. – Odniosłem wrażenie, że są niebezpieczne, ale poza tym nie wiemy nic więcej na ich temat.

– Niebezpieczne? – zapytał Ingliss i głośno zarechotał. – Wyjątkowo groźne. Mają ponad dwa metry długości i metr wysokości, a ich ostre, karbowane kły mogą rozerwać człowieka na strzępy dosłownie w ciągu kilku sekund. Są tak niebezpieczne, że stwarzają zagrożenie i dla naszych obywateli, i dla ich zwierząt.

– Przypominają mi trochę kolczaste lamparty – zauważył ponuro Rynstadt. – Nasze aventińskie drapieżniki, z którymi musimy walczyć od chwili, kiedy po raz pierwszy wylądowaliśmy na Aventinie.

– U nas nie zawsze działa się tak jak teraz – odrzekł Ingliss, potrząsając głową. – Nasze stare legendy głoszą, że krisjawy były na początku dość łagodne. Starły się unikać naszych osad i zapewne godziły się też, żebyśmy jak i one polowali na bololiny. Zaczęły atakować nas dopiero znacznie później, kiedy doszły do wniosku, że chcemy pozostać tu na stałe.

– Albo gdy się zorientowały, że mięso ludzkie nadaje się na pokarm – zasugerował York. – Czy stało się to nagle, czy stopniowo?

Ingliss wymienił spojrzenia z Moffem, ale tamten tylko wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem – powiedział. – Rejestry z tamtych pierwszych lat są bardzo niekompletne. Awaria, która nas tu unieruchomiła, zniszczyła większość elektronicznych urządzeń rejestrujących dane, a późniejsze zapiski historyczne nie zawsze zachowały się do naszych czasów.

W słuchawkach odezwał się znów głos Nnamdiego.

– Nie porzucajcie tego tematu, Yuri i pozostali – powiedział. – Jeżeli krisjawy naprawdę wykazują jakieś ślady inteligencji, chcielibyśmy to wiedzieć.

– Pytałem o to, bo gdyby naprawdę „zorientowały się”, że chcecie osiedlić się tu na stałe, może są obdarzone jakąś, chociażby szczątkową, inteligencją.

– Nasi biologowie także zastanawiali się nad tą hipotezą – odrzekł Moff – ale uznali ją za bardzo mało prawdopodobną.

– Krisjawy nie wykazują na przykład żadnej zdolności uczenia się – dodał Ingliss. – Obywatele naszych wiosek, a także niektórych miast, od czasu do czasu urządzają na nie polowania, w których uczestniczy do kilkudziesięciu mieszkańców i zaproszonych przez nich gości. A jednak krisjawy niczego się nie nauczyły i nadal podchodzą blisko naszych siedzib.

Joshuę olśniło nagle zrozumienie.

– Ach, to dlatego umieszczacie przy wrotach muru ogłoszenia o terminach polowań na krisjawy – powiedział. – Po to, żeby wiedział o nich każdy, a nie tylko mieszkańcy wioski.

Ingliss kiwnął głową.

– Zgadza się. Stwarza to naszym ludziom możliwość doskonalenia strzeleckich umiejętności. Mile widziani są wszyscy, którzy chcieliby wziąć udział w łowach. Poza tym skóry upolowanych zwierząt stanowią bardzo cenne trofeum, a wielu naszych obywateli uważa mięso krisjawów za smaczniejsze od mięsa bololinów. Gdybyście zjawili się tu o godzinę wcześniej... ale nie, rzecz jasna, nie macie mojków. Nie widzę także u was żadnej broni.

– Wygląda na to, że liczba żyjących jeszcze zwierząt z każdym dniem szybko maleje – burknął York.

– To prawda – zgodził się z nim Ingliss, kiwnąwszy głową. – A przynajmniej w gęściej zaludnionych rejonach Qasamy. Może z moich słów wynikało, że naprawdę jest ich tak wiele i są takie groźne. Prawdę mówiąc, pięćdziesięcioosobowa grupa może mówić o dużym szczęściu, jeżeli uda się jej upolować jedną lub dwie sztuki. W czasach, w których Huriseem była małą osadą, można było stanąć na szczycie muru i zabijać jednego krisjawa co godzinę.

– Macie szczęście, że w ogóle ktoś z was przeżył – stwierdził York.

Ingliss wzruszył ramionami. Gest ten był wykonany w nieco wolniejszym tempie niż jego aventiński odpowiednik.

– Już mówiłem, że zdążyliśmy się tu zadomowić, zanim krisjawy zaczęły naprawdę nam zagrażać. A poza tym proces adaptacji mojków jako naszych osobistych strażników był wówczas dość zaawansowany. Zabrzmi to może jak ironia, ale jednym z głównych powodów była właśnie obawa przed atakami krisjawów.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy historii starożytnej – wtrącił się Moff. – Nie mamy dużo czasu, jeżeli chcecie zapoznać się z życiem mieszkańców wioski, powinniśmy zacząć jak najszybciej.

Przez chwilę Joshua miał wrażenie, że twarz Moffa przybrała jakiś dziwny wyraz. Qasamanin odwrócił się jednak szybko w stronę otwartego pojazdu czekającego za plecami Inglissa i jego dwóch towarzyszy, a Joshua pomyślał, że pewnie mu się tylko wydawało.

Rozglądając się ciekawie, udał się wraz z innymi do pojazdu.

Minęło dosłownie kilkanaście lat od czasu, gdy gubernator Telek dokonywała tak szczegółowych całonocnych badań laboratoryjnych jak zeszłej nocy – a ni-

gdy przedtem nie robiła tego za pomocą manipulatorów zdalnie sterowanego automatu. Kiedy powłócząc nogami, pojawiła się około południa w świetlicy Dewdrop, wyglądała bardziej na umarłą niż żywą.

– Co ciekawego? – zapytała Nnamdiego, kierując się od razu w stronę stojącego w kącie dozownika z kahve.

– A co pani tutaj robi? – odparł tamten, unosząc brwi i spoglądając na nią ponad ekranem monitora. – Powinna być pani teraz w łóżku albo sporządzać raport.

– Powinam dowodzić wyprawą – burknęła w odpowiedzi, przynosząc filiżankę z parującym napojem do stołu i ciężko siadając na krześle stojącym obok Nnamdiego. – Będę mogła wyspać się w przyszłym roku. Christopher wciąż jeszcze śpi?

– Tak. Zostawił na mostku wiadomość, żeby obudzić go około czwartej.

Christopher nie robił właściwie nic więcej, tylko obserwował i od czasu do czasu komentował. Zdumiewające, jak bardzo może zmęczyć człowieka kibikowanie – pomyślała kwaśno, ale po chwili skupiła uwagę na monitorze.

– Czy to może ta wioska, którą obiecał pokazać im Moff? – zapytała.

– Tak, Huriseem. Ten postawny gość w lewej części ekranu jest burmistrzem i nazywa się Ingliss. Obraz przedstawia wiejską wersję targowiska podobnego do tego, jakie widzieliśmy w Sollas. Z wyjątkiem, rzecz jasna, bololinów.

– A zatem wioska jest otoczona murem?

– I to solidnym. A Joshua doszedł niedawno do ciekawego wniosku na temat tych abstrakcyjnych malowideł na ścianach budynków w Sollas.

Telek słuchała jednym uchem, kiedy Nnamdi przedstawiał jej pomysł Joshuy, który sądził, że miasto miało wydawać się bololinom kępami różnobarwnych drzew rosnących w lesie. Resztę uwagi poświęcała smakowi i aromатовi kahve, a także pozornemu chaosowi widocznemu na ekranie. Obserwując nieco mniejsze targowisko wioski, po raz pierwszy zauważyła na straganach wystawiane nie tylko towary, ale i reklamy usług. W jednym ze straganów, obsługiwanym zapewne przez przedsiębiorcę budowlanego, ujrzała na stojącym w głębi stole próbki cegieł i desek, a na ekranie umieszczonego na przedniej ladzie komputera widniało coś, co przypominało rysunek techniczny jakiegoś domu. Dlaczego więc nie handlują za pomocą komputera? – pomyślała Telek. – Tak bardzo cenią sobie osobisty kontakt z klientem? To możliwe.

Kiedy Nnamdi skończył referować jej pomysł Joshuy, wzruszyła lekko ramionami.

– Może ma racje. Sprawdźę później i zobaczę, czy uda mi się uzyskać komputerową estymatę czułości wzroku bololinów. Uważam to jednak za głupie, żeby pomagać w ten sposób zwierzętom pędzić w popłochu ulicami miasta.

– Mniej więcej to samo powiedział Joshua – rzekł Nnamdi, kiwnąwszy głową. – Czy w tym wszystkim może być coś, czego nie dostrzeżliśmy? Jakiś wzajemny związek między ludźmi i bololinami?

– Nie sędzę, byśmy w ciągu zaledwie tygodnia dowiedzieli się wszystkiego o Qasamanach – odezwała się oschle. – To raczej niemożliwe. O co właściwie ci chodzi?

Nnamdi wykonał nieznaczny ruch ręką.

– No cóż... Sam tego jeszcze dobrze nie wiem. Może istnieje jakaś zależność symbiotyczna podobna do tej, w jakiej żyją ludzie i mojoki.

– Jeżeli chcesz znać moje zdanie, nazwałabym mojoki raczej ulubieńcami niż symbiontami, ale jeżeli wziąć pod uwagę związek między bololinami a tarbinami, sędzę, że możesz mieć trochę racji.

Telek zmarszczyła brwi i popatrzyła przed siebie, usiłując przypomnieć sobie wszystkie formy symbiozy, z jakimi spotkała się w karierze zawodowej.

– Przychodzi mi do głowy tylko jedna możliwość – powiedziała. – Polowania na bololiny pozwalają Qasamanom wyładować nadmiar agresji. Mówiąc krótko, pozwalają im zachować spokój.

– Och, ich agresja wcale się nie wyładowuje, a tylko kieruje na inne tory – parsknął Nnamdi, pokazując obraz na ekranie monitora. – Przeoczyła pani scenę wyprzedaży towarów w sklepie z kosztownościami w poprzednim domu. Ci goście puściliby z torbami niejednego handlowca Troftów.

– Hmm. Może to logiczne kierować ją na takie tory, jeżeli mieć na uwadze, że obecność mojoków uniemożliwia im wzajemne walki. Na to i może jeszcze na politykę...

Przerwała tak nagle, że Nnamdi spojrzał na nią.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie jestem pewna – odparła, sięgając po mikrofon. – Joshua, obróć się powoli o trzysta sześćdziesiąt stopni, dobrze?

Obraz na ekranie zaczął powoli się przesuwać, kiedy Joshua wykonywał otrzymane polecenie, zatrzymując się od czasu do czasu, gdyż udawał, że patrzy na stragan czy na coś innego... ale kiedy w końcu wykonał pełny obrót, podejrzenie Telek przerodziło się w nieuchronną pewność.

– Moff zniknął – powiedziała półgłosem do Nnamdiego.

– Co takiego?

Zmarszczywszy brwi, przysunął krzesło do stołu i nachylił się nad monitorem, jak gdyby miało mu to w czymś pomóc.

– To niemożliwe. Moff nie pójdzie nawet do łazienki, zanim się nie upewni, że grupa zwiadowcza stoi w takim kącie, z którego nie może się nigdzie ruszyć.

– Wiem o tym. Yuri, pozostali – nie ma Moffa. Czy któryś z was wie, dokąd poszedł, albo widział go, jak odchodził?

Przez chwilę panowała cisza. Później zobaczyła na samym skraju ekranu, że Cerenkov unosi rękę i zakrywa mikrofon translatora.

– Nawet tego nie zauważyłem, pani gubernator – powiedział. – Wokół nas kręci się tylu ludzi, że...

– Może właśnie dlatego wybrał to miejsce – przerwała mu Telek. – Czy ktoś z was zwrócił uwagę, czy Moff powiedział lub zrobił coś dziwnego?

Usłyszała cztery zaprzeczenia.

– No cóż. Starajcie się wszyscy go wypatrywać, ale tak, żeby to nie zwróciło niczyjej uwagi, a kiedy się pojawi, spróbujcie zapamiętać wyraz jego twarzy.

Wyłączyła mikrofon i przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, wpatrując się w ekran monitora.

– Jak pani sądzi, co to może oznaczać? – zapytał ją w końcu Nnamdi.

– Może nic. Mam nadzieję, że nic. Myślę jednak, że będę musiała przejrzeć taśmy z nagraniami tego, co robili dzisiejszego ranka, i przekonać się, czy sama nie zauważę czegoś dziwnego w postępowaniu Moffa. Nie spuszczaaj oka z ekranów i daj mi znać, gdyby działo się coś niezwykłego.

Sięgnąwszy po filiżankę z kahve, podeszła do wyłączzonego monitora w kącie świetlicy i wystukała na klawiaturze polecenie wyświetlenia potrzebnych danych.

– Czy nie powinniśmy zaalarmować kapitana i Alma? – zapytał Nnamdi.

- Kapitana tak, ale niech nie przywiązuje do tego zbyt dużej wagi. Co do Alma... nie, na razie nic mu nie mów. Będzie mnóstwo czasu, by dowiedział się o tym, kiedy zorientujemy się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Dobrze.

Telek skupiła uwagę na ekranie. Panujący na nim półmrok był przerywany jaskrawymi, krótkimi błyskami światła – qasamańskiego odpowiednika sygnału pobudki. Zarysy pokoju gwałtownie przesuwały się po ekranie, kiedy Joshua obracał się z boku na bok, a w końcu usiadł.

- Wstawaj, Marek – odezwał się do Rynstadta, leżącego na drugim łóżku. – Dziś dzień pełen mocnych wrażeń.

- I co w tym niezwykłego? – zapytał tamten zaspanym głosem.

Sięgnąwszy na oślep po filiżankę z kahve, Telek usiadła wygodniej i wpatrzyła się w ekran.

Rozdział czternasty

Błękit nieba nad Tactą zawierał trochę więcej czerwieni niż ten nad Chatą czy Fusonem. Jonny zwrócił na to uwagę, kiedy przyglądał się skrajowi lasu odległemu zaledwie o piętnaście metrów od perymetru „Menssany”. Eksperci zdążyli dojść do wniosku, że zabarwienie to było skutkiem pyłów wyrzucanych do atmosfery przez liczne czynne wulkany zaobserwowane podczas okrążania Tacty. Dla przyszłych mieszkańców stanowiłoby to pewne zagrożenie, ale prawdopodobnie udałoby się je zmniejszyć przez umiejętny wybór miejsca pod przyszłe osady. Pogoda i klimat planety ulegały jednak zbyt szybkim i dużym zmianom – bez względu na rejon, w którym można byłoby założyć przyszłą kolonię ludzi – tak że Jonny, rozważywszy to wszystko, zdecydował, iż powinien umieścić Tactę na czwartym, dość odległym miejscu na liście pięciu planet.

Innymi słowy, Junca znalazłaby się w tej klasyfikacji na szarym końcu.

Spoglądając ponownie na skraj lasu, zobaczył siedzącego na jednej z grubszych gałęzi drzewa i patrzącego na niego dosyć dużego ptaka.

Z niedowierzeniem przyjął fakt, iż ani jego wzmacniacze wzroku, ani wzmacniacze słuchu nie ostrzegły go o tym, że nadlatuje. Dopiero w następnej chwili uświadomił sobie, że zapewne ptak siedział nieruchomo na gałęzi od czasu, kiedy Jonny opuścił pokład statku. Nie dostrzegł go dlatego, że ptak się nie ruszał, a barwą upierzenia nie różnił się od tła lasu.

– Masz szczęście – mruknął Jonny w stronę dziwnego ptaka. – Nie ja decyduję o zbieraniu próbek fauny.

Obejrzał się usłyszawszy odgłos kroków za plecami. To była Chrys, a na jej twarzy malował się lekki grymas niezadowolenia.

– Masz chęć być znowu politykiem? – zapytała. Jonny przeniósł wzrok z jej twarzy na krzątanicę, jaka miała miejsce w chronionej przez pole przestrzeni między nimi a statkiem.

– O co chodzi? – zapytał, spoglądając znów na nią. Machnęła niecierpliwie ręką.

– O to samo, o co kłóćą się od chwili, w której musieliśmy zmykać z Juncy – powiedziała. – Naukowcy chcą poświęcić zaoszczędzony tam czas na ponowne dokładniejsze zbadanie Kubhy lub Fusonu.

– A Shepherd pragnie skrócić wyprawę o te dwa dni i lecieć do domu, kiedy tylko zakończą badać Tactę – dokończył za nią Jonny i ciężko westchnął. Miał już dosyć tych ciągłych kłótni, zwłaszcza że pierwsza odmowa Shepherd'a powinna rozstrzygnąć ten problem dawno temu. – Co więc chcesz, żebym zrobił?

– Ja nie chcę, byś cokolwiek robił – odparła. – To Rey ma pewnie nadzieję, że mógłbyś wtrącić do ich sporu kilka właściwie dobranych uwag.

Innymi słowy, Banyon chciał, żeby spiorunował naukowców i zapędził ich z powrotem do laboratoriów. Jonny nie miał najmniejszych wątpliwości, jaki był pogląd Kobr na tę sprawę – to oni musieli dbać o bezpieczeństwo wyprawy, a zarazem wykonywać najcięższe prace, chcieli więc wracać do domu jak najszybciej. Podzielali tę opinię zwłaszcza ci czterej, którzy wciąż jeszcze przebywali w pokładowym ambulatorium, lecząc rany odniesione podczas pospiesznego odlotu z Juncy.

Z pewnością byłby to najprostszy sposób, żeby zakończyć ten spór raz na zawsze. Jonny Moreau, Kobra, emerytowany gubernator, miał na statku większy autorytet i władzę niż ktokolwiek inny na pokładzie, nie wyłączając kapitana Shepherd'a. Już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale jeszcze raz popatrzył na minę Chrys.

Była wściekła. Starła się to ukryć, ale Jonny znał ją zbyt dobrze, żeby tego nie zauważyć. Zmarszczki w kącikach zwięzionych oczu, nieznacznie zaciśnięte usta, napięte mięśnie policzków i szyi – wściekłość, nie było wątpliwości. Wściekłość i rozgoryczenie.

W ciągu ostatnich kilku lat widywał ten sam wyraz jej twarzy aż za często.

W chwili, w której zdał sobie z tego sprawę, wiedział, jak powinna wyglądać jego reakcja na problemy uczestników wyprawy „Menssany”.

– No cóż, Rey i pozostali mogą zapomnieć, że tu jestem – powiedział. – Jeżeli Shepherd jest zbyt uprzejmy, żeby zapędzić naukowców kopniakami na pokład, musi pogodzić się z ich zarządzeniem. Ja spędzam tu tylko wakacje.

Oczy Chrys na chwilę się rozszerzyły, ale zanim na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech, Jonny ujrzał, jak rozluźniają się mięśnie jej twarzy i całego ciała.

– Zacytuję mu dokładnie twoje słowa – oświadczyła.

– Zrób tak. Ale przedtem rzuć okiem na niego – dodał, kiedy już miała odwrócić się i skierować z powrotem do obozu. – Wygląda mi na to, że zaczynamy zwracać na siebie uwagę miejscowych gapiów.

Ptak nadal siedział nieruchomo i cicho na gałęzi.

– Dziwne – odezwała się Chrys, spoglądając na ptaka przez szkła składanej lornetki. – Kształt dziobu wskazuje na drapieźnika, a nie na zwykłego owado- czy roślinożercę. Dowodzą tego także łapy.

Jonny powiększył czułość swojego wzmacniacza wzroku. Teraz, kiedy zwróciła mu na to uwagę, stwierdził, że łapy ptaka rzeczywiście przypominają szpony kondorynki.

– Co w tym niezwykłego? – zapytał. – Skatalogowaliśmy przecież kilka gatunków gryzoni i mniejszych ptaków, które mogą mu służyć za pożywienie.

– Wiem... ale dlaczego siedzi nieruchomo i nic nie robi? Dlaczego nie poluje albo nie zajmie się czymś innym?

Jonny zmarszczył brwi. Ptak siedział jak posąg na niższej gałęzi, jak gdyby się obawiał, że może stracić jedyną osłonę, jaką zapewnia mu ściana lasu.

– Może jest ranny – odezwał się cicho. – Albo tylko się kryje przed jakimś większym drapieźnikiem.

Popatrzyli na siebie, a Jonny zobaczył w oczach Chrys odbicie tej samej myśli, która i jemu przysłała do głowy. I zobaczył też, że wcale nie podobało się jej to bardziej niż jemu.

– Przed... nami? – wypowiedziała w końcu głośno to, o czym myśleli oboje.

– Nie widzę niczego innego, przed czym mógłby się tu ukrywać – powiedział, spojrzawszy na puste niebo.

– Przed jakimś zwierzęciem ziemnym?... Nie. Każde zwierzę nie większe od kota mogłoby bez trudu pochwycić go na tak małej wysokości – rzekła Chrys, przenosząc spojrzenie na ptaka. – Ale... skąd może wiedzieć, że...

– Musi być obdarzony inteligencją – stwierdził Jonny, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo zaczyna w to wierzyć, dopóki nie wypowiedział tych słów na głos. – Musi wiedzieć, że jesteśmy obcymi inteligentnymi istotami umiejącymi wytwarzać narzędzia. Zachowuje konieczne środki ostrożności. A może tylko czeka, aż podejmiemy jakieś próby nawiązania z nim kontaktu?

– W jaki sposób?

– Nie wiem... Może powinienem podejść do niego trochę bliżej.

Uścisk dłoni Chrys na jego ramieniu był zdumiewająco silny.

– Sądzisz, że to bezpieczne?

– Jestem Kobrą, nie pamiętasz? – burknął, czując, że zaczyna się trochę de-nerwować. Kontakt z nieznanym... wróciła mu pamięć o nawykach nabytych w ciągu szkolenia. Reguła pierwsza: Nie rób nigdy niczego, nie informując o tym innych. Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, sięgnął do pasa po zawieszony tam telefon. – Doktor Hanford? – zapytał, wymieniając nazwisko jedy- nego zoologa, który powinien przebywać teraz w pobliżu i którego widział przy statku kilka minut wcześniej, kiedy podeszła do niego Chrys.

– Tu Hanford.

– Mówi Jonny Moreau. Jestem w tej chwili w południowo-wschodnim rejo- nie perymetru. Proszę przyjść do mnie, ale cicho. I proszę też zabrać ze sobą jed- nego Kobrę.

– Zaraz będę.

Jonny umieścił telefon na poprzednim miejscu i czekał. Ptak także czekał, chociaż zaczął zdradzać pewne oznaki zniecierpliwienia. Może jednak Jonny'emu tylko się tak wydawało.

Hanford pojawił się w kilka minut później, idąc na lekko ugiętych nogach dużymi krokami, stanowiącymi dosyć dobry kompromis między szybkością a na- kazem zachowania ciszy. Tuż za nim szli Banyon i Kobra o nazwisku Porris.

– Co się stało? – zapytał teatralnym szeptem zoolog, kiedy zatrzymał się u boku gubernatora.

Ten skinął głową w stronę siedzącego ptaka.

– Proszę powiedzieć, co pan o tym sądzi.

– Chodzi panu o te krzaki?

– Nie, o siedzącego tam ptaka – odezwała się Chrys, pokazując mu go lekko wyciągniętą ręką.

– Jakiego... Aha – rzekł Hanford i wyciągnął lornetkę. – Tak. Widzieliśmy już kilka podobnych, chociaż zawsze w znacznie większej odległości. Nie sądzę, by któryś znalazł się przedtem tak blisko...

– A zatem, są bardzo płochliwe? – przynaglił go Jonny. – To znaczy, w nor- malnych okolicznościach?

- Mhm – burknął w zamyśleniu Hanford. – Tak. Ten zaś wydaje się bardzo odważny, prawda?

- Może nie rusza się z miejsca, bo się nas boi? – odezwał się Banyon.

- Jeżeli się nas boi, tym bardziej powinien odlecieć – odrzekł Hanford, potrząsając głową.

- Nie, proszę pana – sprzeciwił się Banyon, pokazując ręką. – Znaleźliśmy się zbyt blisko niego. Jeśli odleci, będzie świetnie widoczny na tle nieba, a co więcej, będzie w ruchu. Już jeden z tych powodów wystarczy aż nadto, żeby przywabić jakiegoś drapieżnika. Miejsce, w którym siedzi, nie jest dobrze wybrane, ale pozostawanie w nim jest jego jedynym rozsądnym wyjściem.

- Jeżeli nie brać pod uwagę faktu, że jest ptakiem, a my w sposób oczywisty nie jesteśmy – oznajmił Hanford. – Kiedy odleci, z naszej strony mu nic nie grozi.

- Chyba – odezwał się cicho Jonny – że w jakiś sposób rozumie, iż moglibyśmy użyć broni.

Na chwilę zapadła cisza.

- Nie – przerwał ją w końcu Hanford. – Nie, to niemożliwe. Niech pan spojrzy chociażby na jego czaszkę. Nie ma w niej miejsca na duży, konieczny do posiadania inteligencji mózg.

- Rozmiary czaszki jeszcze o niczym nie świadczą... – zaczął Porris.

- Ale liczba komórek, tak – przerwał mu Hanford. – A rozmiary komórek tactańskich organizmów i cała biochemia są zbyt podobne do naszej, żeby takie założenie mogło okazać się nieprawdziwe. Nie, on z pewnością nie jest formą życia obdarzoną czuciem. Jest tylko sparaliżowany strachem tak bardzo, że nie wie, iż mógłby odlecieć, kiedy zechce.

- Biedroneczko, biedroneczko, leć do nieba – mruknęła cicho Chrys.

- No cóż, zmarnował swoją jedyną szansę – odezwał się żywo Hanford. – Porris, czy wiesz, gdzie trzymamy nasze siatki krępujące?

Zaczął odwracać się w kierunku „Menssany”...

A ptak poszybował w powietrze ze swojej gałęzi.

Chrys gwałtownie nabrała powietrza w płuca, zaś stojący przy niej Banyon odruchowo wyciągnął ręce w pozycje gotowe do strzału.

- Nie strzelaj! – powstrzymał go Jonny. – Pozwólmy mu odlecieć.

- Co takiego? – wrzasnął Hanford. – Strzelaj do niego, człowieku, strzelaj!

Banyon jednak powoli opuścił ręce.

Ptak odleciał. Ale nie prosto w niebo, jak Jonny mógł oczekiwać, ale poziomo, tuż nad koronami drzew i krzaków. I... zygzakiem. Zygzakiem, jak gdyby...

Zniknął za niewielkim wzgórzem, a Jonny odwrócił się i ujrzał utkwione w sobie spojrzenie Banyona.

– Manewry mające na celu uniknięcie trafienia – odezwał się tamten niemal szeptem.

– Dlaczego go nie zastrzeliliście? – warknął Hanford, uchwyciwszy Jonny'ego jedną ręką za ramię i zwinąwszy ze złości drugą dłoń w zaciśniętą pięść. – Dałem przecież wam, Kobrom, wyraźny rozkaz...

– Panie doktorze – przerwał mu Jonny – ten ptak nie ruszał się z miejsca tak długo, dopóki nie zaproponował pan, żeby go pochwycić.

– Nic mnie to nie obchodzi. Powinniście byli... Hanford nagle przerwał, jak gdyby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie słów Jonny'ego.

– Myśli pan, że...? – zapytał. – Nie. Nie. Nigdy w to nie uwierzę. W jaki sposób mógł wiedzieć, o czym rozmawiamy? Nie, to niemożliwe.

– Oczywiście, że tego nie mógł wiedzieć – odezwał się ponuro Banyon. – Wiedział jednak, że musi odlecieć, a kiedy to zrobił, poleciał zygzakiem i poziomo. W taki sposób, jak gdyby chciał uniknąć trafienia go z broni wroga.

– A poza tym zaczekał, aż pan, doktorze, odwróci się do niego plecami – dodała Chrys i lekko się wzdrygnęła. – Pan, który dał rozkaz, żeby go pochwycić. Jonny... to wszystko nie może być tylko zbiegiem okoliczności.

– Może przedtem miał do czynienia z istotami inteligentnymi – powiedział z namysłem Jonny. – Może byli tu już Troftowie, kiedy zapoznawali się z panującymi tu warunkami. W ten sposób mógłby dowiedzieć się czegoś na temat broni palnej.

– Może wszystkie takie ptaki są tylko jednostkami w jakiejś większej, zbiorowej świadomości – odezwał się niespodziewanie Porris. – W ten sposób pojedynczy osobnik nie musi być bardzo inteligentny.

– Teoria o zbiorowej inteligencji powędrowała na śmietnik przed dwudziestoma laty – stwierdził Hanford, ale ton jego głosu wskazywał, że nie był tego tak bardzo pewien. – Poza tym to jeszcze nie tłumaczy, w jaki sposób mógł znać nasz język na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że miałem zamiar sprowadzić ze statku siatkę krępującą.

Jonny nagle uzmysłowił sobie, że nadal wpatruje się w miejsce na gałęzi, z którego odleciał przedstawiciel rodzimej fauny. Popatrzył w niebo, ale nie ujrzał na nim stad pikujących ptaków, jak na wpół świadomie oczekiwał. Zabarwiony delikatną czerwienią błękit był tylko poznaczony odległymi i pojedynczymi plamkami. Niemniej...

– Myślę, że powinniśmy zwinąć obóz trochę wcześniej – odezwał się do pozostałych. – Być gotowi do odlotu w każdej chwili, gdyby... gdyby miało okazać się to konieczne.

Hanford popatrzył na niego, jak gdyby miał zamiar się sprzeciwić, ale zamiast tego odwrócił się w stronę Banyona.

– Czy nie byłoby możliwe oddelegowanie kilku Kobr, żeby udali się ze mną na małe polowanie? – zapytał. – Chciałbym mieć chociaż jednego takiego ptaka... żywego, o ile to możliwe, ale nie będę się przy tym upierał.

– Zobaczą, co da się zrobić – odrzekł ponuro Banyon. – Myślę, że dowiedzenie się o nich wszystkiego, co możliwe, to świetny pomysł.

Kapitan Shepherd, któremu powiedziano o dziwnym spotkaniu, wyraził w końcu zgodę na wszystkie przedstawione mu propozycje. Statek przygotowano do natychmiastowego startu, podwojono liczbę Kobr pilnujących perymetru, a naukowcy zaczęli pracować z niespotykaną u nich szybkością. Jednak dwie grupy, wysłane na polowanie, nie zdołały nawet zobaczyć ani jednego okazu tajemniczego ptaka. Dyskutowano o faktach, prześcigano się w domysłach, snuto plotki... a Menssana wystartowała o pełne dwanaście godzin wcześniej, niż przedtem planowano.

Przynajmniej tym razem nikt nie narzekał.

Rozdział piętnasty

Spędzili wiele godzin na oglądaniu targowiska w Huriseem – York pomyślał, że poświęcili na to więcej czasu, niż w jakimkolwiek innym miejscu podczas całego pobytu na Qasamie – i w końcu głęboko westchnął z ulgą, kiedy zwiedzanie zaczęło się mieć ku końcowi. Najbardziej denerwowała go konieczność stykania się dosłownie oko w oko z tak dużą liczbą mojków naraz – nieobecność Moffa także nie wpływała kojąco na jego samopoczucie. Był ciekaw, jak wytłumaczy ją burmistrz Ingliss – a York sądził, że będzie musiał to zrobić, kiedy tylko zostawią za sobą targowisko z kręcącymi się po nim tłumami Qasaman. W obecności samej eskorty grupa zwiadowcza będzie musiała wreszcie zauważyć nieobecność Moffa, a Ingliss zapewne zechce jakoś im ten fakt wyjaśnić.

York nie miał najmniejszej ochoty tego wysłuchiwać. Wiedział, że będzie to stek kłamstw – a co gorsze, kłamstw całkiem oczywistych. Zniknięcie Moffa nastąpiło zbyt nagle, a jego czas wybrano zbyt dobrze, żeby można było uznać je za przypadkowe. Było jasne, że wszystko przygotowano w taki sposób, żeby grupa zwiadowcza jak najdłużej nie spostrzegła jego nieobecności. Instykt Yorka podpowiadał mu, że przyznanie się Qasaman do faktu, iż Moffa nie ma, byłoby dla nich równie złe, co tłumaczenie się, dokąd poszedł i co robił. Im lepiej poznawał Qasaman, im dłużej słuchał nieszczerych, pełnych kłamstw odpowiedzi Moffa i im więcej widział rzeczy, które im pokazywano, oraz tych, których starano się nie pokazać, tym bardziej określenia: „przesadnie ostrożny” i „podejrzliwy” stopniowo przeradzały się w jego umyśle w przymiotnik: „paranoidalny”. Nie obchodziło go, czy historia Qasaman dawała im prawo postępować w taki sposób – w tej chwili liczyło się tylko to, że York spotykał się nieraz z ludźmi o umysłach paranoidalnych i dobrze wiedział, do czego mogą być zdolni. Sam fakt zniknięcia Moffa nie dostarczał mu ani jednego bita użytecznej informacji, ale obawiał się, że Qasamanie tego nie wiedzą. Bardzo prawdopodobne więc, że pomyślą, iż ich plan – czy podstęp, czy knowania, czy cholerna niespodzianka, czy cokolwiek by to było – zostały przez przybyszów odkryte i dlatego mogli chcieć przyspieszyć początek całej akcji.

York bardzo nie chciał, żeby to zrobili. Gdyby Moff coś planował – wszystko jedno co – dla ogółu zainteresowanych byłoby o wiele bezpieczniejsze, gdyby jego plan przebiegał według z góry ustalonego scenariusza. Niech cię diabli, Moff,

wracaj tutaj – pomyślał wściekły i na niego, i na wszystko inne. – Wracaj tutaj i staraj się upewniać nas w przekonaniu, że panujesz nad sytuacją.

Tak zajęty był ukradkowym wypatrywaniem dowódcy eskorty, że zupełnie przeoczył zdarzenie, które zapoczątkowało walkę.

Z zamyślenia wyrwał go dopiero silny uścisk dłoni jednego z pomocników Moffa, który uchwycił go za ramię i odciągnął na sam skraj kręgu tworzącego się właśnie tuż poza granicą targowiska. Średnica otaczanej przez zbity tłum ludzi wolnej przestrzeni mierzyła mniej więcej dwadzieścia metrów, a pośrodku, w odległości zaledwie pięciu metrów od siebie, stało dwóch zwróconych twarzami ku sobie mężczyzn bez mojków. Każdy mierzył swojego przeciwnika pełnym nienawiści wzrokiem.

– Co się dzieje? – zapytał York Qasamanina, który nadal trzymał go za ramię.

Odpowiedzi udzielił mu burmistrz Ingliss stojący o dwie osoby dalej, także w pierwszym rzędzie.

– Pojedynek – powiedział. – Jeden znieważył drugiego, tamten go wyzwał, a ten przyjął wyzwanie.

York poczuł, jak nagle zasycha mu w gardle, kiedy zwrócił uwagę na pistolety w olstrach na biodrach obu mężczyzn, a później na otaczający ich zbity tłum dwustu lub więcej ludzi. Pomyślał, że chyba nie zamierzają strzelać do siebie w takim miejscu...

Jakiś Qasamanin w błękitnosrebrnej opasce na głowie wyłonił się z kręgu gapiów i podszedł do obu mężczyzn. Z dużego, wiszącego mu na ramieniu worka wyjął trzydziestocentymetrową, giętką, podobną do bambusowej laskę i dwie nieduże kule połączone ze sobą półmetrowej długości mlecznobiałą linką. Wręczył laskę i kule jednemu ze stojących, a później podszedł do drugiego i dał mu taki sam komplet. Następnie wrócił na skraj kręgu, uniósł wysoko prawą rękę i nagle opuścił ją szybko ruchem drwala przystępującego do rąbania drzewa...

A mężczyzna stojący po prawej ręce Yorka, który dotychczas jak gdyby od niechcenia kręcił linką z obiema kulami nad głową, błyskawicznie wypuścił je w kierunku swojego przeciwnika.

Rzucił nimi dokładnie, celnie i bardzo silnie. Tamten jednak był na to przygotowany. Trzymając laskę pionowo przed sobą, zręcznie przechwycił w powietrzu lecące kule, pozwalając, żeby linka owinęła się wokół laski. W następnej sekundzie jego kule wystrzeliły jak z procy w stronę przeciwnika, który równie pewnie schwycił je na swoją laskę. Nastąpiła teraz krótka przerwa, w trakcie

której obaj pojedynkujący się Qasamanie zajęli się zdejmowaniem kul swoich przeciwników z lasek, by po chwili przygotować się do ponownego ataku.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał szeptem ponownie York.

– Mówiłem, to pojedynek – mruknął w odpowiedzi Ingliss. – Zamiast klątw, każdy rzuca w przeciwnika kulami bola tak długo, aż albo oba zestawy kul zginą w tłumie, albo jeden z nich uzna się za pokonanego. Klątwe kule bola pozostawiają po sobie tylko duże sińce, rzadko powodują groźne uszkodzenia ciała.

– Co to znaczy, że kule mogą zginąć w tłumie?

– Jeżeli chybią albo nie zostaną schwyczone na laskę, ale przez widza, ten może nie oddać broni. Dwa takie niecelne rzuty i walka się musi zakończyć.

– A co sprawia, że jeden z nich w czasie przerwy między rzutami po prostu nie skoczy na drugiego, żeby mu przyłożyć pięścią?

– Ta sama przeszkoda, która nie pozwala im na użycie broni – odparł spokojnie Ingliss. – Ich mojoki... tutaj i tutaj.

Pokazał na dwóch widzów, z których każdy miał na ramieniu dwa ptaki. York zmarszczył brwi.

– Chce mi pan powiedzieć, że bronią swoich panów przed każdym atakiem, nawet takim, przy którym nie używa się broni? Sądziłem, że reagują dopiero na widok wyciąganego pistoletu.

– Och, rzecz jasna, że bronią przed wszystkimi atakami – odparł burmistrz, wzruszając ramionami. – Może pan nagle mnie uderzyć, w tej chwili, zanim mój mojok zdąży pana powstrzymać. Nie będzie pan mógł jednak kontynuować tej akcji. – Kiwnął głową w stronę walczących mężczyzn, na czołach których zaczęły pojawiać się pierwsze krople potu. – Oni walczą ze sobą w taki sposób, żeby mojoki nie musiały ich rozdzielać.

– Rozumiem – odparł York i pomyślał o znaczeniu, jakie mogło to mieć dla Kobr, gdyby nagle musieli zacząć działać.

Czy mojoki w zamęcie bitewnym zorientują się, że to oni są źródłem śmiercionośnych promieni laserowych? Tego nie można było wiedzieć.

– Dopiero teraz rozumiem – odezwał się głośno – dlaczego nikt nie używa broni, która swoim wyglądem różniłaby się od konwencjonalnego pistoletu. Mógłby strzelić do celu tylko raz, ale później mojoki by już wiedziały.

– Wygląda mi na to, że wy, Aventinianie, zbyt dużo myślicie o walkach i wzajemnych konfliktach – odezwał się Ingliss tonem, w którym czuło się dziwne na-

pięcie. – Na waszej planecie muszą panować przerażające warunki życia. Może, gdybyście mieli mojoki... Tak czy inaczej, ma pan rację co do niekonwencjonalnego kształtu broni. W początkowym okresie obłaskawiania tych ptaków wielu naszych obywateli próbowało różnych konstrukcji, ze skutkami, których się pan słusznie domyślił.

– Aha – mruknął York, kiwnął głową i zajął się obserwowaniem pojedynkujących się mężczyzn.

Wydawało się, że walka trwała bardzo długo, ale naprawdę walka zakończyła się po kilku następnych minutach. York nie umiałby powiedzieć, co sprawiło, że dobiegła końca, ale kiedy w pewnej chwili każdego mężczyznę otoczył tłum wiwatujących gapiów, składających gratulacje i oddzielających przeciwników od siebie, doszedł do wniosku, że przynajmniej oni bawili się znakomicie. Może Nnamdi na pokładzie statku zdoła później odgadnąć kryjące się za tym rytuałem psychologiczne i socjologiczne podłoże, bo jego, Yorka, niewiele to obchodziło. Rozejrzawszy się, stwierdził, że tłumy się rozchodzą, a jedynymi stojącymi bez ruchu osobami pozostają członkowie grupy zwiadowczej, burmistrz Ingliss, eskortujący ich Qasamanie...

I Moff.

York zamrugał oczami, starając się nie dać poznać po sobie zdumienia ani zaniepokojenia. Mimo jego usilnych starań,

Qasamaninowi udało się dołączyć do nich tak samo niepostrzeżenie, jak przedtem ich opuścił. Dzięki temu cały ten pojedynek zaczynał wyglądać bardzo podejrzanie... a jeżeli był tylko udawany, tym groźniejsza stawała się wymowa tajemniczego zniknięcia Moffa. Chcąc bowiem zorganizować tak szeroko zakrojoną akcję mającą na celu odwrócenie uwagi gości, musiał dysponować albo dużą grupą tubylców gotowych w każdej chwili do działania, albo trochę mniejszą grupą swoich ludzi tak dobrze wyszkolonych, by mogli wywieść w pole i Qasaman, i przybyszów z Aventyny. I jedno, i drugie musiało kosztować go sporo trudu i wymagać – zapewne – znacznie wcześniejszego zaplanowania całej akcji.

Czy Qasamanie ich podejrzewali? A jeżeli tak, to od jak dawna?

– Przykro mi, że musieliście na to patrzeć – odezwał się Moff, kiedy wszyscy połączyli się znów w grupę. – To jedna z tych form agresji, których nie udało się nam całkiem wyeliminować.

– Wydaje mi się bardzo łagodna w porównaniu z tym, co widywałem w życiu – zapewnił go Cerenkov.

Ani on, ani nikt z pozostałych członków grupy zwiadowczej żadnym gestem ani słowem nie okazał zdziwienia z powrotu szefa ich ochrony. York wypuścił powietrze, które zatrzymał w płucach.

– To i tak znacznie więcej, niż powinna mieć prawdziwie cywilizowana społeczność – upierał się Moff. – Siła naszej woli powinna być skierowana na zewnątrz, ku problemom związanym z podbojem naszego świata.

– I innych także? – mruknął Rynstadt. Moff popatrzył na niego z wyraźnym napięciem.

– Przyszłością ludzi są gwiazdy – powiedział. – Nie zawsze będziemy ograniczeni tylko do tego jednego świata.

– Ludzkość już nigdy więcej nie da się ograniczyć – zgodził się z nim Cerenkov. – Powiedz mi, czy takie pojedynki zdarzają się u was często? Ten gość z opaską na głowie wydawał się świetnie panować nad rozwojem wydarzeń.

– W każdej wiosce i każdym mieście, zależnie od liczby mieszkańców, jest jeden lub więcej sędziów – odrzekł Moff. – Oprócz nadzorowania pojedynków mają sporo innych obowiązków. Ale chodźcie, chciałbym, żebyście obejrzeli jeszcze inne miejsca w tej wiosce. Burmistrz Ingliss chce pokazać wam miejscowy ośrodek sprawowania władzy, a poza tym, zanim łowcy krisjawów powrócą z polowania, powinniśmy zdążyć obejrzeć typową wiejską rezydencję. Dopiero później będziecie mogli zapoznać się z terenami uprawnymi.

Cerenkov lekko się uśmiechnął.

– Zgadzam się z tobą, Moff. Naprawdę nie wolno nam marnować ani chwili. Proszę, prowadź.

Skęcili za róg i skierowali się w stronę pojazdu, którym ludzie Inglissa objechali targowisko. York, widząc to, pomyślał, że może pozwolić sobie na umiarkowany optymizm. Kontynuowanie wycieczki jak gdyby nic się nie zdarzyło, mogło znaczyć, że Moff nie sądził, żeby jego zniknięcie zostało zauważone. To z kolei świadczyło o tym, że cokolwiek planowali Qasamanie, powinno przebiegać zgodnie z wcześniejszym harmonogramem.

W pewnej chwili zaczął być jednak świadom lekkiego ucisku zegarka z kalkulatorem na przegubie i pierścienia z szafirami na palcu. Razem z wiecznym piórem tworzyły podręczny pomocnik komandosa... broń, której nie widzieli nigdy przedtem ani Qasamanie, ani ich mojoki. Tylko jeden strzał – ta myśl nie chciała opuścić jego mózgu. – Tylko jeden strzał, zanim mojoki zdążą mnie powstrzymać. Byłoby cholernie dobrze, żeby ten strzał był celny.

To zdarzyło się, kiedy wracali tego wieczora do Sollas. Pierwszym ostrzeżeniem, że dzieje się coś złego, był nagły jazgot zakłóceń, który zastąpił w słuchawkach poprzedni cichy szum łączności radiowej z „Dewdrop”. Siedzący z przodu autokaru Moff wstał i odwrócił się przodem do nich, uchwyciwszy się lewą ręką poręczy. W prawej trzymał wymierzony w nich pistolet.

– Jesteście aresztowani – zahuczał nieznany głos od strony siedzącego obok niego mężczyzny... – a raczej z prostopadłościennego pudła z głośnikiem, które trzymał w ręce. – Jesteście podejrzani o szpiegowanie obywateli Qasamy. Dopóki nie osiągniemy celu podróży, nie wolno wam wykonywać gwałtownych ruchów. Jeżeli okażecie się nieposłuszni, wasz statek zostanie zniszczony.

– Co takiego? – warknął Cerenkov głosem pełnym niedowierzania, zdumienia i wściekłości. – Co to wszystko ma znaczyć?

Z głośnika translatora zawieszzonego na jego szyi nie odezwał się jednak żaden głos i pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Słuchaj, Moff – powiedział i zaczął unosić się ze swojego miejsca...

– Możesz się nie trudzić – doradził mu cicho Rynstadt. – To tylko nagranie, nie translator. Będziemy musieli poczekać, aż dotrzemy do Sollas, a wówczas może się wszystko wyjaśnić.

Cerenkov otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po namyśle zrezygnował i opadł z powrotem na swoje miejsce. W czasie tych kilku chwil lufa pistoletu Moffa nie drgnęła nawet o milimetr – zauważył niespokojnie York. – Musi mieć nerwy ze stali, a to znacznie ogranicza liczbę możliwych do przedsięwzięcia akcji. Jego mojok zaś...

Jego mojok na widok swojego pana stojącego z pistoletem wymierzonym w inną istotę ludzką nawet nie zaskrzeczał. Żaden inny zresztą tego nie uczynił. Z jakiegokolwiek powodu – czy to wyglądu, zapachu czy innej mowy – wyglądało na to, że Aventinianie nie są objęci tą samą automatyczną ochroną, jaką zapewniały mojoki swoim qasamańskim właścicielom. York miał przedtem nadzieję, że każda akcja Qasaman zwrócona przeciwko grupie zwiadowczej zostanie chociaż trochę opóźniona przez obecność mojoków. Teraz był jednak pewien, że nic takiego się nie zdarzy.

Siedzący po drugiej stronie przejścia Joshua poruszył się niespokojnie na fotelu.

– Ich komputery muszą mieć moc obliczeniową wielką jak gantuja; inaczej nie mogliby przetłumaczyć tych kilku zdań w tak krótkim czasie – mruknął.

– Zapewne rejestrowali zarówno każde nasze słowo jak jego tłumaczenie na swój język – wyjaśnił mu Rynstadt.

Wydawał się odprężony, jak gdyby zupełnie się nie przejmował tym, co się dzieje, i przez chwilę York patrzył na niego z pełnym zdumienia niedowierzaniem. Czy ten idiota nie zdaje sobie sprawy z tego, w jakich znaleźli się opałach? To nie są żadne ćwiczenia – miał ochotę warknąć w jego stronę. – Oni nie żartują, a co więcej, są przerażeni.

Stłumił jednak w sobie te słowa, zanim zdołały mu przejść przez gardło. Oczywiście, że Rynstadt nie miał się o co martwić – czyż na pokładzie „Dewdrop” nie było czterech Kobr gotowych do przeprowadzenia akcji i odbicia ich z rąk wrogów w strumieniach laserowego ognia?

Tylko że to nie będzie takie łatwe i nawet jeżeli nikt inny tego nie wiedział, York nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Spojrzawszy w okno, zaczął przyglądać się ciemniejącemu niebu i jeszcze ciemniejszej ścianie lasu na poboczu drogi. Moff zaplanował wszystko doskonale – pomyślał, mimo przyspieszonego bicia serca nie mogąc nie podziwiać tego jako zawodowca. – Z dala od „Dewdrop”, na nie znanym, wrogim terytorium, tuż przed nastaniem nocy – tylko szaleniec próbowałby uciekać w tych warunkach. Przez jakąś szczelinę w ścianie lasu dojrzał promień słońca i zdał sobie nagle sprawę z tego, że w ciągu ostatnich kilku minut musieli zjechać z wiodącej prosto na zachód szosy łączącej Huriseem z Sollas. Kierowali się teraz bardziej na południowy zachód: czyżby ku następnemu miastu w łańcuchu? To było prawdopodobne. Pozbawienie więźniów wszelkiej szansy ucieczki, żeby w tym czasie spieszącym im na odsiecz kołgom zrobić... właśnie, co? Co Qasamanie chcieli zrobić „Dewdrop” i jej załodze?

Popatrzył na Joshuę. Zobaczył odbijającą się w jego oczach i twarzy tę samą niepewność i obawę, które sam odczuwał. Syn Kobry, brat Kobry – z pewnością rozumiał o wiele lepiej od Rynstadta, jak małe szansę przyjscia im z pomocą mieli ci z „Dewdrop”.

„Odrobina strachu pomaga w koncentracji, ale panika paraliżuje umysł i całe ciało” – błysnęło mu w głowie ulubione powiedzenie jego dawnego nauczyciela szkolącego komandosów. Zmusił się do wolniejszego oddychania, pozwalając sobie tylko na strach i starając się nie dopuścić do paniki. Wiedział, że kiedy się nadarzy okazja, będzie musiał być gotowy do natychmiastowej akcji.

Oświadczenie, które na chwilę przerwało jazgot zakłóceń płynących z głośników w świetlicy „Dewdrop”, było krótkie i boleśnie rzeczowe: Jesteście podejrzani o szpiegowanie obywateli Qasamy. Nie wolno wam wykonywać gwał-

townych ruchów ani podejmować próby ucieczki. Jeżeli okażecie się nieposłusznymi, zostaniecie zniszczeni”.

Po tym oświadczeniu ponownie włączył się jazgot zakłóceń, a Christopher, słysząc to, głośno zaklął.

– Jak, u diabła, mogli się zorientować, że...

– Zamknij się! – przerwała mu Telek, zdając sobie sprawę z głośnych uderzeń własnego serca.

A wiec stało się – spełniły się jej najgorsze obawy – a ona nie wezwała swoich ludzi na statek, zanim do tego doszło. Przegrała. Och, Boże – pomyślała. – Co teraz powinnam zrobić?

Tok jej myśli przerwał głos dobiegający z interkomu.

– Pani gubernator, na szczycie wieży kontrolnej rejestruję jakiś ruch i ośrodki ciepła – odezwał się kapitan F’ahl. – Nie widzę jeszcze ludzi ani broni, ale muszą tam mieć coś w rodzaju granatników albo lekkich haubic raketowych i nie chcą, żebyśmy je dostrzegli.

Całą siłą woli Telek zmusiła się do zachowania spokoju.

– Rozumiem, kapitanie – powiedziała. – Czy nasze lasery mogą zniszczyć tę cholerną wieżę?

– Nie sądzę i nie chciałbym nawet próbować, dopóki nie sprowadzimy na pokład wszystkich, których będzie można.

– Nie chodziło mi o to, żebyśmy startowali – odezwała się lodowato Telek. A więc F’ahl zaczynał się liczyć z możliwością ofiar. No cóż, ona nie zamierza poddawać się tak łatwo. – Czy niczego nie widać na ekranach monitorów komputerowych? – zapytała. – Zmiennoczęstotliwościowy sygnał Joshuy nie powinien być zakłócany za pomocą zwyczajnych...

Bez jakiegokolwiek uprzedzenia, cętkowany mlecznobiały obraz na ekranie zniknął i ich oczom ukazało się ponownie wewnątrz qasamańskiego autokaru.

Telek pochyliła się, zaciskając dłonie w pięści... ale nie zobaczyła sceny rzezi, jakiej podświadomie się spodziewała. Wnętrze autokaru wyglądało tak samo jak przed kilkoma minutami, kiedy obraz zniknął... tak samo, jedynie Moff stał teraz zwrócony przodem do Aventinian i mierzył do nich z pistoletu.

Telek sięgnęła po mikrofon.

– Joshua, pokaż mi obraz pozostałych członków grupy – poleciła.

Obraz jednak się nie zmienił.

– Nie słyszy pani – mruknął Christopher. – Możemy odfiltrować zakłócenia u siebie, ale tamci nie mają sprzętu komputerowego i nie mogą tego zrobić.

– Wspaniale – rzekła Telek i zgrzytnęła zębami. – To znaczy, że nie możemy skontaktować się także z Almem. Niech to wszyscy diabli. – Patrzyła na ekran jeszcze przez kilka chwil, a później odwróciła się w stronę dwójki mężczyzn stojących bez słowa przy drzwiach świetlicy. – Wygląda na to, że wasze płatne wakacje dobiegły końca. Macie jakieś propozycje? – zapytała.

Michael Winward wskazał na monitor, na którym był widoczny obraz pobliskiego lasu.

– Qasamanie zapewne nie wiedzą, że Almo przebywa poza statkiem, co teoretycznie daje nam pewną przewagę. Jeżeli jednak nie będziemy mogli powiedzieć mu, co się dzieje, cała ta przewaga nie przyda się na nic. Musimy jakoś zwrócić jego uwagę, żeby włączył swój nadajnik laserowy.

– Innymi słowy, uważasz, że powinieneś spróbować wyjść i go poszukać – rzekła Telek, zawahała się, a później pokręciła głową. – Nie. To zbyt ryzykowne. Nawet gdyby udało się nam odwrócić od ciebie uwagę Qasaman, i tak by cię dostrzegli, zanim zdołałbyś się ukryć. Lepiej zaczekajmy, aż sam nawiąże z nami łączność.

Drugi Kobra, Dorjay Link, popatrzył na Winwarda i ledwo zauważalnie pokręcił głową.

– Qasamanie mogą chcieć wysłać do tego lasu swoich ludzi i broń, żeby i z tej strony móc zagrozić „Dewdrop” – odezwał się do Telek. – Almo może wyjść z kryjówki i znaleźć się w samym środku.

– Nie sądzisz, że wcześniej usłyszeli ich, jak nadchodzą? – zapytał Nnamdi.

– Kobry są także ludźmi – odparł cierpko Winward. – A jeżeli się nie obudzi, zanim nie zajmą swoich stanowisk, później będą starali się zachowywać cicho.

Telek spojrzała jeszcze raz na monitor z widokiem lasu. To dla mnie zbyt skomplikowane – pomyślała. – Przeszliśmy do działań wojskowych bez najmniejszego ostrzeżenia.

Nie. Otrzymali ostrzeżenie i to właśnie bolało ją najbardziej. Powód tajemniczego zniknięcia Moffa na kilka godzin stał się dopiero teraz zrozumiały: przygotowywał całą operację, koordynując działania różnych grup za pomocą jakiegoś po trzykroć przeklętego systemu łączności dalekosiężnej, którego nie znali. W takim razie...

– Żołnierze i granatniki zapewne są już na stanowiskach – powiedziała. – Jedynym sposobem na to, żeby obudzić Alma i w tej samej chwili uświadomić mu, że dzieje się coś niedobrego...

Przerwała i odwróciła głowę, by spojrzeć na Kobry. Winward kiwnął głową – nie wiedziała tylko, czy na znak zrozumienia, czy zgody.

– Krótki wypad – powiedział. – Ze strzelaniną i tak dalej. Idę tylko po kombi-
nezon maskujący i wracam za minutę. Dorjay, zacznij się rozglądać za najlep-
szym miejscem, dobrze?

– Jasne – odparł tamten, kiedy Winward wybiegał ze świetlicy. – Pani gubernator, czy nie lepiej byłoby poczekać, aż się całkiem ściemni?

– Nie – odezwał się nagle Christopher, zanim Telek miała czas mu odpowiedzieć. – Pani gubernator, mamy nowy kłopot. Autokar z grupą zwiadowczą nie jedzie w stronę Sollas.

– Do diabła – zaklęła Telek, stając u jego boku i spoglądając na monitor ukazujący teraz lotnicze zdjęcie terenów położonych między Huriseem i Sollas. – Skąd wiesz?

– Joshua trochę się rozgląda i ujrzałem nagle błysk słońca wpadający przez boczne okno. Wygląda mi na to, że skręcili w tę drogę – pokazał na ekranie – i kierują się teraz na południowy zachód, zapewne ku następnemu miastu.

Telek spojrzała na podziałkę zdjęcia.

– Niech to cholera. Nie będą przejeżdżali bliżej niż o dwadzieścia kilometrów od „Dewdrop”. Gdzie jest następne skrzyżowanie?... Aha, tutaj. Jakies trzy kilometry od tamtego miejsca. Nie wiadomo, gdzie mogą być w tej chwili? Christopher rozłożył bezradnie ręce.

– Nasz dalmierz nie funkcjonuje, kiedy komputer musi borykać się z filtrowaniem tych zakłóceń. Mogę tylko ocenić prędkość i na tej podstawie oszacować odległość od Huriseem. Najprawdopodobniej są teraz gdzieś tutaj o piętnaście do dwudziestu minut drogi od tego skrzyżowania.

Telek spojrzała na Justina leżącego nieruchomo na swoim tapczanie. Gdyby pozwoliła mu zamienić się miejscami z bratem, tak jak poprzednio planowano... ale nie, ona chciała mieć szansę zobaczenia wszystkiego na własne oczy, a Joshua był przecież jej oknem na świat.

– Musimy zatrzymać ten autokar – powiedziała, zwracając się do wszystkich obecnych w świetlicy. – Uwolnić całą grupę albo chociaż samego Joshuę, żeby mógł zamienić się z Justinem. I to w jakikolwiek sposób.

– Teraz, kiedy Moff ma się na baczności, uważam to ostatnie za niemożliwe – odezwał się Link, siedzący przed monitorem, który odstąpił mu przed chwilą Nnamdi.

– Wiem – rzekła Telek. Zgrzytnęła zębami, a później odwróciła się w stronę interkomu. – Kapitanie, proszę natychmiast wysłać impulsowy sygnał laserowy do osłaniających nas statków Troftów. Proszę powiedzieć im, co się dzieje, i poprosić, żeby zjawili się tu jak najszybciej.

– Tak jest, pani gubernator.

A wszystko to na próżno. Wiedziała o tym doskonale, tak samo zresztą jak pozostali na pokładzie. Statki Troftów znajdowały się od nich zbyt daleko, by przed świtem zdążyły wejść na orbitę nad Qasamą. „Dewdrop” była zdana wyłącznie na własne siły.

Oznaczało to, że Winward będzie musiał rozpocząć swoją samobójczą akcję w ciągu najbliższych kilku minut... a Almo mimo to może zostać schwytany, zanim zorientuje się, co się dzieje... zresztą nawet wówczas poświęcenie obu Kobr będzie daremne, gdyż nie ma sposobu, żeby któryś z nich czy nawet obaj naraz mogli zatrzymać autokar, nie zabijając ani nie raniąc jego pasażerów w trakcie walki.

Jedyne, co w tej sytuacji pozostało do zrobienia, to wydanie rozkazu natychmiastowego startu i pocieszanie się nadzieją, że szybkość „Dewdrop” pozwoli im uniknąć trafienia przez qasamańską rakietę albo granat.

W ten sposób mogliby przynajmniej zminimalizować straty. A jeżeli taka miała być ostateczna decyzja, gubernator musiała ją podjąć, zanim Winward opuści statek i straci życie. Zostało więc na to niewiele więcej niż dziewięćdziesiąt sekund.

Sytuacja bez wyjścia... lecz kiedy pani gubernator zastanawiała się, co robić, w lesie na południe od nich coś nieznacznie się poruszyło i zapadające ciemności przeszył cienki strumień światła z niewidocznego lasera, oświetlając na krótką chwilę dziób „Dewdrop”.